

MAGAZYN *razem z dodatkami*

Maria Deskur: Człowiekowi, który nie czyta, grozi cywilizacyjne zacofanie

● Twoja pierwsza ko..., twoja pierwsza komórka! ● Gadomski o morderstwie dla pieniędzy

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami najciekawszych audycji i filmów



kurier lubelski

Piątek-Niedziela 8-10.05.2026 | Nr. 54 (18.230) | Cena 5,50 zł (w tym 8% VAT) | www.kurierlubelski.pl

Chcą wybudować 450 mieszkań. Będą negocjacje miasta z deweloperami **str. 3**



Dla kogo mistrzostwo Polski? Zdecyduje niedzielny mecz w Sosnowcu **str. 32**

Newralgiczne skrzyżowanie znowu do poprawki? Sygnalizacja działa od listopada **str. 6**

Nr ISSN 2353-6136

Nr indeksu 350-32X



POŻAR W PUSZCZY SOLSKIEJ PODCZAS AKCJI ZGINĄŁ PILOT SAMOLOTU GAŚNICZEGO, KTÓRY ROZBIŁ SIĘ W LESIE

Kilkaset hektarów lasu poszło z dymem



Akcja gaśnicza trwa trzecią dobę. Z ogniem walczy ponad 600 osób

STR. 4

Irek Dudek opowiada o swoim życiu i radzi Czytelnikom: - Nie załamujcie się, tylko pokonujcie trudności **str. 20**



ARMIA

General Jarosław Kraszewski: Drony nie zastąpią haubic i wyrzutni. Musimy budować cały system walki **str. 18**

Świat

Wybory w Anglii, Szkocji i Walii. Zapowiada się klęska Partii Pracy **str. 8**

Arlena Sokalska

KONSTYTUCYJNA
ZAGRYWKA

Prezydent Nawrocki w dniu święta konstytucji grzmiał o oddawaniu władzy narodowi, w domyśle jemu samemu, bo to on uzyskał od narodu mandat w wyborach powszechnych. Z tym mandatem nie przesadzałabym w przypadku głowy państwa. Bo podobny mandat uzyskała w powszechnych wyborach rządząca koalicja. Przy trochę wyższej frekwencji (dodajmy - rekordowej). A i prezydent Nawrocki swój mandat uzyskał przewagą niesłuchanie małą. Co oznacza, że tych pozostałych 10 milionów wyborców wcale tym mandatem obdarzyć go nie chciało.

Ale według prezydenta nastał w tych okolicznościach „moment konstytucyjny”, który oznacza, że za zmianę konstytucji brać się należy. I powołał radę, która pewnie raz na jakiś czas zbierać się będzie. Tyle tylko że żadnego „momentu konstytucyjnego” nie ma - bo nie ma większości konstytucyjnej, pozwalającej zmienić ustawę zasadniczą. I dziś wszystko wskazuje na to, że po następnych wyborach parlamentarnych takiej większości też nie będzie.

Po co więc prezydent grzmi o konieczności zmian konstytucji? Bo - tu cytuję - „Tak dalej być nie może, że władza w Polsce rozkłada się na dwa ośrodki”. Owszem, mieliśmy różne konflikty na linii prezydent-premier. Zaczęło się od „szorstkiej przyjaźni” między premierem Leszkiem Millerem a prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim, a potem było jeszcze gorzej. A teraz jest otwarta wojna.

Dlaczego? Bo prezydent nie skupia się na niczym innym, jak rzucaniu kłód pod nogi rządowi i wetowaniu wszystkiego - łącznie z ustawą o SAFE, czy kryptowalutach (dwukrotnie). Rozumiem, kiedy prezydent wetuje ustawę, dzięki której bezdzietne małżeństwo mogłoby zakończyć formalny związek bez konieczności stawienia się w sądzie. Takie prezydent ma poglądy, trudno. Ale wetowanie ustaw dotyczących kwestii obronności Polski czy odporności na szachrajstwa rynku kryptowalut?

Do tego dochodzi retoryka prezydenta, bo wciąż mówi o premierze Tusku jako „najgorszym premierze w historii”. Nawet jeśli tak uważa, powinien owe myśli zachować dla siebie - właśnie w myśl tego, co jest istotą konstytucji z 1997 r., zakładającej pewną równowagę między ośrodkami władzy, choćby przez próbę nawiązania „szorstkiej przyjaźni” i jakiegoś rodzaju trudnej współpracy jak z kadencji Andrzeja Dudy.

Tak, twórcy obowiązującej konstytucji (która pisana była ładnych parę lat) najpierw ograniczali prawa prezydenta, bo był nim Lech Wałęsa, a potem je zwiększali, bo został nim Aleksander Kwaśniewski.

A ja jestem za systemem kanclerskim. Najlepiej byłoby, gdyby w Polsce nie było prezydenta wybieranego przez Polaków w wyborach powszechnych, powinno to robić Zgromadzenie Narodowe. Wymagałoby to też politycznego wysiłku, bo musiałby to być polityk kompromisu, na którego zechciałoby głosować 2/3 posłów i senatorów. Byłaby to ciekawa figura polityczna - rodzaj autorytetu, który reprezentowałby Polskę za granicą.

Ale nic takiego się nie zdarzy za mojego życia, bo żaden - ani obecny, ani przyszły - prezydent nie podpisałby ustawy, która kończyłaby jego kadencję.

A tak na koniec. Po co prezydentowi Nawrockiemu wyciąganie sprawy zmiany konstytucji? Bo będzie to jeden z tematów jego kampanii wyborczej w 2030 r., a i pewnie tych parlamentarnych w 2027. Szykujemy się na ostrą polityczną nawałankę.

Adam Bula

FINAŁ SEZONU PRAWYCH
FIKOŁKÓW

Ale wiecie, że za chwilę skończą się premierowe odcinki najpopularniejszych dziś polskich seriali z uniwersum, gdzie „Pierwsza miłość” jest „Na dobre i na złe”, bo różne są „Barwy szczęścia”, gdy gra się w „M jak miłość”. Dokładnie tak jest w naszym uniwersum politycznym, gdzie czekają nas finały sezonów seriali pt. „SAFE jest w pustym sejfie”, OZE jest sroze” a „Zondacrypto jest ok”.

Na miejscu scenarzystów, szykujących się na zapadające widzom w pamięć zakończenia, brałbym jednak pod uwagę pewną nową okoliczność. Mianowicie, hitem tego sezonu była krótką, puszczana zaledwie przez 9 dni telenowela pt.: „Streaming Łatwoganga na rzecz dzieci chorych na raka”. Otóż wyróżniała się ona tym, że ... nic w niej nie było udawane. W absolutnej kontrze do świata wyobrazonego polskich seriali telewizyjnych i politycznych. Serialowa Hanka Mostowiak (Małgorzata Kożuchowska) przeżyła w ciasnej kawalerce Łatwoganga centralne zderzenie ze stosem kartonów i można tę scenę traktować jako ikoniczny symbol przepaści między światami.

Śledząc zaś fabuły politycznych seriali mam wrażenie, że ich scenarzyści wiedzą już, że przeszarżowali z nierealnymi zwrotami akcji, ale - z braku lepszego pomysłu - chcą na wariata dociągnąć to do końca. „Seriali lub widzów” - że się podeprę prezydentem podpierającym się cytatem z ubeka.

Jak to więc będzie wyglądać? Weźmy szefa prezydenckiej kancelarii, Zbigniewa Boguckiego, który w tym sezonie zyskał sławę pierwszego harcownika prawicy, wykorzystując sejmową mównicę do ostrego atakowania rządu i premiera. Słucham jego ostatnich wystąpień i widzę w jego oczach, że on już nie tylko wie, że ostro bredzi. On już wie, że my wiemy, że on bredzi, tylko jeszcze nie ma u nas kultury, by ktoś przytomny krzyknął z tłumy: hej gościu, jesteś nagi i strasznie prdl.

W każdym razie może i polska prawica brała bezpośrednio lub korzystała pośrednio, z Karolem Nawrockim na czele, z kasy od kryptoaferzysty z firmy Zondacrypto, ale podwójne weto

ustawy, dającej szansę na walkę z kryptooszustami nie miało z tym coś wspólnego. W dodatku pierwsze weto prezydenta było zanim się on od rządu w grudniu dowiedział, że z Zondacrypto jest coś nie tak. Skąd było drugie weto na wiosnę? Bo ustawa była za długa, mając ponad 100 stron zbyt szczegółowych dla branży krypto przepisów.

Że prezydent po pierwszym wecie miał złożyć „w ciągu kilku dni” swój projekt ustawy? No to przecież go złożył, tyle że wczoraj (6 maja). Że ta ustawa ma też ponad 100 stron, bo jest po prostu przepisana z tej wetowanej i tylko dodano dwa nowe przepisy (na korzyść ewentualnych oszustów zresztą) - no i po ... drażnić. Kartony nie kartony, musi wyjść na nasze.

Hitem sezonu pozostaną jednak fikołki przyszłego premiera z własną instalacją fotowoltaiczną: bo i temat łatwiejszy i w sumie sprawa nie tak poważna. „OZE-sroze jest złe”, więc Przemysław Czarnek zdemontuje ze swojego domu panele, jak się okazało, że kiedyś je założył. Bo się wtedy z tego nie cieszył, a w dodatku dom nie jest jego. W ogóle to je założył, bo prąd ciągle drożał (w końcu to było w 6. roku rządów PiS, ale on był wtedy na „innym odcinku”). A teraz jednak ich nie zdejmie, bo prąd znowu jest coraz droższy, więc je zdejmie, jak będzie tańszy, czyli jak znów będzie rządził PiS, przez którego rządy je założył. Nie zdejmie ich, choć „się słyszy”, że są one bardzo niebezpieczne. Bo w ogóle sprawa dotyczy tylko takich jak on, których na panele było stać, choć w sumie to nas było stać, bo Czarnek skorzystał z unijnego dofinansowania i zapłacił tylko 8 tys. zamiast ponad 20. W finałowej scenie i tak wybrzmi jednak ostatnie zdanie bohatera, że „Unia jest zła”.

To tylko rozgrzewki przed czekającym nas już w najbliższy weekend finałem serialu „SAFE 0 %”. Rząd podpisze umowę na miliardy z Unii dla armii, i „zadłuży nas na pokolenia”, bo jak PiS zadłużył nas z tej samej okazji wcześniej na 400 mld, to się nie liczy. I nieprawda, że tamte pożyczki były na gorszych warunkach, zwłaszcza że wtedy wcale nie padało.

Ale najgorsze jest to, że Tusk zdradza Amerykę i nie chce u niej kupować uzbrojenia, tylko da tę całą kasę Niemcom, a że nic u nich jeszcze nie zamówił, to wiadomo, że to jest spisek.

No bo czego wy właściwie nie rozmicie? Te fabuły są dla widzów, którzy nie mieli nigdy problemów z tym, że Hanka Mostowiak zginęła w zderzeniu Mazdy 626 ze stosem kartonów...

W polskim interesie jest, żeby amerykańskich żołnierzy w Europie było jak najwięcej, a najlepiej w Polsce.
(...) I my nie wnikamy skąd ci amerykańscy żołnierze mieliby przybyć. W Polsce będą mile widziani.
(...) Zapraszamy ich tu, gdzie jest prawdziwe zagrożenie, 250 km stąd

nasz REGION

LUBLIN

Miasto w rękach studentów

Dziś, 8 maja o godz. 14:00, na schodach przed ratuszem odbędzie się symboliczne przekazanie studentom kluczy do miasta i oficjalnie rozpoczną się Lubelskie Dni Kultury Studenckiej. Chwilę później z Placu Łokietka wyruszy korowód, który przejdzie w kierunku terenów zielonych Politechniki Lubelskiej, m.in. przez Krakowskie Przedmieście, Aleje Racławickie, ul. Sowińskiego, Głęboką i Nadbystrzycką. AR



POW. HRUBIESZOWSKI

To dopiero pech

W Strzyżowie 39-letni motorowerzysta wyjechał spod sklepu wprost przed nadjeżdżający radiowóz. Kiedy policjant kazał mu „dmuchnąć”, alkomat pokazał ponad 2,5 prom alkoholu. LUB

FOT. ARCHIWUM

Deweloperzy chcą wybudować 450 mieszkań

Artur Jurkowski
Lublin

300 mieszkań w trzech blokach u zbiegu al. Smorawińskiego i ul. Chodźki oraz 150 mieszkań na działce położonej na styku Dworcowej i Młyńskiej – radni mówią „tak” rozpoczęciu negocjacji z deweloperami w sprawie dwóch inwestycji mieszkaniowych na terenie Lublina. Mają być prowadzone w ramach procedury zintegrowanego planu inwestycyjnego.

Budynek mieszkalny wielorodzinny z ok. 150 mieszkaniem w formie dwóch 14-kondygnacyjnych wież połączonych na parterze i pierwszym piętrze ma stanąć u zbiegu ulic: Młyńskiej i Dworcowej. To teren bezpośrednio przylegający do estakady, po której biegnie ul. Lu-



FOT. WIZUALIZACJA

U zbiegu ulic Chodźki i Smorawińskiego deweloper planuje budowę trzech bloków z ok. 300 mieszkańami

belskiego Lipca’80, położony po sąsiedzku Dworca Lublina.

Pomysł na zabudowę parceli nie jest nowy. Radni zajmowali się nim (w innym trybie planistycznym – jako lex deweloper) w listopadzie 2025 r. Wtedy radni powiedzieli „nie”. Kością niezgody była m.in. planowana liczba miejsc parkingowych. Inwestor deklarował, że wykona 99 takich miejsc w garażu podziemnym, co daje współczynnik 0,6-0,76 miejsca postojowego na lokal. „Nie” dla swoich planów inwestycyjnych deweloper usłyszał też w marcu 2025 r. - W złożonym skorygowanym wniosku o uchwalenie ZPI Inwestor Młyńska Sp. z o.o. w ramach inwestycji uzupełniającej zobowiązał się do przekazania na rzecz Gminy Lublin lokalu usługowego, o szacunkowej powierzchni 124 metrów kwa-

dratowych oraz zrewitalizowania skweru przy ul. Młyńskiej - uzasadnia projekt uchwały lubelski ratusz.

Mieszkania za remonty dróg

Radni zajęli się też sprawą zabudowy działki u zbiegu ulic Chodźki i Smorawińskiego. Właściciel terenu, którym jest spółka Lalak Development, planuje tam budowę trzech bloków z ok. 300 mieszkańami.

Radni już marcu 2025 r. zgodzili się na negocjacje w sprawie inwestycji. Teraz wrócili do tematu. Powód? Dodatkowe prace, które inwestor deklaruje do zrobienia na rzecz miasta.

Chodzi o „wykonanie w dwóch etapach w ramach inwestycji uzupełniającej pełnej infrastruktury drogowej ul. Józefa Mackiewicza”. Prace mają objąć odcinek od ul. Chodźki do ul.

Związkowej, czyli łącznie ok. półkilometrowy odcinek drogi.

Ponadto deweloper podtrzymuje wykonanie remontu nawierzchni ul. Chodźki (391 metrów) oraz przekazanie na rzecz miasta lokalu o powierzchni 150 mkw.

Budowa przy ul. Zelwerowicza musi poczekać

Do dalszych prac w komisjach rady trafiła natomiast kolejna inicjatywa ZPI. Chodzi o zabudowę terenu w rejonie ul. Zelwerowicza oraz Bohaterów Września.

Plany zabudowy obejmują teren o powierzchni 2,72 hektara leżący w sąsiedztwie wybudowanego rok temu biurowca. Grunty są przeznaczone tylko pod działalność usługową. Spółka Lalak Development chce, aby mogły tam powstać też mieszkania.

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

0011518049

T-Mobile odświeża ofertę na kartę. Atrakcyjne pakiety i niespodzianki w Magenta Moments – „Wszystko blisko”

Można być całunoblisko, dalekobliisko, momentoblisko i pysznoblisko, bo każde blisko jest fajne! Od 6 maja, wraz ze startem nowej oferty T-Mobile na kartę, rusza nowa kampania reklamowa pod hasłem „Wszystko blisko”, promująca ofertę T-Mobile na kartę oraz bonusy w Magenta Moments.

Nieważne, czy jesteś online, czy offline, zawsze możesz być blisko drugiej osoby. To wszystko możesz mieć w T-Mobile na kartę dzięki dużej paczce Internetu 9999 GB przez rok (12 x 833,25 GB) z ofertą cykliczną od 35 zł, która zapewnia Ci swobodę korzystania ze smartfona oraz niespodziankom w Magenta Moments, które pozwalają na miłe spędzanie czasu razem.

Swoboda na start

Jedną z najważniejszych zmian jest podejście do samego początku korzystania z oferty. Pierwszy miesiąc za 0 zł to rozwiązanie, które niewątpliwie zachęca do spróbowania. Użytkownik nie musi już podejmować decyzji „w ciemno”, ani zastanawiać się, czy oferta będzie dla niego odpowiednia – może ją po prostu sprawdzić w praktyce.



Co ważne, nie jest to wersja testowa czy ograniczona. W ramach pierwszych 30 dni dostępne są Nielimitowane rozmowy, SMS-y i MMS-y oraz pakiet internetu, który bez problemu wystarcza na codzienne potrzeby. Dopiero po tym czasie użytkownik decyduje, czy chce zostać na dłużej. To prosty, przejrzysty model, który dobrze wpisuje się w rosnącą potrzebę elastyczności.

Aktywacja Roku Internetu z 9999 GB jest możliwa z ofertą cykliczną już od 35 zł w aplikacji Mój T-Mobile. Pierwszy pakiet 833,25 GB zostanie przyznany po aktywacji usługi, a kolejne po odnowieniu oferty cyklicznej. Aby skorzystać z oferty, wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile. Gotowe!

Internet, który nadąża za codziennością

Internet to dziś podstawowe narzędzie komunikacji i rozrywki. Korzystamy z niego w pracy, w podróży, w domu. Nawigacja, komunikatory, serwisy społecznościowe czy streaming działają w tle naszego życia.

Dlatego zwiększenie pakietów danych w odświeżonej

ofercie ma realne znaczenie. Każdy z dostępnych wariantów został wzbogacony o dodatkowe gigabajty. W ofercie cyklicznej GO! M za 35 zł klient otrzyma 50 GB internetu (w tym 20 GB po doładowaniu), w ofercie GO! L za 45 zł otrzyma 150 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), a w opcji GO! XL za 50 zł aż 300 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), co przekłada się na większy komfort korzystania z telefonu. Zamiast kontrolować zużycie danych, można po prostu korzystać z sieci bez stresu i bez ograniczeń.

To zmiana, która może wydawać się subtelna, ale w praktyce robi dużą różnicę. Internet przestaje być czymś, co trzeba „oszczędzać”, a zaczyna być naturalnym elementem codzienności.

9999 GB, czyli koniec liczenia – z ofertą cykliczną już od 35 zł

Jednym z najmocniejszych elementów oferty jest tzw. Rok Internetu, czyli aż 9999 GB danych (12 x 833,25 GB) do wykorzystania w skali roku. W praktyce oznacza to setki gigabajtów miesięcznie – ilość, która dla większości użytkowników eliminuje potrzebę jakiegokolwiek kontroli zużycia.

Streaming w wysokiej jakości, wideorozmowy, praca zdalna czy rozrywka online przestają być czymś, co trzeba planować. Internet jest po prostu dostępny wtedy, kiedy jest potrzebny.

Aktywacja tej opcji została maksymalnie uproszczona. Wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile.

Nie tylko usługi – także doświadczenia

Współczesne oferty telekomunikacyjne coraz częściej wychodzą poza schemat minut i gigabajtów. Użytkownicy oczekują czegoś więcej – rozwiązań, które realnie wpływają na ich codzienność.

I tutaj ważną rolę odgrywa program Magenta Moments. To przestrzeń, w której technologia spotyka się z codziennymi przyjemnościami. Użytkownicy mogą korzystać z ofert i okazji przygotowanych we współpracy z partnerami – m.in. w miejscach takich jak Pizza Hut, KFC czy Cinema City. To dodatki, które zmieniają sposób postrzegania oferty. Telefon przestaje być tylko narzędziem komunikacji, a zaczyna

ułatwiać codzienne spotkania, wyjścia, zakupy, wspólne spędzanie czasu.

Rozrywka bez ograniczeń

Uzupełnieniem oferty są korzyści związane z rozrywką cyfrową. W wybranych pakietach użytkownicy mogą skorzystać z dostępu do YouTube Premium. Brak reklam, możliwość odtwarzania w tle czy pobierania treści offline to funkcje, które znacząco podnoszą komfort korzystania z platformy. W połączeniu z dużą ilością opcji ta tworzy wyjątkowo spójną ofertę.

Koniec technologicznych wymówek

Wszystkie te elementy składają się na jedną, wyraźną zmianę. Technologia przestaje być ograniczeniem, a zaczyna funkcjonować w tle – dyskretnie, ale skutecznie. Nie wymaga planowania ani kontroli, tylko po prostu działa. I właśnie dlatego coraz trudniej mówić o „technologicznym alibi”. Bo skoro wszystko jest na wyciągnięcie ręki – szybkie, dostępne i wygodne – pozostaje już tylko skupić się na tym, co naprawdę ważne: relacjach, rozmowach i codziennych chwilach, które chcemy dzielić z innymi.

POŻAR W PUSZCZY SOLSKIEJ CAŁY OBSZAR JEST POD KONTROLĄ STRAŻAKÓW, ALE TO JESZCZE NIE KONIEC AKCJI

Walka z ogniem trwa trzecią dobę



Ogień pchany przez wiatr rozprzestrzenił się po koronach drzew

Joanna Jastrzębska, JS, AR
Lubelskie

Pożar, który we wtorek po południu wybuchł w Nadleśnictwie Józefów w pow. biłgorajskim, strawił kilkaset hektarów lasów. W czwartek podano liczbę 300 ha, ale może być dużo więcej. W trakcie akcji rozbił się samolot gaśniczy Dromader. Zginął pilot.

We wtorek po godz. 15 strażacy dostali zgłoszenie z miejscowości Kozaki w gm. Łukowa, że pali się las. Ogień szybko się rozprzestrzenił. Do akcji ruszyli strażacy z różnych jednostek i przybywało ich z każdą godziną. Wieczorem liczba ratowników przekraczała ponad 300. Ściągnięto również zastępy z woj. podkarpackiego. Do walki z ogniem zadysponowano Dromadera z bazy lotniczej Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie, ale po przystąpieniu do akcji spadł na ziemię i się rozbił. Zginął pilot maszyny.

Ciężka noc

Najcięższa dla strażaków była chyba noc ze środy na czwartek. Wieczorem, w pewnym momencie ogień przesunął się z „ogromną dynamiką” w kierunku gospodarstw i zabudowań. Rozważano, czy nie będzie konieczna ewakuacja mieszkańców. Poranek przyniósł dobre wieści. Pożar przestał się rozprzestrzeniać.

- Po tej ciężkiej nocy, jesteśmy optymistami - mówił w czwartek rano szef MSWiA Marcin Kierwiński. - Powierzchnia operacyjna akcji wynosi obecnie 1000 ha, a obszar pogorzeliska jest szacowany na 300.

Te same liczby w czwartek po południu podały Lasy Państwowe, dodając, że dokładne statystyki pożaru będą znane dopiero po zakończeniu akcji gaśniczej.

- Bardzo cieszymy się, że zaczął padać deszcz. To będzie ułatwiało akcję gaśniczą. Cały obszar pożaru jest aktualnie pod kontrolą. W jego środku oczywiście są miejsca, które płoną i wymagają stałej interwencji strażaków. Natomiast ten obszar geograficzny jest opanowany - informował w czwartek minister Kierwiński. Zaznaczał jednak, że prognozy nie są sprzyjające, bo w czwartkowe popołudnie znowu spodziewany jest silny wiatr.

Gigantyczne siły i środki

Od początku akcji gaśniczej wykonano za pomocą śmigłowców i samolotów 500 zrzutów wody, ponad 600 ton. W czwartek w działania zaangażowane były dwa policyjne Black Hawki, siedem śmigłowców Lasów Państwowych i cztery Dromadery.

Z ogniem walczy ponad 600 osób, z czego 450 to strażacy. Wspomaga ich policja, pracownicy Lasów Państwowych i Wojska Obrony Terytorialnej.

- Wielkie podziękowania dla wszystkich ludzi, którzy biorą udział w tej niezwykle wymagającej, trudnej akcji. Chciałbym również złożyć kondolencje rodzinie pilota, który niósł nam pomoc i gasił pożar w Puszczy Solskiej - mówił w środę Andrzej Szarlip, starosta pow. biłgorajskiego.

Straż pożarna już na początku akcji sięgnęła po nadzwyczajne siły i środki, ściągnięto na miejsce m.in. kompanię gaśniczą SMOK 1 z południa Polski (19 pojazdów i 68 osób) oraz moduł GFFF z woj. podkarpackiego (20 osób), czyli zespół ratowniczy przeznaczony do zwalczania wielkopowierzchniowych pożarów lasów.

Komendant główny Państwowej Straży Pożarnej nadbryg. Wojciech Kruczek mówił w środę, że od ognia do najbliższych zabudowań jest ok. 6 km, a front pożaru jest trudno dostępny - liczy on ok. 800 me-



Noc była ciężka. Na szczęście pożar przestał się rozprzestrzeniać, a rankiem spadł niewielki deszcz



KATASTROFA SAMOLOTU GAŚNICZEGO

Podczas akcji gaśniczej zginął pilot Dromadera, samolotu zrzucającego wodę na płonący las. Maszyna została zadysponowana z bazy lotniczej Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie. Za sterami siedział pilot z doświadczeniem i wysokimi kwalifikacjami. - Miejsce upadku maszyny wyglądało po prostu strasznie, tragicznie - mówił świadek katastrofy Mariusz Kiczynski, z-ca dyr. Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Lublinie. W miejscu, w którym leżał wrak, było dużo połamanych drzew. Wiadac to na zdjęciu (powyżej),

na którym minister Marcin Kierwiński wraz z przedstawicielami służb ratowniczych ogląda miejsce wypadku. Okoliczności katastrofy wyjaśni Państwowa Komisja Badania Wypadków Lotniczych oraz śledczy. - Prokuratura Okręgowa w Zamościu będzie prowadziła w tej sprawie śledztwo w kierunku sprawienia katastrofy w ruchu lotniczym skutkującej śmiercią jednej osoby. Oględziny wraku zaplanowano przy udziale specjalistów z Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych, co jest standardowe w tego typu przypadkach - informo-

wał nas w środę prok. Rafał Kawalec z Prokuratury Okręgowej w Zamościu. Zarządzono sekcję zwłok pilota, wrak poddano badaniom, podobnie miejsce katastrofy. Przesłuchane zostaną wszystkie osoby, które widziały katastrofę. - To będzie zmierzało do ustalenia wszystkich okoliczności zdarzenia, przyczyn wypadku, no i czy komuś będzie ewentualnie groziła odpowiedzialność karna - powiedział prok. Kawalec. Leśnicy, przedstawiciele służb, rządu i prezydent złożyli wyrazy współczucia rodzinie zmarłego pilota.

trów. - Pożar rozprzestrzenił się na powierzchni lasu dosyć wolno, ale jednak powoli front pożaru się przesuwał - dodał.

Niestety, przez niemal całą środę utrzymywał się wiatr, momentami silny, co poważnie utrudniało akcję gaśniczą i dlatego noc ze środy na czwartek była tak trudna dla strażaków.

Nadbryg. Kruczek podkreślał, że strażacy będą wykorzystywać kamery termowizyjne i drony, żeby zgasić wszystkie miejsca, gdzie jest podwyższona temperatura. Ma to na celu uniknięcie wtórnego zapłonu.

Przyczyny pożaru nie były jeszcze znane.

Dlaczego pożar jest trudny do ugaszenia?

Akcję gaśniczą w dużej mierze komplikuje to, że dostęp do zajętych ogniem miejsc jest utrudniony - ogień występuje nie tylko na terenie obszarów

należących do Lasów Państwowych, ale też na prywatnych, w których infrastruktura drogowa nie jest rozwinięta albo jest w złym stanie.

- W lasach niezagospodarowanych, gdzie nie ma dróg, nie ma linii przejazdowych, strażce pożarne nie mogły dojechać. Tam zaczęło się całe centrum, więc jak pożar się rozprzestrzenił, przeszedł też na państwowe: linia była bardzo duża i stąd trudność w opanowaniu - mówi Mariusz Kiczynski, zastępca dyrektora Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Lublinie. - Gdyby sam pożar wybuchł na Lasach Państwowych, mamy dojazdy, linie oddziałowe, na pewno opanowany byłby dużo szybciej. Akcja jest trudna, bo lasy są bardzo palne. Oprócz tego teren jest jeszcze zabagniony, natomiast pali się warstwa murszu (powierzchniowa warstwa gleb - przyp. red.),

mniej więcej trzydzieści, czterdzieści centymetrów. To będzie tliło się na pewno kilka dni - stwierdza leśnik.

Od samego początku żywioł rozprzestrzenił się błyskawicznie. Przekroczył m.in. drogę wojewódzką nr 849, która od wtorkowego wieczora została zablokowana.

Dlaczego się pali?

Przyczyny pożaru nie zostały podane, ale wiadomo, że od tygodni panuje susza. Lasy Państwowe jeszcze przed majowym weekendem uczulały osoby wybierające się na odpoczynek do lasów, że zagrożenie pożarowe w woj. lubelskim jest szacowane na bardzo duże.

- Susza jest totalna. Ściółka ma wilgotność sześć procent. Drewno albo papier w książkach ma wilgotność 7-9 proc. To wyobraźmy sobie, jak jest sucho w lesie - dodaje dyr. Kiczynski.

ORLEN wzmacnia bezpieczeństwo Polaków. 20 mln zł dla strażaków w całym kraju

W ramach 25. jubileuszowej edycji programu „ORLEN na straży”, Fundacja ORLEN przeznaczy 20 mln zł na wsparcie jednostek straży pożarnej w całej Polsce. To jeden z największych i najdłużej realizowanych programów wspierających strażaków, który realnie wzmacnia gotowość służb ratowniczych i system bezpieczeństwa kraju.

Gdy w środku nocy słychać syreny alarmowe, nikt nie pyta, czy to dobry moment. Strażacy po prostu ruszają do akcji. Gaszą pożary, wyjeżdżają do wypadków, śpieszą z pomocą w czasie podtopień, awarii linii energetycznych czy rozlanego paliwa. Tam, gdzie inni doświadczają nagłych i przykrych zdarzeń, oni natychmiast przystępują do działania, niosąc pomoc każdemu, kto jej potrzebuje. Aby jednak robić to skutecznie, strażacy również potrzebują wsparcia – zapewnia je program „ORLEN na straży”.

To jedna z największych inicjatyw realizowanych w naszym kraju, która realnie wspiera jednostki straży pożarnej. W 2026 roku Fundacja ORLEN przeznaczy na ten cel 20 mln zł. Budżet pozwoli na lepsze przygotowanie jednostek, wyposażenie ich w nowocześniejszy sprzęt, zwiększenie bezpieczeństwa ratowników i sprawniejsze działania wszędzie tam, gdzie liczy się każda minuta. Jubileuszowa, 25. edycja programu potwierdza, że to inicjatywa realizowana w sposób przemysłany, konsekwentnie i odpowiedzialnie.

Program, który odpowiada na realne potrzeby

„ORLEN na straży” to wsparcie zarówno dla jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej, jak i Państwowej Straży Pożarnej. Dwa lata temu program przeszedł istotną przemianę, odpowiadając na zgłaszane przez strażaków potrzeby. Wsparcie zostało rozszerzone – obok finansowania sprzętu większy nacisk położono na rozwój kompetencji, szkolenia i przygotowanie do coraz bardziej wymagających zadań. Od tego czasu w ramach programów strażackich ORLEN przyznał granty o łącznej wartości ponad 36,8 mln



zł, wspierając 756 jednostek w całej Polsce.

Korzyści płynące z tej inicjatywy najlepiej ilustruje wypowiedź Michała Treski, Prezesa Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo: – *Wsparcie z programu „ORLEN na straży” w przypadku naszej jednostki przełożyło się na bardzo konkretne i odczuwalne zwiększenie zdolności operacyjnych. Przede wszystkim znacząco poprawiły się bezpieczeństwo i gotowość bojowa strażaków dzięki doposażeniu w nowe ubrania specjalne. Pozwala to większej liczbie ratowników jednocześnie brać udział w działaniach w strefie zagrożenia. Ma to więc bezpośredni wpływ na szybkość reakcji oraz skalę interwencji. Ubrania specjalne to nasz najważniejszy środek ochrony, a jego sprawność i nowoczesność chronią nasze zdrowie i dają spokój działania.*

Projekt pozwolił nam także odpowiedzieć na nowe wyzwania wynikające z rozwoju technologii, takie jak pożary instalacji fotowoltaicznych czy pojazdów elektrycznych. Doposażenie jednostki w dedykowany sprzęt gaśniczy oraz narzędzia do działań technicznych, w tym do siłowego otwierania drzwi, zwiększyło skuteczność interwencji w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia. W efekcie nasza jednostka nie tylko działa szybciej, lecz też jest przygotowana na znacznie szerszy zakres zdarzeń.

W tegorocznej edycji zaprojektowano cztery ścieżki ubiegania się o granty. Każda z nich odpowiada na inny typ zagrożeń i inny profil działań ratowniczych.

Cztery ścieżki, jeden cel – skuteczniejsze działania

Pierwsza ścieżka grantowa dotyczy ratownictwa związanego z wypadkami drogowymi. Jednostki mogą ubiegać się tu o grant do 50 tysięcy złotych. Wypadki drogowe należą dziś do najbardziej wymagających interwencji. Tu liczy się nie tylko czas, ale też precyzja, odpowiedni sprzęt i właściwe przygotowanie zespołu.

Druga ścieżka to ratownictwo związane z przemysłem chemicznym oraz z instalacjami odnawialnych źródeł energii, obejmującymi infrastrukturę Grupy ORLEN. Tu niezbędne wyposażenie i przygotowanie strażaków jest jeszcze bardziej wymagające. Jednostki OSP i PSP mogą wnioskować nawet o 150 tysięcy złotych, co pozwala realnie zwiększyć gotowość do działania przy tego typu zagrożeniach.

Trzecia ścieżka to szeroko rozumiana walka ze skutkami zmian klimatycznych. Powodzie, pożary terenów otwartych, gwałtowne wichury są dziś coraz częstszymi zjawiskami i stanowią codzienną służb ratunkowych. Aplikując w tym obszarze, jednostki OSP mogą otrzymać do 40 tysięcy złotych.

I wreszcie czwarta ścieżka – wsparcie dla jednostek OSP

spoza krajowego systemu ratowniczo-gaśniczego, które chcą osiągnąć wymagane przez system standardy i rozwijać swoją gotowość operacyjną. To bardzo ważny element programu, ponieważ wzmacnia także te jednostki, które chcą rozbudować swój potencjał.

„ORLEN na straży” to także edukacja i szkolenia

Program nie ogranicza się tylko do finansowania wyposażenia – bardzo mocno stawia na bezpośrednie wsparcie strażaków. Każda jednostka, która otrzyma grant, musi przeznaczyć minimum 20% środków na szkolenia, kursy, warsztaty lub wsparcie psychologiczne. – *Środki z programu zostały w naszym przypadku wykorzystane nie tylko na zakup sprzętu, ale właśnie na rozwój kompetencji strażaków-ochotników, co było bardzo ważne dla pełnego wykorzystania potencjału projektu. Zorganizowaliśmy szkolenia specjalistyczne, obejmujące między innymi ratownictwo chemiczne, działania przy wyciekach gazu oraz reagowanie na zagrożenia związane z nowocześniejszymi technologiami, takimi jak instalacje fotowoltaiczne czy pojazdy elektryczne. Udało nam się zrealizować te szkolenia na profesjonalnych poligonach, co bez finansowania z projektu nie byłoby możliwe – mówi Michał Treska z OSP Gdańsk-Sobieszewo. – Duży nacisk położyliśmy również na praktyczne warsztaty, które pozwoliły prze-*

ćwiczyć wykorzystanie nowo zakupionego sprzętu w realistycznych scenariuszach działań. Dzięki temu wiedza nie pozostała wyłącznie teoretyczna, a sprzęt nie trafia jedynie „na półkę”. Istotne było dla nas także to, aby w szkoleniach uczestniczyło jak najwięcej strażaków, co przekłada się na większą elastyczność i gotowość zespołu w codziennej służbie. Udało nam się część szkoleń zrealizować również przy użyciu technologii VR, która choć nie zastępuje działań w terenie, to stanowi wartościowe uzupełnienie i daje możliwość utrwalania procedur „na sucho” poprzez ich wielokrotne powtarzanie w dowolnie wybranym momencie.

W ramach projektu realizujemy również działania z zakresu wsparcia psychologicznego. To szczególnie istotne, ponieważ ten obszar ma ogromne znaczenie w naszej działalności, a dopiero od niedawna dostrzega się jego znaczenie. Należy pamiętać, że ochotnicy wykonują swoje działania dodatkowo, w ramach wolnego czasu, który mogliby spędzić na przykład z rodzinami. Zdarzenia, z którymi się mierzą, są często trudnym doświadczeniem. A przecież

nasi członkowie, strażacy i strażaczki, to „twardzi ludzie” i często sami nie umieją poprosić o pomoc, by rozładować napięcie, które się w nich gromadzi. Warsztaty w obszarze wsparcia psychologicznego skupiały się więc na radzeniu sobie ze stresem oraz na funkcjonowaniu po trudnych akcjach ratowniczych – zaznacza Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

Nabór do 25. edycji programu „ORLEN na straży” trwa do 30 czerwca

Wnioski w ramach tegorocznego naboru do programu można składać do 30 czerwca 2026 roku za pośrednictwem specjalnego formularza na stronie internetowej orlennastry.pl. Wyniki zostaną ogłoszone najpóźniej 11 września. We wniosku należy szczegółowo opisać planowany projekt, uzasadnić jego znaczenie dla bezpieczeństwa lokalnej społeczności oraz przedstawić kosztorys. Pomocna jest tu platforma aplikacyjna, która przeprowadzi krok po kroku przez cały proces i nie pozwoli niczego pominąć. Cały proces naboru odbywa się drogą elektroniczną. Zachęcamy do wzięcia udziału w programie „ORLEN na straży”.



Michał Treska, Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

KRÓTKO

KRASNYSTAW

Sąsiad ocalił pieniądze sąsiadki.
Brawa dla 79-latka!

Policjanci zatrzymali 20-letniego obywatela Włoch i 22-letniego obywatela Ukrainy podejrzanych o udział w oszustwach. Czoro seniorów straciło ponad 180 tys. zł.

Jedną z pokrzywdzonych jest 73-letnia kobieta z Krasnegostawu, która przekazała oszustom 15 tys. zł. - W poniedziałek oficer dyżurny dostał zgłoszenie o podejrzeniu oszustwa - mówi podkomisarz Anna Chuszcza z krasnostawskiej policji. - Zgłaszający poinformował, że idzie za mężczyzną, który chwilę wcześniej odebrał pieniądze od jego sąsiadki i próbuje oddać się.

Na miejsce natychmiast skierowano patrol, ale jeden z podejrzanych już zniknął, natomiast drugi został zatrzymany, to 20-letni obywatel Włoch. Trafił na komendę. W niedługim czasie zatrzymano także drugiego mężczyznę, 22-letniego obywatela Ukrainy.

Z policyjnego komunikatu wynika, że gdy sprawcy odebrali pieniądze od oszukanej kobiety, zostali zaczepieni przez czujnego sąsiada, mężczyznę w wieku 79 lat. Zaskoczeni, zdecydowali się oddać mu pieniądze, a potem zaczęli uciekać. Wtedy bohater-ski sąsiad zaalarmował policję.

W toku dalszych czynności policjanci ustalili, że zatrzymani mogą mieć związek z podobnymi przestępstwami na terenie Świdnika, Zamościa oraz Lubartowa. Łączna suma strat poniesionych przez pokrzywdzonych seniorów przekracza 180 tysięcy złotych.

Zatrzymani usłyszeli zarzuty oszustwa. Jeden z nich miał w samochodzie środki odurzające. Sąd zastosował wobec obu mężczyzn tymczasowy areszt na trzy miesiące. Grozi im kara do 8 lat pozbawienia wolności.

LUB

KONKURS MISS POLSKI

Piękne dziewczęta na scenie



FOT. FOT. DOROTA TYSCZA

W sobotę poznamy 24 finalistki, które będą walczyć o koronę najpiękniejszej Polki 2 sierpnia w Nowym Sączu.

Kilkaset młodych kobiet zgłosiło się do tegorocznej edycji wyborów Miss Polski. Podczas castingów, które odbywały się od początku roku, grono ekspertek i laureatek z ubiegłych lat, wybrało 170 kandydatek, które spotkały się na pod koniec kwietnia w ćwierćfinale. Teraz zostało ich już tylko 50 i w sobotę zaprezentują się podczas pokazów w Hotelu Golden Tulip Warsaw Centre.

Wśród nich są cztery reprezentantki województwa lubelskiego: Karolina Adrianek, Paulina Szymczyk, Dominika Zalewska i Marlena Załoga. Trzymamy za Was kciuki, abyście znalazły się w ścisłym finale konkursu. Natomiast Czytelników zachęcamy do zajrzenia na naszą stronę www.kurierlubelski.pl, gdzie prezentujemy zdjęcia wszystkich pięćdziesięciu dziewcząt, które w sobotę będą konkurowały w Warszawie o wejście do finału konkursu Miss Polski.

LUB

Newralgiczne skrzyżowanie
znowu do poprawki?Artur Jurkowski
Lublin

Skrzyżowanie ulic Strzembosza, Walecznych, Węglarza i Kłopotowskiego jest liderem w Lublinie pod względem wprowadzanych na nim korekt. A to jeszcze nie koniec.

To najmłodsze - w obecnym kształcie - skrzyżowanie w Lublinie. Obowiązująca tam organizacja ruchu została wprowadzona 1 listopada ub.r. I od razu doradziła kierowców do szewskiej pasji. Powód? Korki.

Mieszkańcy dzielnicy Ponikwoda nadal sygnalizują brak jakichkolwiek zmian w organizacji ruchu, co rodzi uzasadnione poczucie zaniepokojenia oraz frustracji. Sytuacja komunikacyjna w tym rejonie, szczególnie po wprowadzeniu sygnalizacji świetlnej, w dalszym ciągu generuje znaczące utrudnienia, w tym zatory drogowe oraz wydłużony czas przejazdu - przekonuje Konrad Wcisło, radny klubu Radnych Prezydenta Krzysztofa Żuka w interpelacji do prezydenta Lublina.

Ratusz odpowiada, że pierwsza korekta została wprowadzona już 3 listopada 2025 r., czyli trzy dni po uruchomieniu sygnalizacji świetlnej. Ostatnia zaś 30 marca br.

- Obecnie sygnalizacja na tym skrzyżowaniu pracuje optymalnie. W godzinach



FOT. ARTUR JURKOWSKI

Obecnie sygnalizacja na tym skrzyżowaniu pracuje optymalnie. Nie znaczy to jednak, że dalszych zmian nie będzie - informuje ratusz

szczytu porannego pojazdy wjeżdżające na skrzyżowanie od ulicy Strzembosza opuszczają to skrzyżowanie w większości przypadków podczas pierwszego cyklu zmiany światła. W nielicznych sytuacjach kierujący muszą oczekiwać na drugi cykl w celu opuszczenia tego skrzyżowania - przekonuje Tomasz Fulara, zastępca prezydenta Lublina.

Nie znaczy to jednak, że dalszych zmian nie będzie. - W chwili obecnej trwają analizy możliwości wprowadzenia zmiany przeznaczenia pasów ruchu na wlocie ul. Strzembosza - przyznaje Fulara.

Z ul. Strzembosza na skrzyżowanie można wjechać

dwoma pasami. Jeden jest zarezerwowany do skręcających w lewo (w ul. Kłopotowskiego), drugi dzieli między siebie jadących na wprost (w ul. Walecznych) oraz skręcających w prawo (w ul. Węglarza).

Radny Wcisło pyta, czy możliwe jest dopuszczenie jazdy na wprost z lewego pasa oraz ustanowienie „zielonej strzałki” dla jadących w ul. Węglarza.

- Sprawa ma charakter pilny i dotyczy bezpośrednio codziennego funkcjonowania mieszkańców jednej z dynamicznie rozwijających się dzielnic Lublina - podkreśla Wcisło.

Miasto tłumaczy, że zielonej strzałki nie można stosować

przy „występowaniu strumieni kolizyjnych”. A takie dla pojazdów z ul. Strzembosza są na tym skrzyżowaniu m.in. z autami zawracającymi na ul. Węglarza czy jadącymi na wprost z ul. Kłopotowskiego.

- Ewentualne wydzielenie czasu na prawoskręt z ulicy Strzembosza związane byłoby ze „zabranieniem” tego czasu dla strumieni kolizyjnych wymienionych powyżej. W przypadku wprowadzenia zmiany przeznaczenia pasów ruchu na wlocie ul. Strzembosza przeanalizowana zostanie możliwość wprowadzenia strzałki warunkowego skrętu w prawo - deklaruje Tomasz Fulara.

Swastyki, rdza i brak tablic. Wraki straszą
na parkingach i jest z nimi duży kłopotJakub Sarek
Lublin

Przy ul. Jana Sawy 30d kilku tygodni stoi wrak Audi. Ostatnio samochód padł ofiarą wandal, którzy sprayem wymalowali na nim swastyki. Straż Miejska ustaliła już właściciela pojazdu i robi wszystko, by zdewastowane audi zniknęło z parkingu.

- Nikt go nie używa, z opon zeszło powietrze, brakuje tablic rejestracyjnych. A żeby dopełnić obrazu rozpacz, jakiś łobuz wymalował tam ostatnio symbole przypominające swastyki. Nie dość, że pojazd szpeci otoczenie, to jeszcze zabiera miejsce parkingowe, których w dzielnicy Rury jest jak na lekarstwo - żali się nam Czytelniczka.

Audi zlokalizowane jest na terenie należącym do Lubel-



FOT. MALGORZATA GENIA

Ten złom zajmuje miejsce parkingowe przy ul. Jana Sawy

skiej Spółdzielni Mieszkaniowej. - Otrzymaliśmy zgłoszenie o tym pojeździe. Sprawę przekazaliśmy do policji i Straży Miejskiej. Gdyby to od nas zależało, to usunęlibyśmy ten samochód. Ale nie możemy tego

zrobić, bo to czyjaś własność - mówi „Kurierowi” Iwona Derczyk, z-czyni kierownika osiedlowej administracji.

- Zajmujemy się sprawą. Zracji tego, że Audi znajduje się na terenie należącym do spółdzielni, czyli nie na drodze publicznej, nie możemy wystąpić do Zarządu Dróg i Transportu Miejskiego z wnioskiem o usunięcie wraku pojazdu. Możemy natomiast podjąć próbę kontaktu z właścicielem. I to uczyniliśmy w przypadku Audi przy Jana Sawy 3, w momencie, gdy samochód posiadał jeszcze tablice rejestracyjne. Do właściciela wysłaliśmy korespondencję, czekamy teraz na reakcję i będziemy chcieli, żeby zabrał samochód z tego terenu - wskazuje Robert Gogola, rzecznik Straży Miejskiej.

Tylko w 2026 r. do funkcjonariuszy Straży Miejskiej spły-

nęło 79 zgłoszeń o wrakach samochodów. - W wyniku działań dzielnicowych SM właściciele zabrali 43 wraki samochodów - przekazuje nam Gogola.

W tym roku ZDiTM wyraził zgodę na odholowanie ośmiu wraków, znajdujących się na drogach publicznych. Pojazdy te trafiły na strzeżony parking. Ich właściciele mają pół roku na odebranie. Po upływie tego terminu, gdy nikt się po nie zgłosi, wraki stają się własnością miasta. Po wykonaniu wyceny, jeśli ich stan na to pozwala, mogą zostać wystawione na sprzedaż w drodze licytacji i znaleźć nabywcę.

- W 2025 r. po interwencjach dzielnicowych Straży Miejskiej właściciele zabrali 232 wraki. 38 zostało odholowanych na parking po uzyskaniu zgody ZDiTM - uzupełnia Robert Gogola.

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

REFERENDUM

Wniosek ws. „Zielonego Ładu”

Prezydent Karol Nawrocki poinformował w czwartek, że zdecydował o skierowaniu wniosku do Senatu o przeprowadzenie referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej.

„Jako obywatelski kandydat na prezydenta podpisałem porozumienie z niezależnym samorządnym związkiem zawodowym »Solidarność«. Zadeklarowałem w nim między innymi, że podejmę działania hamujące negatywne skutki wynikające z polityki europejskiego Zie-

lonego Ładu, w tym w szczególności złożę do Senatu Rzecypospolitej wniosek o przeprowadzenie referendum w sprawie implementacji polityki klimatycznej Unii Europejskiej” – powiedział prezydent Karol Nawrocki w wystąpieniu dostępnym na profilu kancelarii prezydenta na Platformie X.

Podkreślił, że „decyzje podejmowane dziś będą miały wpływ na nasze życie przez długie lata” i ocenił, że dotyczy to „szczególnie europejskiej polityki klimatycznej”.

SPOTKANIE

Premier u papieża Leona XIV



FOTOFOT. VATICAN MEDIA

Wczoraj premier Donald Tusk spotkał się z papieżem. To pierwsza audiencja premiera u Leona XIV. Odbędzie się w przeddzień pierwszej rocznicy wyboru papieża z USA. Premier zawiązał papieżowi w podarunku Pięcioksiąg Mojżeszowy w języku kaszubski.

MEDIA

Będą walczyć z dezinformacją

Polskie media publiczne – Telewizja Polska, Polska Agencja Prasowa i Polskie Radio zawarły w czwartek porozumienie powołujące do życia inicjatywę „Sprawdzam to”. Głównym elementem inicjatywy będzie portal sprawdzamto.pl, na którym będą publikowane i porządkowane treści fact-checkingowe. Znajdą się tam m.in. newsy, analizy i raporty

oraz publicystyka wyjaśniająca mechanizmy manipulacji w mediach. Portal zbuduje własną redakcję, ale kluczowe dla rozwoju projektu będzie merytoryczne i instytucjonalne zaplecze mediów publicznych. Treści będą udostępniane w serwisie informacyjnym PAP, na portalu PAP.pl, w serwisach profilowanych oraz w kanałach społecznościowych Agencji.

POŻAR

Cały obszar pożaru jest aktualnie pod kontrolą, choć w środku niego wciąż są miejsca, które wymagają stałej interwencji strażaków – poinformował w czwartek szef MSWiA Marcin Kierwiński. Przez dwa dni akcji gaśniczej w Puszczy Solskiej wykonano z powietrza ok. 500 zrzutów – ponad 600 ton wody. Obszar pogorzeliska oceniany jest wstępnie na ok. 300 ha, ale obszar działań operacyjnych na około tysiąc hektarów.

Ustawa o kryptowalutach. To już trzecie podejście

Dorota Kowalska
Warszawa

W Sejmie mamy dzisiaj dwa projekty ustaw mające uregulować w Polsce rynek kryptowalut. Jeden po raz trzeci złożył rząd. Drugi – prezydent Nawrocki. Wszystko w sytuacji, kiedy afera Zondacrypto zatacza coraz szersze kręgi i pojawia się w niej coraz więcej nazwisk polityków prawicy

Rząd nie zamierza odpuszczać w kwestii kryptowalut. Dwie poprzednie ustawy w tej sprawie zawetował prezydent Karol Nawrocki. Teraz do Sejmu trafiła ustawa numer trzy, niewiele różniąca się od poprzednich.

– Jedyną zmianę, jaką będę proponował w tym projekcie, jest jeszcze wyraźniejsze zaostreżenie kar dla tych, którzy wykorzystując marzenia ludzi, czasami naiwność ludzi, czasami brak wiedzy, oszukują ich i narażają też państwo polskie, nasze bezpieczeństwo na szwank, a oszukują tych ludzi, którzy chcą zainwestować swoje oszczędności – przekazał Donald Tusk przed wtorkowym posiedzeniem rządu.

– Mamy do czynienia z jedną z największych afer ostatnich nie lat, ale dekad. Aferą, w którą wpłątani bezpośrednio są byli i aktualny prezydent i prawnicze partie opozycji, bezpośrednio finansowani politycy z tej opozycji. Macie ostatnią szansę, żeby pokazać, że coś do was dotarło –



FOT. ADAM JANKOWSKI

Rząd Donalda Tuska złożył trzeci już projekt ustawy ws. kryptowalut

podsumował we wtorek premier. Wywołani do tablicy postanowili działać. Prezydent Nawrocki, już po pierwszym zawetowaniu ustawy regulującej w Polsce rynek kryptowalut zapowiadał, że złoży do Sejmu swój projekt ustawy w tej sprawie, złożył go po drugim wecie.

– Pan prezydent w dniu dzisiejszym złożył do marszałka Sejmu projekt ustawy o kryptoaktywach, prezydencki projekt ustawy, który reguluje ten rynek – poinformował w środę szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki.

Prezydencki projekt ustawy, jak mówił Bogucki, „zasadza się na trzech zasadniczych filarach”.

”

Pokój na Ukrainie nie jest bliżej niż rok temu, a sytuacja na Bliskim Wschodzie będzie eskalować

dr Agnieszka Bryc specjalistka od stosunków międzynarodowych, Rosji i Wschodu z UMK



FOT. ADAM JANKOWSKI

Prezydent Nawrocki złożył swój projekt „osadzony na trzech filarach”

Pierwszy to ochrona konsumentów i inwestorów. Drugi – kwestia realnego i skutecznego nadzoru państwa. Trzeci – zabezpieczenie konstytucyjnych praw przedsiębiorców, którzy działają w ramach rynku kryptowalut.

Szef KPRP podkreślił, że projekt ustawy jest wyjściem na przeciw tym, którzy oczekują na regulację rynku kryptoaktywów.

Historia politycznej walki o uregulowanie, czy większą kontrolę nad rynkiem kryptowalut, trwa w Polsce już od kilku miesięcy. Pod koniec ubiegłego roku Karol Nawrocki zawetował uchwaloną 7 listopada ustawę o rynku kryptoaktywów. Wtedy

Zbigniew Bogucki decyzję Nawrockiego tłumaczył między innymi tym, że ustawa wprowadzała rozwiązania nadmierne, niejednoznaczne i nieproporcjonalne.

Prezes PiS, pytany wówczas przez dziennikarzy, jak jego klub zagłosuje w sprawie zawetowanej ustawy, oświadczył, że posłowie będą wspierać prezydenta. Przyznał jednak, że „kryptowalutami całkowicie się nie zajmuje”.

Sejm weta prezydenta nie odrzucił. Przeciw głosowali politycy PiS i Konfederacji.

Po głosowaniu premier Donald Tusk zapowiedział szybkie złożenie nowego projektu w tej sprawie. I tak też się stało – nowy projekt o identycznym brzmieniu, jak ten zawetowany, trafił do Sejmu i 18 grudnia ubiegłego roku został uchwalony.

W lutym tego roku prezydent Nawrocki zawetował ustawę po raz kolejny. Tłumaczył, że otrzymał do podpisu dokument praktycznie identyczny, jak ten, który wcześniej zawetował.

Głosowanie nad odrzuceniem prezydenckiego weta wyznaczono na 17 kwietnia. Sejm jednak i tym razem nie odrzucił weta prezydenta. Mimo że wszyscy posłowie wiedzieli to, o czym dzisiaj wiemy my wszyscy.

Tymczasem 17 kwietnia wszczęto śledztwo w sprawie giełdy Zondokrypto, prowadzi je Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości we Wrocławiu. PAP

Senat zagłosował za obowiązkowym czipowaniem psów i kotów. W ciągu pięciu lat obejmie wszystkie

Oprac. Anna Nagel
Warszawa

Obowiązkowe czipowanie psów i kotów zakłada ustawa o Krajowym Rejestrze Psów i Kotów (KROPIK), którą w czwartek poparł Senat.

Za ustawą wraz ze zmianami głosowało 56 senatorów, przeciwnych było sześć, 17 wstrzymało się od głosu.

Ustawa o KROPIK wprowadza obowiązek czipowania oraz

rejestracji psów i kotów w elektronicznym systemie prowadzonym przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Skrócono termin wejścia w życie ustawy od jej ogłoszenia – z trzech do dwóch lat. Jednocześnie zachowano trzyletni okres na oznakowanie i rejestrację zwierząt urodzonych przed wejściem w życie ustawy. W ciągu pięciu lat rejestr ma objąć całą populację psów i znaczną część populacji kotów w Polsce.

Ustawa wprowadza obowiązek oznakowania i rejestracji wszystkich psów niezależnie od daty urodzenia. W przypadku kotów obowiązek obejmuje zwierzęta, które mają właściciela, przebywające w schronisku lub pod opieką organizacji zapewniającej opiekę w domu tymczasowym. Rady gmin zdecydują, czy obowiązkiem czipowania objąć koty wolnożyjące. Obowiązkiem nie będzie można objąć kotów wolnożyjących bytujących

w gospodarstwach rolnych. Maksymalny koszt oznakowania i rejestracji psów niezależnie od daty urodzenia wynosi 0,56 proc. przeciętnego wynagrodzenia ogłaszanego przez GUS, czyli obecnie ok. 50 zł za każdą z tych czynności. Koszt pokrywa właściciel. W przypadku zwierząt już oznakowanych wystarczy rejestracja. Zwierzęta znakują i rejestrują lekarze weterynarii.

Przez trzy lata ARiMR zapewni bezpłatną rejestrację zwierząt oznakowanych wcześniej. PAP

Wybory w Anglii, Szkocji i Walii: zapowiada się klęska Partii Pracy

Grzegorz Kuczyński
Londyn, Edynburg, Cardiff

Wczorajsze wybory lokalne w Anglii oraz wybory do parlamentów Szkocji i Walii mogą przypieczętować los brytyjskiego premiera Keira Starmera. Wszystkie sondaże zapowiadają porażkę rządzącej Partii Pracy.

Mieszkańcy Anglii wybierali władze w 136 jednostkach samorządu terytorialnego, czyli w około jednej trzeciej z istniejących, w tym we wszystkich gminach Londynu. Do rozdzielenia jest łącznie 5066 mandatów radnych, z czego prawie 2200 bronią labourzyści. W Szkocji do obsadzenia jest cały skład tamtejszego parlamentu, liczącego 129 posłów, podobnie jak w Walii, której parlament, Senedd, zostanie powiększony z 60 do 96 miejsc.

Większość wyników zostanie ogłoszona prawdopodobnie w piątek po południu.

Według sondaży wybory przyniosą poważne przetaso-



Premier Keir Starmer i jego małżonka Victoria w drodze do lokalu wyborczego. Czy te wybory pozbawią go stanowiska?

wania w politycznym układzie sił i dalsze potwierdzenie tego, że funkcjonujący przez dekady system z dwiema dominującymi partiami coraz bardziej staje się systemem pięcio-, a w Szkocji i Walii nawet sześciopartyjnym. Przy okazji też coraz bardziej spolaryzowa-

nym, bo zyskują głównie partie skrajne.

Anglia: populiści w natarciu

W Anglii, zgodnie z sondażami, najwięcej mandatów zdobędą prawicowo-populistyczna partia Reform UK oraz lewi-

cowo-populistyczna Partia Zielonych. Dopiero o trzecie miejsce powalczą tradycyjne ugrupowania: Partia Pracy, Partia Konserwatywna i Liberalni Demokraci, przy czym labourzystom grozi utrata nawet dwóch trzecich mandatów, których bronią, a konserwatom połowy.

Szczególnie bolesna dla Partii Pracy będzie utrata wielu mandatów w Londynie, który do niedawna wydawał się miejscem, gdzie labourzyści nie mają z kim przegrać. Jednak spora część ich wyborców, rozczarowana niespełną dwuletnimi rządami Starmera, przeniosła swoje poparcie na Partię Zielonych.

Faworyci wyborów w Szkocji i Walii

W Szkocji pewna zwycięstwa może być rządząca od 2007 r. Szkocka Partia Narodowa (SNP), a niewiadomą jest tylko to, czy uda się jej osiągnąć bezwzględna większość. Jeśli tak się stanie, SNP używać tego będzie jako argumentu na rzecz rozpisania nowego referendum w sprawie niepodległości Szkocji.

O drugie miejsce - z dużą stratą do SNP - powalczą Partia Pracy i Reform UK, co z punktu widzenia labourzystów jest słabym wynikiem, biorąc pod uwagę, że jeszcze dwa lata temu mieli oni nadzieję na odsunięcie od władzy SNP.

Jeszcze większą katastrofą dla labourzystów może być Walia, gdzie Partia Pracy wygrała wszystkie wybory od powołania walijskiego parlamentu w 1999 roku i nieprzerwanie od tego czasu rządzi. Tymczasem, według sondaży, o zwycięstwo powalczą opowiadająca się za niepodległością partia Plaid Cymru oraz Reform UK, a labourzyści zajmą odległe trzecie miejsce.

Odsunięcie Starmera?

Spodziewane porażki labourzystów mogą jeszcze bardziej zachwiać pozycją premiera Keira Starmera. Mogą się do tego przyczynić wciąż powracające kontrowersje dotyczące wyznaczenia na ambasadora w USA Petera Mandelsona, mimo jego związków z Jeffreyem Epsteinem. Pojawiały się spekulacje w prasie, że część labourzystowskich posłów spiskuje w celu odsunięcia Starmera, a także na temat jego potencjalnych następców. PAP

REKLAMA

0011520421

Zarząd Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Lublinie

ogłasza pisemny przetarg ofertowy
na sprzedaż prawa odrębnej własności lokali przy:

1. ul. Pana Balcera 11/3 o pow. użyt. 38,70 m² (I klatka), parter, udział 3870/2156628, cena wywoławcza: 350.000,00 zł, wadium: 17.500,00 zł;
2. ul. Pana Balcera 11/34 o pow. użyt. 57,40 m² (II klatka), parter, udział 5740/2156628, cena wywoławcza: 440.000,00 zł, wadium: 22.000,00 zł;
3. ul. Pana Balcera 11/56 o pow. użyt. 47,90 m² (III klatka), parter, udział 4790/2156628, cena wywoławcza: 390.000,00 zł, wadium: 19.500,00 zł;

Wadium należy wpłacać na rachunek bankowy w Spółdzielczym Banku Powiatowym w Piaskach
nr 89 8689 0007 7000 6795 2000 0060.

Oferty wraz z dowodem wpłaty wadium oraz oświadczeniami: o wyrażeniu zgody na przetwarzanie danych osobowych i o zapoznaniu się z warunkami przetargu oraz lokalem należy składać w sekretariacie Spółdzielni ul. Rzeckiego 21 w terminie do 22.05.2026 r.

Otwarcie ofert nastąpi: 25.05.2026 r.

Mieszkanie można oglądać po uprzednim skontaktowaniu się z Administracją Os. im. M. Konopnickiej ul. Juranda 8, tel.: 509 845 305 i 573 104 941.

Zastrzega się prawo do zamknięcia przetargu bez dokonania wyboru oferty oraz odwołania lub unieważnienia przetargu bez podania przyczyn na każdym etapie, bez prawa dochodzenia jakichkolwiek roszczeń przez uczestników.

Szczegółowe informacje: Dział Członkowski tel.: /81/ 528-07-22; 528-07-21.

Regulamin warunków przetargu dostępny jest na stronie internetowej Spółdzielni: www.spoldzielniainsm.pl.

Sekretarz stanu USA Marco Rubio przybył do Rzymu na rozmowy z papieżem i rządem Giorgii Meloni

Oprac. Alina Mazurska
Włochy/Watykan

Wczoraj rano przybył do Rzymu sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych Marco Rubio, który tego dnia spotka się z papieżem Leonem XIV, a w piątek odbędzie rozmowy z premierem Włoch Giorgią Meloni.

O godz. 11.30 Rubio został przyjęty przez papieża Leona XIV na audiencji w Watykanie. To będzie ich drugie spotkanie. Pierwszy raz rozmawiali w dniu inauguracji pontyfikatu papieża z USA 18 maja zeszłego roku.

Do ich spotkania dojdzie w okresie bezprecedensowych napięć między Waszyngtonem a Stolicą Apostolską na tle wielu krytycznych wypowiedzi prezydenta USA Donalda Trumpa na temat Leona XIV.

Konflikt na linii papież - prezydent

Gdy Leon XIV zaapelował w kwietniu o pokój w Iranie i wezwał chrześcijan do skończenia z wojną oraz z „demonstrowaniem władzy”, prezydent Trump opublikował na platformie Truth Social



Marco Rubio wraz z małżonką przybyli wczoraj do Rzymu. W czwartek Rubio spotkał się z papieżem

wpis, w którym ocenił, że papież jest „fatalny” w polityce zagranicznej.

W opinii prof. Faggioli, profesora teologii historycznej na katolickim uniwersytecie Villanova, tego rodzaju spięcie w czasach nowożytnych nie zdarzyło się nigdy wcześniej.

Na uwagę, że Jan Paweł II także sprzeciwiał się inwazji na Irak za czasów prezydenta George'a W. Busha, profesor przypomniał, że polski papież nigdy nie poprosił amerykań-

skich wyborców o interwencję u ich przedstawicieli w Kongresie w sprawie deeskalacji wojny, jak zrobił to Leon XIV.

- Papież stał się głosem opozycji, nawet jeśli tego nie chciał. Jest dziś najbardziej widocznym przeciwnikiem Donalda Trumpa na arenie międzynarodowej - ocenił Faggioli.

W poniedziałek prezydent Trump ponownie skrytykował papieża. W wywiadzie dla The Hugh Hewitt Show amerykań-

ski prezydent stwierdził, że Leon XIV uważa za dopuszczalne posiadanie przez Iran broni nuklearnej, co zagraża wszystkim katolikom.

Jak podał portal vaticannews.va, papież odniósł się we wtorek do tych słów i powiedział, że „Kościół od lat wypowiada się przeciwko wszelkiej broni nuklearnej” i że aby rozwiązywać dzisiejsze problemy, znacznie lepszy od wspierania przemysłu zbrojeniowego jest dialog.

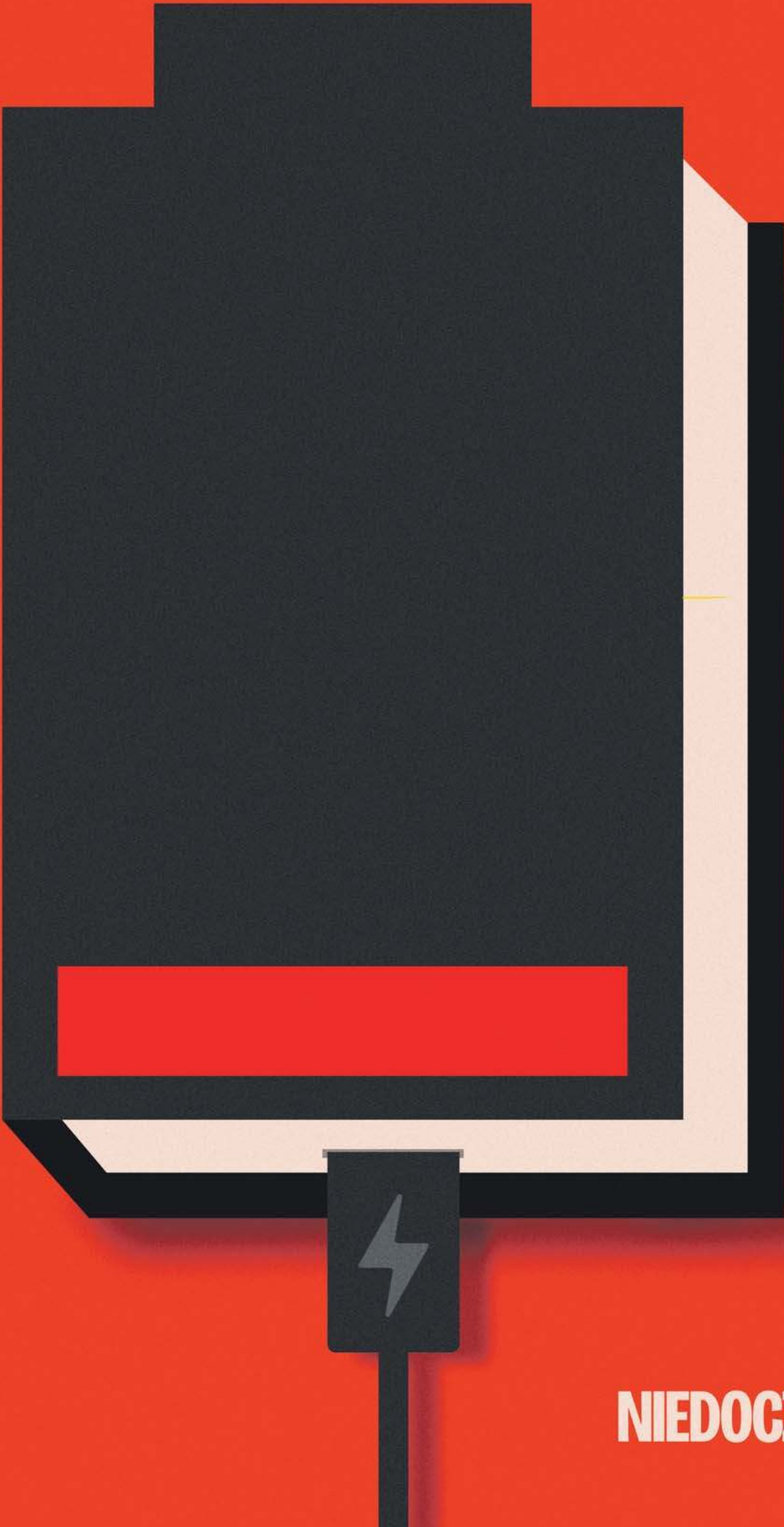
Według badania opinii publicznej przeprowadzonego dla amerykańskiej stacji NBC w połowie kwietnia br. 42 proc. Amerykanów oceniło papieża Leona pozytywnie, a tylko 8 proc. negatywnie. Równocześnie 41 proc. popierało prezydenta Trumpa, przy 53 proc. postrzegających go negatywnie.

Spotkanie z premierem

Dzisiaj przed południem Marco Rubio spotka się z premierem Włoch Giorgią Meloni. Przeprowadzi też rozmowy z szefem włoskiej dyplomacji, wicepremierem Antonio Tajanem i ministrem obrony Guido Crosetto. PAP

PULS

#215



**NASZE
NIEDOCZYTANIE**

Aby zmienić postrzeganie czytania przez społeczeństwo i decydentów, Fundacja Powszechnego Czytania zorganizowała w Warszawie konferencję Literacy for Democracy. Co takiego się stało, że czytanie przestaje być tylko miłym, dobrym nawykiem, a staje się sprawą strategiczną?

To bardzo dobre pytanie. Jak mówi Maryanne Wolf, profesorka neuronauki i znana amerykańska badaczka mózgu czytającego, jeśli nie będziemy dbali o to, co ona nazywa głębokim czytaniem, czyli o linearne, długie czytanie książek, zatracimy umiejętności, które sprawiły, że jako cywilizacja stworzyliśmy demokrację. To jedno. Druga odpowiedź pojawia się w słynnym Ljubljana Manifesto on Higher-Level Reading, czyli manifestie czytelnictwa z Lublany. Jego autorzy, badacze czytania i neuronaukowcy, mówią o tym w kontekście rozwoju sztucznej inteligencji. Zwracają uwagę, że musimy ćwiczyć mózgi, żeby radzić sobie w świecie, w którym coraz ważniejsza staje się umiejętność oceny treści. Łączą to z zalewem dezinformacji, z potrzebą budowania krytycznego myślenia, innowacyjności, kompetencji komunikacyjnych, rozmowy i współpracy z innymi. I pokazują, że czytanie właśnie to nam daje. Myślę, że ważnym elementem tej rozmowy jest świadomość, że czytanie, podobnie jak ruch fizyczny, jest strategicznym elementem dobrostanu społecznego. Dziś już wszyscy wiemy, że nie da się dobrze funkcjonować bez ruchu. Wiedzą to rodzice, szkoła, samorządy inwestujące w parki i siłownie plenerowe, wie to także biznes, który wspiera aktywność pracowników przez karty sportowe. A przecież sport pozostaje czynnością prywatną. Nikt nie może nas zmusić do biegania, pływania czy chodzenia po górach. Firma może dać kartę, burmistrz może zbudować siłownię w parku, ale decyzja nadal należy do nas. Z czytaniem jest podobnie. Ono powinno pozostać prywatną przyjemnością, prywatnym wyborem, naszym nawykiem. A jednocześnie powinniśmy rozumieć, jak bardzo jest strategicznie ważne. Nie uważam, żeby jedno przeczyło drugiemu.

Można rzec, że demokracja zaczyna się wcześniej niż przy urnie wyborczej, bo w domu, w pierwszych kontaktach dziecka z językiem? Można tak to ująć i bardzo mi się to ujęcie podoba. Kiedy mówimy o pierwszych latach życia dziecka, dotykamy sfery pediatrycznej i psychologicznej. Oczywiście neuronau-

– Prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Groźniejsze jest to, że czytanie zostanie przywilejem wąskiej warstwy, która będzie budować koncentrację i kompetencje, a duża część społeczeństwa nie zobaczy przyjemności ani w lekturze, ani w poruszaniu własnego mózgu – mówi Maria Deskur, prezeska Fundacji Powszechnego Czytania

Anita Czapryn



Maria Deskur: Dziś w Polsce mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana

MARIA DESKUR: BEZ CZYTANIA MOŻEMY SIĘ CYWILIZACYJNIE COFNAĆ

kowcy także się tym zajmują, ale bardzo mocno mówią o tym również pediatrzy. Na naszej konferencji pojawi się Dana Suskind z Chicago, profesorka pediatrii i chirurgii, która dużo mówi o bogactwie językowym. Nie zajmuję się czytaniem w wąskim sensie, mówi raczej o tym, że dziecko musi być otoczone słowami, bogactwem słownictwa, językiem. A to oczy-

wiście łączy się z książką, bo książka jest jednym z najlepszych narzędzi tworzenia zdrowego środowiska rozwojowego dla dziecka. Daje różnorodność słów, bogactwo języka i pojęć. Suskind mówi też o podmiotowości małego człowieka, o budowaniu jego mózgu, o namnażaniu się synaps. To jest opowieść o tym, że powinniśmy od samego początku upodmiotawiać

dzieci. Sprawiać, żeby pannały nad językiem, którym się posługują. Żeby miały narzędzia do wyrażania siebie, opisywania swoich emocji, potrzeb, myśli. Żeby mogły dochodzić do własnych wniosków. I to rzeczywiście jest budowanie, od urodzenia, świadomych uczestników demokracji. Najpierw małych ludzi, potem coraz większych, a w końcu nas wszyst-

kich jako wspólnoty. Pomagamy nam to na wielu poziomach. Wspominałam o nowych technologiach i dezinformacji, ale lekarze zwracają też uwagę na stabilizację emocji. Czytanie i język pomagają również w rozwoju poznawczym mózgu, w namnażaniu się synaps, w rozwoju struktur, które później pozwalają dziecku wybrać swoją drogę, zawód, kierunek życia. Mō-

wiąć najprościej: jeśli mózg jest dobrze rozwinięty, człowiek może pójść w bardzo różne strony i dokonać bardziej autonomicznego wyboru. Ale to także rozmowa o odporności. Dziś odmieniamy to słowo przez wszystkie przypadki: odporność psychiczna, emocjonalna, społeczna, asertywność. A odporność społeczności bierze się między innymi z tego, że potrafimy się komunikować, umiemy coś razem wypracować, razem działać. W tym sensie wszystkie wielkie wyzwania współczesności skupiają się jak w soczewce w pytaniu o czytanie. Powiedziałabym, że chodzi o to, jak użyć czytania jako narzędzia do mierzenia się z wyzwaniami współczesności.

Jakie dzieci wychowujemy, jeśli od pierwszych lat oddajemy ich uwagę ekranom, a nie językowi i rozmowie? Dziś telefony komórkowe montowane są nawet w wózkach, żeby dziecko podczas spaceru mogło oglądać bajkę. Daleka jestem od oskarżania rodziców, bo wielu robi to zupełnie nieświadomie. Ale fakt jest faktem: mamy dziś dużo badań pokazujących, że małe dziecko do rozwoju mózgu, koncentracji, stabilności i pewności siebie potrzebuje kontaktu z drugim człowiekiem, a nie z ekranem. Ekran oczywiście dziecko cieszy. I to jest pułapka. Coś się rusza, coś miga, można kliknąć. Ekran kradnie uwagę, bo wymaga od mózgu mniejszego wysiłku niż rozmowa, zabawa, obserwowanie świata. A do rozwoju potrzebujemy wysiłku. Wróć do porównania ze sportem. Żeby się ruszać, trzeba wstać z kanapy. Ale jeśli dziecko dużo biega, nie postrzega tego jako obowiązku. Dla niego to zabawa. Ktoś mu pokazał, że bieganie, kopanie piłki, spacer, chodzenie po górach czy ruch w parku są fajne. Przy dużym wysiłku, jak udział w maratonie, wydziela się dopamina. To ogromny wysiłek dla ciała, a jednak dziesiątki, setki tysięcy ludzi biorą udział w maratonach, bo sprawia im to przyjemność. Z czytaniem jest podobnie. Scrollowanie to pasywna aktywność, to symboliczne siedzenie na kanapie. Wiele osób to lubi, ale to nie znaczy, że jest to dla nich dobre. Jeśli komuś nie pokazano, że ruch może być przyjemnością, łatwo wejdzie w tryb życia, który z medycznego punktu widzenia nie jest najlepszy. Podobnie jest z ekranami. Z punktu widzenia rozwoju małych dzieci bardzo wczesne dawanie im ekranów nie pomaga. Dziecko powinno czasem trochę się ponudzić, obserwować przyrodę, a przede wszystkim być w re-

lacji z drugim człowiekiem. Oczywiście to oznacza wysiłek rodzica. Zdaję sobie sprawę, że płaczące dziecko najłatwiej uciszyć telefonem. Ale powinniśmy chcieć zrozumieć, o co mu chodzi, nawet jeśli jeszcze nie mówi. Wziąć je na ręce, sprawdzić, czy coś mu się nie stało, czy nie jest głodne, czy czegoś nie potrzebuje. A kiedy jest starsze – to wchodzić z nim w interakcję. Dom jest pierwszą przestrzenią ćwiczenia relacji społecznych. Dziecko potrzebuje rozmowy, bliskości, obecności. Potrzebuje czasem pokłócić się z rodzicem, postawić mu się, zobaczyć, że rodzic na coś się zgadza, a na coś nie. Że jest reakcja. Że coś jest dobre, a coś niedobre. Że nóż jest niebezpieczny, a łyżka bezpieczniejsza. To milion codziennych sytuacji, z których jako dorośli często nie zdajemy sobie sprawy. Dla rodzica to mogą być rozmowy pozornie trywialne: o tym, co wydarzyło się w parku, w przedszkolu, w książce; że wilk zrobił coś złego, a inny bohater coś dobrego. Ale właśnie to jest przygotowanie do życia. Dziecko potrzebuje tych rozmów, bliskości, obecności i czasu. Rozumiem, że jesteśmy zmęczonymi, zabieganymi rodzicami. Ale nadmiar ekranów jest dla dziecka po prostu bardzo niedobry.

Dzisiaj dzieci bardzo szybko uczą się obsługi nowoczesnych urządzeń. Znacznie wolniej uczą się cierpliwości, skupienia uwagi. Co dobrego daje czytanie? Dlaczego Fundacja Powszechnego Czytania tak mocno apeluje właśnie o czytanie?

Mam poczucie, że jako cywilizacja wykonaliśmy ogromną pracę w bardzo dobrym kierunku: udostępniania wiedzy wszystkim. Obowiązkowa edukacja była miłowym krokiem. Cała populacja została włączona w edukację, możliwości rozwojowe, w obietnicę równych szans. Telefon komórkowy również może być genialnie demokratycznym narzędziem. Każdy z nas ma, przy najmniej teoretycznie, dostęp do wszelkiej wiedzy. Ale jeśli jako społeczeństwo nie nauczymy się używać tego narzędzia tak, żeby nam sprzyjało, a nie obniżało nasz potencjał, na drodze ku równym szansom możemy się zatrzymać albo nawet cofnąć. Marzeniem cywilizacyjnym jest przecież to, żeby każde dziecko dostawało publiczną edukację i miało szansę zostać tym, kim zechce. To niezwyczajne, że żyjemy w takim miejscu świata, w którym możemy w ogóle o tym rozmawiać. Jeśli pozwolimy, żeby telefon zamiast stać się kolejnym narzędziem demo-

kratyzacji, stał się narzędziem pogłębiania różnic w wykształceniu, to będzie bardzo złe. Widać już pewien paradoks. Ludzie z Doliny Krzemowej, twórcy największych firm technologicznych i mediów społecznościowych, wysyłają własne dzieci do szkół, w których technologii prawie nie ma albo nie ma jej wcale. Bo wiedzą, jak bardzo media społecznościowe uzależniają. Sami je stworzyli. Myślę więc, że prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Niebezpieczeństwo polega raczej na tym, że pozostanie wąska warstwa, która nadal będzie czytać, budować koncentrację i kompetencje rozwijane przez czytanie, a duża część społeczeństwa nie będzie poświęcała czasu ani na ruch fizyczny, ani na poruszanie własnego mózgu. I, co również ważne, nie zobaczy przyjemności ani w jednym, ani w drugim. Prawdziwe wyzwanie cywilizacyjne brzmi więc: jak sprawić, żeby przyjemność ruchu fizycznego i przyjemność czytania stały się powszechne? Wracając do pani pytania, dlaczego czytanie jest tak istotne: dzięki niemu możemy stawać się tym, kim chcemy. Czytanie buduje nasze mózgi. I to w każdym aspekcie, bo mózg to nie tylko wiedza. To także umiejętność łączenia faktów, rozumienia związków przyczynowo-skutkowych, analizy, syntezy, matematyki, fizyki, nauk ścisłych. Jest wiele badań pokazujących, że osoby czytające są lepiej przygotowane do rozumienia pojęć z nauk ścisłych. Ale jest też cała sfera społeczna. Mózg ma wymiar relacyjny. Budujemy neurony lustrzane, ćwiczymy się w rozumieniu drugiego człowieka, we współpracy, we współtworzeniu. Światowe Forum Ekonomiczne wśród najważniejszych kompetencji przyszłości wymienia wiele takich, które dotyczą współpracy, kreatywnego myślenia, pracy z ludźmi i przywództwa. To wszystko. Mniej lub bardziej wprost, bierze się z tego, że pozwalamy sobie w szybkim świecie na powolne, głębokie skupienie na treściach. Czytanie ćwiczy mózg w czymś, do czego on wcale nie został pierwotnie stworzony. Nie ma w nim jednego miejsca odpowiedzialnego za czytanie. Żeby nauczyć się czytać i żeby czytać, uruchamiamy bardzo wiele obszarów mózgu. I właśnie dlatego czytanie jest tak dobroczynne. Powoduje, że nasz mózg zaczyna pracować na bardzo wysokich poziomach.

W programie konferencji, obok naukowców, edukato-

rów i przedstawiciele Komisji Europejskiej, znaleźli się także przedstawiciele biznesu. Czytanie może być dziś postrzegane również jako warunek konkurencyjności? To już nie jest tylko sprawa humanistów?

Zdecydowanie. To jedna z podstawowych prawd. Przyzwyczailiśmy się myśleć w pewnych torach. Tak są też zorganizowane nasze państwa: jest silos kultury, silos edukacji. Promocja czytelnictwa przypisana jest zwykle do silosu kultury. Zajmuje się nią Ministerstwo Kultury, na poziomie gminy wydział kultury, na poziomie europejskim komisarz do spraw kultury. To naturalne, bo społeczeństwa muszą być zorganizowane i trzeba dzielić obowiązki. Ale wyzwaniem jest uświadomienie sobie, że czytanie nie jest wyłącznie domeną humanistów. Oczywiście, że czytanie buduje kody kulturowe, naszą identyfikację, na poziomie regionu, państwa, kontynentu. Ale z punktu widzenia nauki Maryanne Wolf bardzo dobrze to ujmuję: zanim w ogóle rozpoczniesz rozmowę o wartości literackiej tekstu i kodach kulturowych, które on niesie, kiedy czytasz książkę, twój mózg już dostał całą pulę ćwiczeń analitycznych, syntetycznych, ćwiczeń krytycznego myślenia, zauważania perspektyw innych niż własna. Czyli uczenia się, że ktoś inny myśli inaczej. To wszystko dzieje się, zanim to zauważysz. Czytasz książkę, a twój mózg wykonuje ogromną pracę. Dlatego zanim zaczniemy rozmowę o jakości literackiej, kodach kulturowych czy kulturze wynikającej z tego, że czytamy te same książki, trzeba zobaczyć podstawowy poziom: czytanie jest treningiem mięśni mózgu. Ćwiczeniem operacji myślowych, które później decydują o tym, co jesteśmy w stanie zrozumieć, stworzyć i zrobić.

Celem Fundacji Powszechnego Czytania jest osiągnięcie 70 procent czytelnictwa w Polsce. Co praktycznie zmieniłoby się w państwie, gospodarcze, relacjach społecznych, gdybyśmy taki poziom osiągnęli?

W wielu krajach prowadzi się badania pokazujące, że wyższy poziom czytelnictwa przekłada się na PKB. W Polsce nie znam takich wyliczeń, więc trudno mi byłoby mocno się na nie powoływać. Natomiast wiemy, że większa liczba osób czytających w danej społeczności oznacza lepszy poziom komunikacji i mniejsze rozwarstwienie społeczne. To są rzeczy, do których dążymy. Sprowadźmy to do konkretnego przykładu. Dziś w Polsce

mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana: psychicznie, emocjonalnie, ale też kompetencyjnie. One już na starcie są w bardzo trudnej sytuacji. Gdybyśmy doprowadzili do tego, że czytałoby 70 procent dorosłych i 70 procent rodziców czytałoby dzieciom, mielibyśmy o 20 punktów procentowych więcej dzieci, które przychodzą do szkoły lepiej przygotowane. Dla których szkoła nie zaczynałaby się od traumy. To bardzo konkretna i ogromna korzyść społeczna. Oczywiście można mówić też szerzej: o procesach, dzięki którym rośnie umiejętność współpracy, rosną kompetencje innowacyjne. Polska ma bardzo duże ambicje w tym obszarze. Myślę, że tutaj wiele mogłoby się zmienić. Ale ta rozmowa jest trudna, bo, jak powiedziałam, nie mamy dziś w Polsce takich prognostycznych wyliczeń. Inne kraje to robią. Jako fundacja marzymy o tym, żeby mieć środki na takie prognozy i policzyć to także w Polsce.

Co z pomysłem Fundacji dotyczącym książki na receptę? Czy pediatra może dziś być sojusznikiem czytania?

Pediatrzy już są naszymi sprzymierzeńcami. W tym roku w nowym wydaniu podręcznika do pediatrii, wydawanym przez Medycynę Praktyczną, a to podręcznik, z którego szeroko korzystają pediatrzy w Polsce, zostaje dodany rozdział poświęcony badaniom pokazującym, jak bardzo dzieci od urodzenia potrzebują czytania i rozmowy. W tym samym rozdziale opisano, jak rekomendacje dotyczące czytania można wprowadzić do każdej wizyty w gabinecie, czyli do standardów pediatrycznych. To oznacza, że pediatrzy stają się naszymi sprzymierzeńcami systemowo. Nie chodzi już o to, że jeden, dwóch czy pięciu lekarzy będzie to robić z własnego przekonania. Chodzi o zmianę, która z czasem wejdzie w krwiobieg. Następne pokolenie pediatrów będzie miało tę wiedzę w swoim wykształceniu. Będzie postrzegało rozmowę, czytanie i dzielenie się książką z dzieckiem jako część medycyny. Ogromnie się z tego cieszymy. Do tej pory współpracują z nami już setki pediatrów w Polsce, ale to są ludzie, którzy nie uczyli się tego na studiach. Uczono ich o tym, że ważny jest ruch fizyczny, warzywa, witaminy, obok całej gigantycznej wiedzy pediatrycznej. Natomiast rozmowa o książkach, wspólnym czytaniu, dzieleniu się

książkami od najwcześniejszych miesięcy życia, to w Polsce novum. I nie tylko w Polsce. W wielu krajach pediatrizy stają się dziś bardzo ważnymi sprzymierzeńcami czytania.

Konferencja stawia pytanie o wsparcie rodziców i opiekunów, jako tych, którzy kształtują młode umysły. Jakiego wsparcia potrzebują tu rodzice?

Przede wszystkim informacji. Kiedy rodzi się dziecko, wielu rodziców uczestniczy w szkołach rodzenia. Potem pojawiają się neonatolodzy, pediatrizy. I właśnie tam mogłoby pojawić się bardzo ważne wsparcie: jasna informacja, dlaczego rozmowa, obecność i książka są tak ważne od samego początku. Bo jeśli nam w dzieciństwie czytano, jeśli mieliśmy książki w domu i było to naturalne, jest duża szansa, że będziemy czytać własnemu dziecku. Albo wystarczy, że ktoś nam o tym przypomni, i to wróci. Ale w Polsce, podobnie jak w wielu społecznościach w Europie, jest część ludzi, która takiego doświadczenia nie ma. Są rodzice oczekujący dziecka, którym nikt w dzieciństwie nie czytał. Oni mogą po prostu nie mieć takiego pomysłu. Dlatego rodzice potrzebują informacji: kiedy dziecko się rodzi, jego mózg jest neuroplastyczny. Żeby mógł się rozwijać, żeby wydobyc z niego cały potencjał, potrzebna jest obecność, rozmowa pełna bogactwa językowego i czas. Na początku trzeba się z dzieckiem książkami bawić: pokazywać obrazki, dawać książkę do ręki, pozwalać, żeby dziecko samo doświadczało kontaktu z książką. Warto szybko wciągać je w interakcję. A potem przychodzi czas na opowieści. To jest informacja, której część rodziców po prostu nie ma. Drugi element to sprawdzone na świecie programy, które zachęcają rodziców, by zaczęli bawić się książką w domu. Anglicy mówią: sharing books, czyli dzielenie się książką. Na wczesnym etapie rozwoju dziecka często unikają nawet słowa reading – czytanie, bo nie chodzi o to, żeby posadzić niemowlaka i czytać mu długi tekst. Chodzi o interakcję, wspólne skupienie. Jeden z profesorów pediatrii używa określenia: niespieszny czas. To dobrze oddaje sens tej praktyki. Chodzi o bycie bez pośpiechu, koncentrację, budowanie w dziecku poczucia: rodzic poświęcił mi czas, jestem ważny. Drugim bardzo ważnym elementem są programy, w których rodzic przychodzący do pediatrii usłyszy o korzyściach płynących z rozmowy i czytania

z dzieckiem, i po prostu dostanie książkę w przychodni. Tym właśnie jest książka na receptę. Wysyłamy bezpłatnie książki do przychodni. Tam, gdzie lekarze potwierdzą, że są gotowi je rozdawać, mogą połączyć przekazanie książki z krótkim komentarzem. Chcemy zaprosić do czytania przede wszystkim tych ludzi, którzy sami takiego doświadczenia nie mieli. Tych, którym z takiego czy innego powodu rodzice nie czytali. Prawdopodobnie część z nich należy dziś do grupy około 30 procent polskiej populacji, która nie ma w domu żadnej książki. Jeśli więc ma się wydarzyć sytuacja, o którą zabiegamy, książka musi znaleźć się w ręku rodzica. Międzynarodowe organizacje, takie jak brytyjski BookTrust, szkocki Scottish Book Trust czy włoskie Nati per Leggere, od dawna pokazują w swoich ewaluacjach, że samo mówienie: „Czytajcie dzieciom”, bez doprowadzenia do tego, żeby książka była w zasięgu ręki rodzica, daje dużo słabsze efekty. Bo inaczej pojawia się kolejna bariera. Powie dzieliśmy rodzicom, że to ważne, ale mama czy tata wraca do domu zabiegany, trochę zapomina, trochę nie wie, co właściwie miałby kupić takiemu małemu dziecku. I po prostu nic się nie wydarza. Jeśli damy rodzicowi książkę, sytuacja się zmienia. On nadal wraca do domu zmęczony, zabiegany. Ale książka wyjęta z torby staje się przypomnieniem tego, co powiedział lekarz. I wtedy dajemy sobie nieporównanie większą szansę na to, że rodzic naprawdę zacznie się tą książką z dzieckiem bawić.

CV



FOT. MATPRAS.

Maria Deskur

Wydawczyni, ekspertka w dziedzinie upowszechniania czytelnictwa oraz prezeska Fundacji Powszechnego Czytania. Współzałożycielka wydawnictwa Muchomor, inicjatorka serii „Czytam sobie” oraz cyklu o Basi. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, Sorbony oraz Université Lumière w Lyonie.

TWOJA PIERWSZA KO..., TWOJA PIERWSZA KOMÓRKA!

Ten tytuł to nie wymysł, to fragment reklamy sprzed kilkunastu już lat, która wciąż pozostaje aktualna, choć komórkę jako prezent komunijny można zastąpić nowszym gadżetem: pierwszą hulajnogą, albo pierwszym dronem. Daleko zaszliśmy także w przyjęciach komunijnych, które w niczym nie przypominają skromnych domowych obiadów sprzed lat. Choć i wtedy bywały wyjątki.

Anna Gronczewska

Dziesięcioletnia Nadia już nie może doczekać się ostatniej niedzieli maja. Tego dnia pójdzie do Pierwszej Komunii Świętej. Już zamówiła u chrzestnej tablet. Chrzestny ma jej kupić rower. Liczy, że babcie, dziadkowie i ciocie dadzą trochę pieniędzy. Może wtedy starczy jej na laptopa lub na konsole? Sama nie ma wielkich wymagań. Ale niektórzy koledzy z jej klasy chwalać się, że dostaną w prezencie quad czy elektryczne hulajnogi.

Nadia i jej koleżanki nie pójda do komunii w albach. Każda będzie miała piękną sukienkę.

- Ja mam już sukienkę, mama mi kupiła! - mówi dziewczynka. - Taką z falbankami. Mama ma mi też kupić buty na obcasiku i torebkę.

Kamila Łuczak, mamę 9-letniej Weroniki, pierwsza komunii córki czeka za rok. Była na komunii kuzynów i przerażała ją rewia mody, którą zobaczyła w kościele.

- Dziewczynki wyglądały jak małe księżniczki lub panny młode, zamiast wianka powinny mieć welony, a niektóre były ubrane w suknie z fiszbinami - wspomina nie bez oburzenia.

W różowej sukience

Stroje, w jakich dzieci przystępują do pierwszej komunii od lat budzą emocje. W Polsce jeszcze przed wojną dziewczynki chodziły do komunii w białych sukienkach, a chłopcy w ciemnych garniturach. Z czasem pierwszokomunijne ubiory stały się coraz bardziej strojne. Dziewczynki pojawiały się w kościele w wymyślnych kreacjach. Granatowe garnitury chłopców zastąpiły popielate, białe, a nawet zielone. W jednej z podlódzkich parafii rodzice tak chcieli wyróżnić swoją córkę, że ubrali ją do komunii w różową sukienkę.

Monika Gawrońska z Łodzi, mama Oliwii, która była w tam-

tym roku u komunii, nie chciała się zgodzić, by jej córka założyła albę. Tłumaczy, że zawsze marzyła, by jej córka w tym wyjątkowym dniu wystąpiła w białej sukience z falbanami. I jej marzenie się spełniło...

- Gdy nie ma alb, od razu wiadać, które dziecko jest biedniejsze, a które bogate - przekonuje z kolei Kamila Łuczak. - Dlatego najlepiej gdy wszystkie dzieci idą do komunii w albach.

Pani Basia, właścicielka jednego ze sklepów oferującego w internecie między innymi sukienki komunijne, mówi, że cieszą się dużym powodzeniem, choć w wielu kościołach idzie się do komunii w albach. Dlaczego?

- Rodzice chcą, by ich córki miały sukienkę na przebranie - wyjaśnia.

Pamięta, że kiedyś przyszła do jej salonu mama z 10-letnią dziewczynką. Miały ze sobą zdjęcie sukni ślubnej wartej 3.600 złotych.

- Pani poprosiła, byśmy uszyły taką sukienkę dla jej córki do komunii - wspomina pani Basia. - Sukienka była bardzo strojna, trzeba było jednak dokończyć korekt, na przykład zakryć ramiona. Nie wypadła przecież, by dziewczynka szła do komunii w odkrytych ramionach. No i cena była trochę niższa...

Pani Basia zapytała matkę dziewczynki, dlaczego wybrała taką właśnie sukienkę.

- Moja córka bardzo dobrze się uczy, zna kilka języków - tłumaczyła mamusia dziewczynki. - Zobaczyła na zdjęciu tę suknię ślubną i stwierdziła, że w takiej chce iść do komunii. Nie mogłam jej odmówić. Przecież

mam takie dobre i zdolne dziecko!

Parada mody czy przeżycie religijne?

Dziś w wielu kościołach dzieci idą do komunii w albach. Alby, czyli długie, białe tuniki, odpowiednio ozdobione, pojawiały się w kościołach w połowie lat dziewięćdziesiątych. Początkowo wielu rodziców odnosiło do nich nieufnie, ale z czasem się do nich przekonali. Nadal jednak nie wszystkie dzieci przyjmują komunię świętą w albach. Łatwiej przekonać do nich mieszkańców wsi, niż dużych miast.

- Był czas, że rodzice podchodzili bardzo opornie do alb - mówi ksiądz z jednej z łódzkich parafii. - Na szczęście to się zmienia. U nas już niemal wszystkie dzieci idą do komunii w albach. Niestety, nadal są tacy, którzy traktują komunię jako paradę mody, pewien folklor, a nie przeżycie religijne. Jest to dla nich rodzinna impreza, na której można się popisać kto ma ładniejszą sukienkę. Zwłaszcza mamy dziewczynek były oporne. Teraz jednak tylko pojedyncze dzieci podczas komunii nie mają u nas alb.

Katarzyna Marczak, łódzka nauczycielka, posłała córkę do komunii 10 lat temu. Wtedy jeszcze szły do niej dzieci uczące się w drugiej klasie (obecnie w trzeciej). Ola poszła do komunii w albie, choć mama kupiła jej też za 150 złotych sukienkę na przebranie. Inne dziewczynki miały je mieć, więc dlaczego miała bronić swojej jedynaczce?

- U nas ta komunii przebiegała normalnie - wspomina Katarzyna. - To znaczy było przyjęcie w restauracji na 20 osób, czyli najbliższej rodziny. Kosztowało nas około 2 tysięcy złotych. Nie było żadnych karet, limuzyn. A teraz słyszę, że znajomi zastanawiają się czy ich córka ma pojechać do komunii białą kareta czy limuzyną.

Kilka lat temu łódzką prasę obiegło zdjęcie dziewczynki, która pod kościół, w którym odbywała się uroczystość Pierwszej Komunii Świętej, zjechała piękną, białą kareta. Okazało się, że był to komunijny prezent od babci. Wynajem kosztował ją 600 złotych. Karetą pod kościół w czasie pierwszych komunii wywołała małą sensację, ale nie jest rzadkością. Kilka lat temu taką samą piękną kareta zjechała dziewczynka pierwszokomunijna pod kościół w łódzkiej Rudzie Pabianickiej. W maju sporo pracy mają też firmy wynajmujące takie pojazdy. Jedną z nich znajduje się pod Sieradzem. Jej właściciel tylko śmieje się, gdy słyszy, że w Łodzi ktoś wynajmął kareta za 600 złotych.

- Moja kareta jest elegancka, biała, pięknie wystrojona - dodaje. - Za wynajęcie jej na komunię w Łodzi biorę co najmniej 2 tysiące! Chętnych nie brakuje!

A jak kiedyś wyglądały komunie święte?

Komunia w stylu wileńskim

Jan Tomaszewski, były bramkarz ŁKS-u i reprezentacji Polski, do Pierwszej Komunii Świętej przystępował we Wrocławiu. Była to druga połowa lat pięćdziesiątych.

- Nie szedłem do komunii w garniturze, tylko w białej koszuli i granatowych spodniach - opowiada populary „Tomek”. - Tak też wyglądali moi koledzy. Dziewczynki były ubrane w długie sukienki, które wyglądały jak suknie ślubne. Taka była wtedy moda we Wrocławiu. Ja jestem

bowiem z tych „Karguli”, którzy wysiedli we Wrocławiu, a nie w Jeleniej Górze. To znaczy nie ja, a moi rodzice.

Bramkarz opowiada, że najgorsze było czekanie. Trzeba było wcześniej przyjść do kościoła i czekać na rozpoczęcie mszy świętej.

- Oczywiście wcześniej były próby, przygotowania, ale najgorsze było to wyczekiwanie przed kościołem już w dniu komunii - twierdzi Jan Tomaszewski. - Sama Pierwsza Komunia Święta była niesamowitym przeżyciem, tak jak spowiedź, która miała miejsce w sobotę. Na to się czekało. Dlatego, gdy tak w słońcu staliśmy przed kościołem, to czas bardzo się dłużył. Dobrze to zapamiętałem.

Po komunii wszyscy poszli do domu.

- Moja rodzina pochodziła z Wileńszczyzny, więc przyjęcie komunijne było bardzo huczne, już wtedy - opowiada „Tomek”. - Przy jednym stole siedziały dzieci, przy innym dorośli. A dzieci było dużo. Wiadomo, że dzieci szybko zjadły i pobiegły do zabawy. Ja bawiłem się z nimi. Potem przebrałem się w galowy strój i poszedłem z chrzestnymi na nabożeństwo do kościoła. Dopiero wtedy zaczęła się biesiada dorosłych. Nie powiem, że nie było alkoholu. A zabawa trwała do nocy. Było to prawdziwe wileńskie przyjęcie! Jan Tomaszewski pamięta, że w prezencie komunijnym dostał piłkę, rower i zegarek.

- Ale na te prezenty składała się cała rodzina! - dodaje.

Smutek podartych rajtuz

Elżbieta Nowaczyk do Pierwszej Komunii Świętej przystępowała w 1974 roku. Pamięta, że koleżanka mamy wróciła właśnie z Włoch i przywiozła jej piękne, białe rajtuzy.

- Były to tzw. kabaretki - wspomina Elżbieta. - Nie mogłam się doczekać kiedy je założę. Były takie piękne... Założy-

łem je w dniu komunii, byłam taka szczęśliwa. Wszystkie koleżanki z podziwem patrzyły na moje kabaretki.

Jednak to szczęście nie trwało długo. Podczas komunijnej mszy Elżbieta ukłękła. To samo zrobiła stojąca przed nią koleżanka...

- Uderzyła mnie butem w nogę i w moich kabaretkach zrobiła się ogromna dziura... Gdy szłam, by pierwszy raz przyjąć komunię świętą, nie myślałam o niczym innym jak o tej dziurze w rajtuzach. Miałam wrażenie, że wszyscy ją widzą. Potem mama ją jakoś zaczerowała, bym mogła w tych kabaretkach pozować do komunijnego zdjęcia.

Dobrze też pamięta komunijne prezenty. Dostała zegarek „Czajka” i rower „Wigry”.

- Najbardziej cieszył mnie rower - mówi Łodziańska. - Dostałam też z dziesięć bombonierek. Schowałam je do szafy, gdzie pięknie je ułożyłam. Były tak piękne, że żał mi było je otworzyć i jeść. Ale w końcu chciałam spróbować jedną czekoladkę. Niestety, pudełko było puste, tak jak kolejne. Okazało się, że wszystkie czekoladki wyjadł mój młodszy brat...

Zagubiony łańcuszek

Jolanta Śniegocka, łódzka lekarka, do komunii poszła na początku lat sześćdziesiątych. Przypomina, że najbardziej stresowała ją pierwsza spowiedź.

- Wszystkie grzechy spisałam sobie na kartce, bałam się, że któregoś zapomnę! - śmieje się dziś. - Przed samą komunią nie spałam chyba całą noc... Sukienkę uszyła mi ciocia, która była krawcową. A na głowie miałam wianek upleciony z żywych kwiatów. Zrobiły mi go starsze siostry.

Po uroczystości w domu był uroczysty obiad, ale zebrała się na nim tylko najbliższa rodzina. Jolanta nie zapomni, że w prezencie komunijnym od chrzestnej dostała... parasolkę.

*MOJA RODZINA POCHODZIŁA
Z WILEŃSZCZYZNY, WIĘC PRZYJĘ-
CIE KOMUNIJNE, A BYŁY TO LATA
50., BYŁO BARDZO HUCZNE –
OPOWIADA JAN TOMASZEWSKI*



FOT. ARCHIWUM DL



FOT. ARCHIWUM DL



FOT. ARCHIWUM DL



FOT. ARCHIWUM DL

Komunijne stroje przez długie lata były dość skromne. Pogoń za wyszukаныmi kreacjami w największym stopniu dotknęła dziewczynki. Prezenty zwykle były na miarę czasów - kiedyś standardem były rower, zegarek i radio tranzystorowe

- Chrzestny dał mi złoty łańcuszek - wspomina. - Nie cieszyłam się jednak nim długo. Po obiedzie pobiegłam z kuzynkami pobawić się na łące. I zgubiłam łańcuszek...

Anna Koczevska, łódzka prawniczka, do pierwszej komunii poszła w 1973 roku. Uroczystość miała miejsce w kościele pw. św. Kazimierza na łódzkim Widzewie. Nie zapomni, że nie spała niemal całą noc, by nie zepsuła się jej przygotowana wieczorem przez mamę fryzura. Mama zadbała też, by miała piękną sukienkę. W „Peweksie” kupiła białą kremplinę za wcześniej mozoliście odkładane dolary. Suknię szyla jej potem znajoma krawcowa, która pracowała w „Telimenie”. Jeździli na przyjaźni na Stoki, a Ania nie mogła się doczekać, kiedy założy to białe cudo...

- Przyjęcie komunijne odbywało się w domu - wspomina Anna. - Było na nim z 40 osób. Stoły były rozstawione

w dwóch pokojach. Mama nie chciała, by na przyjęciu komunijnym był alkohol. Wiadomo jednak, że w Polsce na takich uroczystościach bez alkoholu nie ma zabawy, ani apetytu. Tak też było u mnie. Kiedy po południu poszłam do kościoła z mamą i chrzestnymi po odbiór komunijnych obrazków, tata był gotowy. Schował wcześniej kilka butelek wódki i wyciągnął w czasie nieobecności mamy. Gdy wróciliśmy z kościoła, goście byli już wyraźnie rozluźnieni.

Anna pamięta, że na komunię dostała kolorowe mazaki, książkę o Ani z Zielonego Wzgórza, złoty pierścionek, łańcuszek i pieniądze.

Nie pamiętam, żebym dostał prezent

Nieżyjący już znany łódzki aktor Michał Szewczyk do Pierwszej Komunii Świętej poszedł zaraz po wojnie, w 1946 lub 1947 roku.

- Do pierwszej komunii przystąpiłem zaraz po tym jak otworzyli kościół pw. św. Franciszka w Łodzi - opowiadał nam Michał Szewczyk. - W czasie wojny w kościele znajdował się magazyn czapek wojskowych.

Rodzice przygotowali dla aktora garniturek, z krótkimi spodenkami. Zachował się jego komunijne zdjęcie. Stoi na nim z rodzicami, siostrą, chrzestną.

- Bardzo cieszyłem się, że do komunii poszedłem w podkolanówkach, a nie pończochach, w których nieraz musieli chodzić chłopcy, bardzo ich nie lubiłem - wspominał Michał Szewczyk.

Aktor nie pamiętał przyjęcia komunijnego, ale znając swoich rodziców, uważał, że na pewno było zorganizowane.

- W tej samej kamienicy przy ulicy Staszica mieszkała też moja chrzestna, więc przyjęcie musiało być - mówił nam pan Michał. - Nie pamiętam, żebym dostał jakiś prezent.

Wtedy nie było takiej mody. Rower dostałem kilka lat po niej. Miał jeszcze drewniane obręcze. Ten rower sam złożył mi tata Władysław. Uchodził za „złotą rączkę”. Potrafił wszystko. Złożył nawet radio. Potem cała kamienica schodziła się do nas, by posłuchać radiowych audycji.

Po komunii Michał Szewczyk został ministrem. Służył do mszy przez kolejne dziesięć lat. Bardzo to lubił.

- Mama zamawiała dla mnie wspaniałe komże - wspominał łódzki aktor. - Wyszywane, potem krochmalone. Uwielbiałem je!

Nie zapominajmy o istocie pierwszej komunii

Ks. dr Andrzej Blewiński, emerytowany proboszcz parafii Matki Bożej Dobrej Rady w Zgierzu, krytycznie patrzy na współczesne Pierwsze Komunie Święte.

- Rok albo dwa lata wcześniej rodzice załatwiają salę, w której ma się odbyć przyjęcie komunijne. Wybierają menu, zastanawiają się nad prezentami, a gubią istotę całej uroczystości - mówi. - A istotą jest sam sakrament Eucharystii. Pierwsza komunie wprowadza niejako do dorosłego życia religijnego. Po to dziecko chodzi na katechezę. Lekcje religii odbywają się w przedszkolu, potem pierwszej, drugiej i trzeciej klasie szkoły podstawowej. Trwa więc przygotowanie do Pierwszej Komunii Świętej, katecheści się trudzą, a wielu rodziców spłaszca całe zagadnienie, myśląc tylko co zewnątrz, a nie o tym co niesie z sobą przyjęcie tego sakramentu. A przecież Pierwsza Komunia Święta, pierwsza spowiedź są dużym przeżyciem dla dziecka. Tylko na tę sprawę zwracają niemal wyłącznie księża, katecheści. Dla większo-

ści rodziców ważne jest zupełnie co innego. Nie ma tu tej zgodności i jest to bolesne. Dprowadza to do tego, że uroczystość pierwszokomunijna staje się wydarzeniem o charakterze rekreacyjno-ludycznym. Zdarzało się, że dziecko podjeżdżało do kościoła na swoją pierwszą komunię białą karetą zaprzężoną w sześć koni.

Ks. Andrzej Blewiński przyznaje, że uroczystość Pierwszej Komunii Świętej skomercjalizowała się.

- Pamiętam, że w jednej z parafii rozmawiałem z dziećmi na temat prezentów komunijnych - wspomina. - Prześcigały się w opowieściach, co kto dostał. Były rowery, komputery, konsole. I odezwiała się w końcu jedna dziewczynka, która powiedziała: Dla mnie największym prezentem był Pan Jezus w Komunii Świętej! Zaległa niesamowita cisza. Zaskoczyła kolegów i koleżanki. Ale ta dziewczynka dała bardzo dojrzałą odpowiedź. To nie oznacza, że nie powinno się dawać prezentów na Pierwszą Komunię Świętą. To sympatyczny element tej uroczystości, bo zawsze miło jest coś dostać, ale nie należy stawiać dziecka na to, że ta uroczystość wiąże się tylko z upominkami. Nie można mówić dziecku, że przyjdzie wujek i da komputer, a ciocia - rower. Dziecko wtedy stawia się tylko na te prezenty. Marzy o nich, rozmyśla. Gubi się wtedy to, co jest w Pierwszej Komunii Świętej najważniejsze. Dochodzi nawet do takich sytuacji, że tuż przed komunią świętą rodzicom przypomina się, że dziecko nie jest ochrzczone. W naszej parafii na przełomie kwietnia i maja będzie kilka takich chrztów. Jeszcze raz powtórzę, że podczas Pierwszej Komunii Świętej najważniejszy jest wymiar religijny, nie komercyjny. Niestety, ten głos jest zagłuszony. Często posyła się dziecko do pierwszej komunii dlatego, że tak wypada, bo idą jego koledzy, koleżanki. Ekspozowane jest profanum, a sacrum jest pomijane.

Sam dobrze pamięta swoją Pierwszą Komunię Świętą. Przystępowała do niej setka dzieci.

- Cała uroczystość była skromnie przygotowana - opowiada. - Wiadomo, czasy były inne. Nie było takich wystawnych prezentów, obiadów, tylu gości. Do dziś pamiętam, że w czasie mszy świętej byłem rozproszony, rozglądałem się, by zobaczyć czy do komunii przystępują moi rodzice. Kiedy zobaczyłem ich u komunii, to uspokoiłem się...

Po uroczystości był w domu obiad. Byli na nim tylko rodzice, brat i siostra oraz chrzestni z rodzinami. Ks. Andrzej zapamiętał, że mama ugotowała rosół, a od chrzestnego dostał w prezencie radziecki zegarek i małe radio tranzystorowe.

W ostatnim czasie coraz częściej pojawiają się głosy, że nie powinniśmy całkowicie rezygnować z górnictwa i że ten segment gospodarki powinien zostać w pewnym zakresie utrzymany i zabezpieczony. Czy dostrzega pan zmianę podejścia w tym obszarze?

Tak, można zauważyć zmianę w myśleniu części polityków. Szczególnie po wybuchu konfliktu na Bliskim Wschodzie coraz częściej podkreśla się potrzebę utrzymania rezerw paliwowych i bezpieczeństwa energetycznego. W przypadku Polski takim strategicznym paliwem pozostaje węgiel. To podejście może w przyszłości wpłynąć na sytuację krajowych kopalń, w tym również Bogdanki.

Sytuacja Bogdanki wydaje się korzystniejsza na tle śląskich. Czy to daje jej przewagę?

Uważam, że przed Bogdanką są perspektywy, ale kluczowe będzie przetrwanie najbliższych dwóch lat. W ostatnim roku ceny węgla wyraźnie spadły. Już drugi rok z rzędu obserwowaliśmy tendencję spadkową. W tym roku poziom cen nie pozwala nam osiągać zysków na sprzedaży węgla, co znajduje odzwierciedlenie w wynikach finansowych. W pierwszym kwartale odnotowaliśmy stratę rzędu około 20 milionów złotych. Przy obecnych cenach utrzymanie rentowności będzie bardzo trudne. Jednocześnie uważam, że górnictwo czeka reforma i słabsze kopalnie, czyli te o najwyższych kosztach wydobycia, będą stopniowo wygaszane. Pojawiają się sygnały, że przygotowywany jest program uporządkowania sektora, który zakłada zamykanie najmniej efektywnych kopalń. W konsekwencji może to doprowadzić do spadku wolumenu wydobywania w Polsce, a w dłuższej perspektywie byłaby szansa nawet na wzrost cen węgla.

Przy każdej okazji prezes powtarza, że nie chce faworyzowania Bogdanki, a jedynie funkcjonowania na równych prawach z kopalniami na Śląsku.

Ja w tych wypowiedziach podkreślam przede wszystkim, że rynek węgla w Polsce jest nierówny. Gdyby obowiązywały jednakowe zasady dla wszystkich, byłibyśmy w zupełnie innej, dobrej sytuacji. Natomiast obecnie kopalnie śląskie mają mechanizmy wsparcia z budżetu państwa. W praktyce oznacza to, że różne sortymenty węgla są łączone, a następnie rozliczane w oparciu o uśrednioną cenę, co pozwala sprzedawać miały energetyczne po mocno zaniżonych cenach, a następnie od tej średniej pokrywana jest różnica względem kosztów produkcji. Gdyby natomiast rynek był bardziej uporządkowany i każdy asortyment - na przykład miał energetyczny - miał swoją wła-

sną, cenę referencyjną, sytuacja wyglądałaby inaczej. Wtedy mechanizm byłby bardziej rynkowy. W mojej ocenie taki model byłby zdrowszy dla całego sektora. Ograniczałby skalę dopłat, a jednocześnie pozwalałby wszystkim podmiotom funkcjonować na bardziej równych zasadach. W obecnym układzie trudno konkurować z kopalniami, które korzystają ze wsparcia finansowego.

Wróć do wyników za pierwszy kwartał i straty na poziomie około 20 milionów złotych. Jak ten wynik rysuje perspektywę na 2026 rok?

Przy obecnym poziomie cen należy się liczyć z tym, że spółka będzie generować stratę. Oczywiście dysponujemy zabezpieczeniem finansowym, które pozwoli nam przetrwać ten rok. Natomiast większy niepokój budzi perspektywa kolejnego okresu. Jeśli ceny węgla nie ulegną poprawie, przyszły rok będzie dla kopalni bardzo wymagający.

Przedstawiciele związków zawodowych mają zastrzeżenia, że podczas spotkania z zarządem nie przedstawiono im konkretnych planów na wypadek pogorszenia sytuacji spółki. Czy analizowane są różne możliwe scenariusze rozwoju sytuacji?

Bogdanka jest spółką giełdową, dlatego nie korzystamy z dopłat do wydobycia. Funkcjonują natomiast ustalone mechanizmy osłonowe, w tym zasady przechodzenia pracowników na wcześniejsze emerytury. Zakładamy, że bieżący rok może zakończyć się stratą, a kolejny, przy obecnym poziomie cen, będzie trudno przetrwać. Ale przetrwamy! Dysponujemy jeszcze rezerwami finansowymi, więc nie wymagamy finansowania zewnętrznego. Jednocześnie reforma sektora górnictwa, o której coraz częściej słyszymy, może w przyszłości pozwolić Bogdancie funkcjonować w bardziej stabilnym otoczeniu. Nie znam jeszcze szczegółów tych rozwiązań, ale pojawiają się sygnały, że

PRZETRWAMY TRUDNY OKRES

Podobne wyzwania mieliśmy już w latach 2014–2015, gdy rynek też był bardzo niestabilny - twierdzi Zbigniew Stopa, prezes Lubelskiego Węgla Bogdanka.

Krzysztof Nowacki



Zbigniew Stopa w kwietniu został wybrany na kolejną kadencję prezesa zarządu LW Bogdanka

większe znaczenie miałyby kopalnie najbardziej efektywne, które zabezpieczałyby potrzeby krajowych elektrowni. Natomiast te o wysokich kosztach byłyby stopniowo wygaszane. Z punktu widzenia rynku byłoby to rozwiązanie racjonalne.

To ważny sygnał dla pracowników Bogdanki. Związki zawodowe wskazują, że w 2009 r. wynagrodzenia w spółce sięgały dwukrotności średniej krajowej, podczas gdy obecnie jest to około 1,5-krotność. Czy w obecnych realiach sektora górnictwa możliwe jest utrzymanie tego poziomu relacji wynagrodzeń do średniej krajowej?

Nie jest to możliwe. Jeśli porównać wynagrodzenia naszych górników z wynagrodzeniami w kopalniach śląskich, to w Bogdancie są one wyższe. Nasi pracownicy, pracując wyjątkowo w dni powszednie, osiągają wyższe wynagrodzenia niż na Śląsku, gdzie wliczane są również dodatki za pracę w święta. W obecnej sytuacji finansowej spółki nie ma przestrzeni do podnoszenia płac. Oczywiście należy doceniać pracę górników, bo jest to ciężka i wymagająca praca, ale musi to być robione w sposób odpowiedzialny i proporcjonalny do możliwości firmy. Zbyt daleko idące postulaty

NIE BEZ POWODU MÓWI SIĘ, ŻE TO BOGDANKA POWINNA „GASIĆ ŚWIATŁO JAKO OSTATNIA”, BO NALEŻY DO NAJBARDZIEJ EFEKTYWNYCH KOSZTOWO KOPALN

mogą nadwyżyć stabilność finansową spółki.

Czy uda się wypracować porozumienie ze związkami zawodowymi? Górniczy są już zachęceni do rezygnacji z pracy w dni wolne.

W długi weekend majowy część górników normalnie pracowała i deklaruje również gotowość do pracy w kolejnych weekendach. Trudno więc mówić o jednolitej postawie całej załogi czy pełnej skuteczności tego typu apeli. W mojej ocenie część liderów związkowych działa dziś bardziej w logice politycznej i wizerunkowej niż w oparciu o realne kwestie pracownicze czy płacowe. Widać też, że wraz ze zbliżającymi się wyborami rośnie potrzeba znaczenia swojej obecności w przestrzeni publicznej.

Przedstawiając wyniki finansowe za 2025 rok, spółka podkreślała oszczędności m.in. na kosztach energii i pracowniczych. Na ile jeszcze możliwe jest dalsze ograniczanie kosztów w tych obszarach?

Przez ostatnie dwa lata w Bogdancie koszty spadły, choć nieznacznie. Obecnie spółka znalazła się w sytuacji, w której dalsze istotne obniżanie kosztów jest bardzo trudne. Jednocześnie część wydatków ma charakter nieunikniony. Aby utrzymać wydobywanie w przyszłości, na przykład na poziomie ośmiu milionów ton za dwa lata, już teraz konieczne jest wykonywanie odpowiednich wyrobisk przygotowawczych. To oznacza zwiększone nakłady w bieżącym okresie (capex). Podobnie jest z kosztami materiałowymi, z zakupem niezbędnych elementów do wyrobisk i urządzeń, aby kopalnia mogła normalnie funkcjonować. Możliwości dalszego ograniczania kosztów są więc już bardzo niewielkie i trudno oczekiwać znaczącego ich spadku w najbliższym czasie.

W perspektywie do 2030 roku kopalnia ma co roku wydobywać średnio 8 mln. ton. Czy uda się utrzymać ten poziom?

Moim zdaniem jest to możliwe. Już teraz widać, że spółki energetyczne nie tylko nie ograniczają odbioru węgla, ale pojawiają się sygnały, że zapotrzebowanie jest nawet nieco wyższe niż zakładano w strategii. Dodatkowo istnieje prawdopodobieństwo, że część bloków energetycznych, które pierwotnie miały zostać wyłączone w latach 2028–2029, będzie pracować dłużej. Być może o kolejne dwa, trzy lata. To oznaczałoby utrzymanie popytu na węgiel co najmniej do 2030, a nawet 2031 roku.

W strategii spółki przewidziane jest też poszerzenie działalności. W kwietniu podpisano porozumienie dotyczące utworzenia strefy ekono-

micznej przeznaczonej pod inwestycje przemysłowe i biznesowe. Jakie branże mogłyby być zainteresowane obecnością w tym rejonie?

Na tym etapie naszym priorytetem jest samo utworzenie strefy ekonomicznej. Mamy świadomość, że górnictwo, podobnie jak wcześniej w Wielkiej Brytanii czy Niemczech, w dłuższej perspektywie będzie wygaszane. Dlatego już dziś chcemy przygotować alternatywę i stworzyć nowe miejsca pracy w regionie. Planowana strefa ma powstać w rejonie Łęcznej, z możliwością powiązania jej z infrastrukturą Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Docelowo chcemy rozwijać ją we współpracy m.in. z Agencją Rozwoju Przemysłu, tak aby przyciągnąć inwestorów i stworzyć warunki do powstawania nowych zakładów. Jeśli chodzi o konkretne branże, na razie jest za wcześnie na jednoznaczne wskazania. Widzimy jednak potencjał wynikający z położenia strefy. Bliższość granicy z Ukrainą, która w przyszłości będzie się odbudowywać, może sprawić, że część firm zainteresowanych tym rynkiem zdecyduje się lokować inwestycje właśnie po polskiej stronie.

Niedawno został pan wybrany na kolejną kadencję prezesa zarządu Lubelskiego Węgla Bogdanka. Jak ma pan cele czy priorytety do zrealizowania w tej kadencji?

Przed wszystkim naszym celem jest przetrwać obecny, trudny okres. Podobne wyzwania mieliśmy już w latach 2014–2015, gdy rynek też był bardzo niestabilny. Dlatego wierzę, że i tym razem sobie poradzimy. Kluczowe będzie utrzymanie dyscypliny finansowej, która pozwoli zachować stabilność w trudnych warunkach. Równocześnie zadaniem, zarówno zarządu, jak i całej spółki, jest przygotowanie się na nadchodzące zmiany w górnictwie.

Czy można zatem podsumować, że przed Bogdanką są dwa trudne lata, ale w dłuższej perspektywie sytuacja rysuje się bardziej optymistycznie?

Zdecydowanie tak. To będą trudne lata i trzeba je po prostu przetrwać. Historia pokazuje, że na Lubelskiej było już zakładki, które miały potencjał, by funkcjonować dalej, ale nie poradziły sobie m.in. z roszczeniami płacowymi. W przypadku Bogdanki wierzę, że jest inaczej. Według mnie cała załoga jest zdeterminowana, żeby kopalnia działała jak najdłużej i wydobywała węgiel. Nie bez powodu mówi się, że to Bogdanka powinna „gasić światło jako ostatnia”, bo należy do najbardziej efektywnych kosztowo kopalń. Taki scenariusz jest możliwy, ale pod warunkiem, że przetrwamy ten trudny okres.

©P

BYŁ KILKANAŚCIE RAZY W CZARNOBYLU. OBAŁA MITY

Tomasza Górskiego ciągnęła do Czarnobyla chęć zweryfikowania obiegowych przekonań. - Miałem wrócić ze strefy śmierci schorowany i święcący w ciemności. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna!

Agnieszka Domka-Rybka

Minęło 40 lat od momentu, gdy 26 kwietnia 1986 r. niebo wokolicy Prypoci, w obecnej Ukrainie, rozświetliła łuna. Radioaktywny materiał wydobywał się z uszkodzonego reaktora czwartego bloku elektrowni atomowej w Czarnobylu. Tak było naprawdę. - Jednak z czasem mity na temat katastrofy zaczęły mieszać się z faktami. Z biegiem lat coraz trudniej ocenić, co jest fikcją, a co rzeczywistością tam się stało. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna - podkreśla Tomasz Górski, bydgoski „poszukiwacz tajemnic”, z wykształcenia archeolog i psycholog, z zamiłowania podróżnik.

Bydgoszczanina szczególnie pasjonują wyprawy do miejsc, które kryją sekrety, kręci go atmosfera opuszczonych miast i podziemi. Do tej pory odwiedził ponad 100 krajów, a w Czarnobylu był kilkanaście razy. Rozmawiał z ludźmi, m.in. byłymi mieszkańcami Prypoci, pracownikami elektrowni i słu chał specjalistów od energii jądrowej.

„Nie było żadnego grzyba atomowego”

To nie jest przypadek, że spotykamy się na terenie po byłym, bydgoskim Zachemie. Dokładnie przy rampie, która służyła do załadunku i wyładunku towarów. Na dole wciąż są nieużywane tory kolejowe (złomiarze jeszcze ich nie rozkradli), którymi kiedyś przyjeżdżały cysterny z chemikaliami.

- Mnie to miejsce kojarzy się ze strefą czarnobylską. Tam również linia torów kolejowych, tzw. eksterytorialna, przez teren Białorusi biegnie do samej elektrowni, czyli miejsca, w którym 40 lat temu doszło do katastrofy - wspomina pan Tomasz.

Skąd wzięła się jego fascynacja Czarnobylem? - Obejrzałem w telewizji film „Dzwony Czarnobyla”, wyprodukowany w 1996 r. Opowiadał, co działo się 10 lat od wybuchu reaktora. Była w nim pokazana Prypeć (obwód kijowski), czyli legen-

darne, opuszczone miasto duchów. I pojawiła się ogromna chęć, żeby je zobaczyć. Długo nie dawało mi to spokoju, aż pojawiła się możliwość, żeby tam pierwszy raz w życiu pojechać, w 2008 r. Wówczas nie było to miejsce modne, a raczej wypad tylko dla ekscentryków. Gdy powiedziałem, że wybieram się do Czarnobyla, niektórzy pukali się w głowę: „wróciś ciężko chory” lub „w ogóle nie wrócisz” albo „będziesz świecił w ciemnościach”.

Opowiada, że rzeczywistość okazała się zupełnie inna: - Dziś już wiemy z perspektywy czasu, że do wybuchu wojny w Ukrainie była to prawdziwa perełka turystyczna. Zjeżdżały tam tysiące osób i przewodników. Ci przewodnicy mówili, że po emisji serialu „Czarnobyl” zaczął się taki napływ turystów, że wycieczki trzeba było rezerwować z dużym wyprzedzeniem.

Najbardziej pamięta swoje pierwsze wyjazdy, gdy strefa była nieznana i to, jak zderzył się z mitem: - Wystarczy wpisać Czarnobyl w Google i mamy obraz katastrofy: tysiące ofiar, olbrzymi obszar skażenia na tysiące lat, nic tam nie żyje, nic się nie dzieje, strefa śmierci. YouTube'rzy nagrywali filmiki: „Byliśmy w Czarnobylu, nawet ptaki nie śpiewają”. Bzdury! Słyszałem ptaki, wiele ptaków. Dziś to ogromny rezerwat przyrody, raj dla zwierząt, który powstał na bazie czegoś ekstremalnie tragicznego. Można było normalnie wejść - relacjonuje i od razu tłumaczy się, że nie odwiedził strefy od wybuchu wojny w Ukrainie: - Na pewno teren jest zaminowany, stacjonowały tam wojska rosyjskie. Po wojnie trudniej tam będzie pojechać, bo przecież w Ukrainie są ważniejsze miejsca do rozminowania niż Czarnobyl.

Gwoli wyjaśnienia: wraz z upadkiem ZSRR zamknięta strefa wokół Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej uległa podziałowi na dwie części: ukraińską i białoruską. Obie znacznie się od siebie różnią i są zarządzane niezależnie od siebie. Strefa ukraińska jest bardziej znana i łatwiej



Rampa po bydgoskim Zachemie. „Tory jak w Czarnobylu”



Pan Tomasz w sterowni bloku czwartego czarnobylskiej elektrowni. Dokładnie w nim doszło do katastrofy w 1986 r.

dostępna. To tam znajduje się elektrownia, miasteczko Czarnobyl oraz słynne „opuszczone miasto” Prypeć. Strefa białoruska przez wiele lat była niedostępna dla osób z zewnątrz. Jest tam mnóstwo opuszczonych wsi, utworzono też „Państwowy Rezerwat Ekologiczny Polesie”.

Według bydgoskiego „poszukiwacza tajemnic”, katastrofa jest już mitem samym w sobie: - W filmach popularnonaukowych widzimy, że nagle doszło do potężnego wybuchu. Kojarzę scenę, jak rodzina je kolację i w ułamku sekundy domem mocno trzęsie, a gdzieś za oknem widać na horyzoncie grzyba atomowego. Nic takiego się nie wydarzyło! Katastrofa była bowiem rozciągnięta w czasie. Zaczniemy od tego, że to nawet nie miała być elektrownia. Produk-

wano w niej pluton na potrzeby wojska do broni nuklearnej. I stworzono miejsce, które miało udawać elektrownię. Nietypowa konstrukcja z mnóstwem działał w technicznych. Reaktory o wiele większe niż standardowe, więc trudno je było zamknąć w obudowach bezpieczeństwa. Płatania tysięcy rur i spawów, nad którymi trudno zapanować, więc w końcu musiało dojść do rozszczelnienia, właściwie na życzenie ludzi - tak postrzega to Tomasz Górski. Jak twierdzi, ktoś wymyślił, żeby przeprowadzić eksperyment, jak zachowa się reaktor w przypadku zaniku zasilania: - Wyznaczono już nawet datę próby i przeszkoloną do tego załogę. Wtedy z Kijowa przyszła informacja, że trzeba wstrzymać test w związku z bardzo dużym zapotrzebow-

niem na prąd. Zaczęto więc ten dzień przesuwając w czasie. W tzw. międzyczasie zmieniali się ekipy pracowników i przychodzili koleni, mniej zorientowani w temacie. W końcu przeprowadzono eksperyment w nocy i uruchomił on lawinę zdarzeń. Jednak nie doszło, jak jest to przedstawiane, do wielkiego wybuchu nuklearnego z grzybem atomowym. Ciśnienie rozsadziło metalową konstrukcję, która zawierała materiał radioaktywny. Zaczął się wydostawać na zewnątrz. Pierwsza eksplozja była mała, kolejna to wybuch chemiczny wodoru i wtedy też zginęła pierwsza osoba, Walerij Chodemczuk. Był w tym momencie w pobliżu płyty reaktora, jego ciała nigdy nie znaleziono. Blisko bloku czwartego do dziś wisi tablica upamiętniająca pierwszą ofiarę Czarnobyla - pan Tomasz mówi, że widział tę tablicę.

Dodaje, że w przypadku ogólnej liczby ofiar, także mamy do czynienia z bardzo dużym rozrzutem: - Internet „informuje” nawet o tysiącach ofiar, natomiast w samej katastrofie, pożarze reaktora, zginęło 35 osób. Choć i to może być zawyżony wynik, bo wśród tych 35 ofiar były cztery, które znalazły się tam zupełnie przypadkowo. Według pana Tomasza, mitem są również opowieści, jak przebiegała ewakuacja, to, że ludzi zabrano i nie mogli tam wrócić. Miałem okazję rozmawiać z mieszkańcami Prypoci. Wspominali, że najpierw pojechali do specjalnych obozów, potem przeniesiono ich do różnych hoteli robotniczych i był też czas, że pozwolono im wrócić, aby zabrać swoje rzeczy, odzież czy nawet meble. Często przydzielano rodzinom mniejsze lokale i część przedmiotów już nie była im potrzebna.

Dziś wyobraźnię rozbudza samotne przejście ulicami pustej Prypoci: - Mnie przypomina osiedle Błonie w Bydgoszczy sprzed 30 lat. Błonie bez ludzi. W Prypoci są tylko pracownicy strefy czarnobylskiej. Pilnują, żeby nie była rozkradana. Jednak lokalni złomiarze też działają.

Oczywiście, są miejsca bardziej skażone, gdzie chmura osiadała, jak m.in. w okolicy Czerwonego Lasu. Ale np. przy ścianie sarkofagu elektrowni (stalowa powłoka ochronna reaktora jądrowego, zbudowana po katastrofie) jest teraz promieniowanie radioaktywne mniej więcej na poziomie jak w Indiach (Rejon Kerala), gdzie ludzie normalnie żyją.

Tomasz Górski był w kilku lokalizacjach „grozy”, np. w sławnym czwartym bloku elektrowni, na płycie reaktora, gdzie doszło do wybuchu (łącznie znajdują się tam właśnie cztery bloki): - On robi największe wrażenie. Ta pustka, surowość miejsca, lecąca woda radioaktywna. Gdy pojechałem do Czarnobyla pierwszy raz, dużym wyczynem było w ogóle wejście do samej elek-

trowni, dwóch pierwszych bloków, z czasem strefa coraz bardziej się otwierała. W czwartym bloku byłem z kolegą. Oprowa- dzał nas pan, który miał klucze do wszystkich miejsc. Zapytał: „Panowie, to co chcecie zobaczyć?”. I tak zobaczyliśmy wszystko, co tylko się dało.

Kombinezony strażaków. One wciąż promienią

Przypadkiem zobaczył słynne zdjęcie ciężko chorego dziecka - „Igora z Czarnobyla”: - Mały chłopiec miał być zdeformowany, bo jego mama będąc w ciąży została napromieniona. Niestety Igora nie miało jednak związku z katastrofą. W jego życiu płodowym pępowina owinęła się wokół nóżek i to miało dramatyczne skutki. Historie opowiadane także o innych niepełnosprawnych dzieciach też można między bajki włożyć.

Pan Tomasz nie kryje, że od początku ciągnęła go do Czarnobyla właśnie potrzeba weryfikacji mitów. Wciąż powstają nowe. Kit dosłownie sprzed tygodnia, gdy była 40-rocznica katastrofy: - Wydawać by się mogło, że oglądam poważny program w telewizji. Była rozmowa ze strażakiem, który uczestniczył w akcji gaszenia pożaru w 1986 roku. Opowiadał niestworzone rzeczy. Mówił, że przyjechali gasić ogień i wykonali niesamowitą pracę, bowiem, gdyby nie ich działalność, to doszłoby do wielkiego wybuchu. Powstałby krater o średnicy 200 kilometrów, a strefa skażenia miałaby średnicę 800 kilometrów. Tymczasem nie było wybuchów jądrowych, które dokonałyby takich zniszczeń. Tak to wygląda, że z czasem fikcja miesza się z rzeczywistością, że coraz trudniej ocenić, co było naprawdę.

* * *

Czy pan Tomasz znalazł się kiedyś w sytuacji zagrożenia? - Tak, w podziemiach szpitala w Prypoci. Trafił do niego strażak, który uczestniczył w początkowej akcji opanowywania pożaru. Oni najbardziej ucierpieli, zmarli po kilku dniach na chorobę popromienną. Strasznie cierpieli. Ich kombinezony trafiły do ponurych piwnic szpitala. Będąc tam, przypomniałem, że wiele lat po katastrofie, musiałem je nie chcąc musnąć butem. Leżało tam mnóstwo różnych przedmiotów, szmaty, widziałem hełm czy butle po tlenie medycznym. Wraz z przesuwaniem się po korytarzach nasz licznik Geigera (promieniowania jonizującego - red..) zaczął intensywnie narastać, aż przełączył się na tryb alarmowy. Wychodząc ze strefy przechodzi się kontrolę promieniotwórczą. Przy mnie zapaliła się kilka razy czerwona lampka, znaczy „Groźno” (zielona to „czysto” i świadczy o braku napromieniowania). Przeszedłem dezynfekcję i dopiero wtedy opuściłem strefę. Szok, że tyle lat minęło, a te kombinezony wciąż promieniają. Szok. ©©©

– Zawsze przed porodem dokładnie ustalam, co mogę fotografować, czy rodzice chcą mieć na zdjęciach wyłaniającą się główkę czy nie – mówi Alina Gabrel-Kamińska z Białegostoku, fotografka porodowa

Urszula Śleszyńska

SFOTOGRAFOWAŁA JUŻ 30 PORODÓW I PRZY KAŻDYM MOCNO SIĘ WZRUSZA

Poród to bardzo intymny moment w życiu zarówno kobiety, jak i całej rodziny. Jak to się stało, że zaczęłaś w tę intymność wchodzić z aparatem?

To było 10 lat temu, w 2016 roku, ponad rok po porodzie mojego drugiego dziecka. Miałam depresję poporodową, problemy z karmieniem, więc szukałam wsparcia na kręgach kobiet. Robiłam zdjęcia na tych spotkaniach. Później zaczęłam też fotografować kobiety karmiące i jedna z mam, która była w pierwszej ciąży, spytała się, czy bym zrobiła reportaż z jej porodu. Od razu się zgodziłam. I od razu wsiąknęłam w tę tematykę. To był poród domowy, podczas którego płakałam jak bóbr, razem z rodzicami. Miałam bardzo trudne warunki, bo była noc i tylko kilka świeczek. Rodzice nie wyrazili zgody na publikację tych zdjęć, więc nie mogłam się pochwalić, że byłam przy porodzie. Ale te emocje, ta adrenalina, te endorfiny – tego nie da się porównać do niczego innego.

Ile porodów już sfotografowałaś?

Około trzydziestu.

Nie jesteś jedyną fotografką porodową w Polsce.

Kiedy zaczynałam 10 lat temu, było nas może trzy osoby, w tym jeden mężczyzna. Dziś w Polsce jest coraz więcej fotografek i fotografów porodowych.

Myślisz, że kobietom jest łatwiej fotografować porody niż mężczyznom?

Tak, wydaje mi się, że kobietom jest łatwiej. Poród to bardzo intymny moment. Ja zawsze przed porodem dokładnie ustalam, co mogę fotografować, czy rodzice chcą mieć na zdjęciach wyłaniającą się główkę czy nie. I myślę, że łatwiej jest zrobić takie zdjęcie mi, czyli kobiecie, która też już rodziła, niż mężczyźnie. Mój pierwszy osobisty poród był naturalny, a drugi – za pomocą cesarskiego cięcia, więc



FOT. MAGDALENA WŁASZEK

– Młodsze pokolenie położnych to osoby otwarte, widzą piękno narodzin. Jednak pokolenie starszych ma inne doświadczenia – często uważają, że poród to nie jest coś takiego, co warto zatrzymać w pamięci – mówi Alina Gabrel-Kamińska

mam różnorodne doświadczenia i myślę, że dzięki temu jest mi łatwiej.

Kiedy podczas porodu najczęściej naciskasz spust migawki?

Trudno znaleźć konkretne momenty. Naciskam spust, kiedy czuję, że te kadry opowiadają całą historię narodzin. Często fotografuję mało oczywiste detale, jak kosmyk włosów spadający na czoło, splecione dłonie rodziców...

Fotografia porodowa to chyba najintymniejsza z istniejących dziedzin fotografii?

Myślę, że tak. Ale wiem, że są też tacy, którzy robią jeszcze bardziej intymną, na przykład zdjęcia w trakcie... poczęcia.

Czy zdarza się, że przygotowująca się do porodu kobieta bardzo chce mieć fotograficzny zapis tego najważniejszego w jej życiu wydarzenia, a jej mąż czy też partner nie chce?

Tak się zdarza. Bywa, że mężczyzna się nie zgadza, bo uważa, że to zbyt intymne. Albo też nie zgadza się na robienie zdjęć w trakcie porodu, bo się boi, że zostaną na nich pokazane jego ogromne emocje. Ja w takich sytuacjach nigdy nikogo nie namawiam, bo to jest ich poród i to musi być ich wspólna decyzja. Ale przede wszystkim musi być zgoda kobiety, bo to jest jej ciało i jej przestrzeń.

Podczas porodów domowych kobieta i mężczyzna wpuszczają cię do swojej prywatnej przestrzeni i tam, w takiej intymnej atmosferze, z pewnością łatwiej jest fotografować poród niż w szpitalu?

To jest przepaść. Porody domowe to dużo większa swoboda dla rodziców, ale i dużo większa swoboda dla mnie. W domu rodzącą kobietę otaczają bliscy, rodzina i każdy, kogo rodzica zaprosi. Kiedyś tak właśnie wyglądały porody, że była obecna cała rodzina, tworzone kręgi kobiet. I ten poród domowy to jest taki powrót do tych więzi, do wspólnoty, na swoich warunkach. Jest pełna swoboda – rodząca kobieta może chodzić, ruszać się, wyjść nawet na spacer czy też zjeść coś, na co akurat ma ochotę. A w klinice raczej nie jest to możliwe.

W robieniu zdjęć podczas porodów domowych zapewne pomaga ci to, że pracujesz zazwyczaj ze sprawdzonymi położnymi, które dobrze znasz?

Tak. To działa w obie strony. Czasem podpowiedzą, w którą stronę układa się główka dziecka podczas porodu, że bym ją sfotografowała. Ja z kolei mogę podać im coś, czego potrzebują.

Czy bywa, że w szpitalach trafia się na opór – że rodzice bardzo chcą mieć zdjęciowy reportaż z porodu, ale personel szpitalny nie chce?

Tak. Uzyskanie zgody jest największym wyzwaniem. W jednym ze szpitali uzyskałam zgodę dopiero po bardzo długim staraniu, a w drugim – odmowę. Próbowalam różnymi metodami. To był bardzo długi proces. Myślę, że wiele osób z medycznego środowiska nie ma świadomości, że dla innych poród to nie tylko medyczne procedury, ale również relacje, emocje... Brak zgody na obecność doświadczonego fotografa odbiera rodzicom możliwość zatrzymania w kadrach tak ważnej historii. Młodsze pokolenie położnych to osoby otwarte, widzą piękno naro-

dzin. Jednak pokolenie starszych ma inne doświadczenia – często uważają, że poród to nie jest coś, co warto zatrzymać w pamięci. Kiedyś pani anestezjolog, obecna przy porodzie, zapytała mnie: co pani tu fotografuje? Powiedziałam, że wszystko: relacje, dotyk, nie tylko te czysto medyczne sytuacje. Widać było, że troszkę zrozumiała, ale nie do końca (śmiech). Jeden z lekarzy ginekologów też mnie kiedyś zapytał, co ja chcę fotografować. Przecież tutaj nic nie ma! Krocze pani będzie fotografować? – dziwił się. Pokazałam mu reportaże z porodu domowego i z kliniki. Zobaczył różne momenty, które dzieją się pomiędzy medycznymi procedurami – bliskość, napięcie, emocje, jak tata trzyma mamę za rękę, ale też uchwycony moment, kiedy wszyscy się śmieją, jedzą. I w końcu jak przytulają dziecko.

I jak zareagował?

Powiedział: Teraz wiem, co pani chce fotografować. Po czym zapytał: A jak jest podczas porodu z cesarką? Co pani pokazuje? Odpowiedziałam, że pokazuję pewne elementy procedur medycznych, ale to też jest coś, dzięki czemu kobiety się uczą, osławiają strach, bo widzą, jak to wygląda. Widzą, że to nie jest tak, jak się większości wydaje, że to prosty zabieg. To jest poważna operacja, ale też są przy tym bardzo duże emocje. Fotografuję i mamę, i personel – jeżeli się zgodzi. Te porody – naturalny i za pomocą cesarskiego cięcia – różnią się przede wszystkim szybkością. Bo emocje podczas jednego i drugiego są tak samo duże.

Jednak fotografowanie cesarki jest chyba dużo trudniejsze?

Jest trudniejsze technicznie, bo na sali operacyjnej mogę stać tylko w jednym miejscu i nie wolno mi niczego dotykać – mam więc bardzo ograniczone pole manewru. Jeżeli postawią mnie w miejscu, gdzie nie będę miała dobrego



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW

Zdjęcia Aliny Gabrel-Kamińskiej wykonane podczas porodów domowych. Jedna z fotografii – „Released” (powyżej) – zdobyła nagrodę Silver Award oraz Members’ Choice Award w prestiżowym konkursie IAPBP

widoku - to nie zrobię tego, co bym chciała. Ale na razie widzę otwartość w klinice, w której mogę robić porodowe zdjęcia, więc to mnie cieszy. Rozcięcie powłok brzusznych czy wyciąganie dziecka - w emocjach i w kadrach to jest coś pięknego. Na zdjęciach już widać twarz dziecka i to poczucie, że mama zobaczy ją dopiero za chwilę... Maluszka pokazuje jej tylko przez moment, dają do pocałowania i zabierają. Ja też wtedy idę na pierwsze spotkanie taty z dzieckiem, kiedy może je zobaczyć i przytulić.

Wspomniałaś o wielkich emocjach rodziców, którym rodzi się dziecko. Ale chciałam też zapytać o twoje emocje - czy łyży u ciebie nadal się pojawiają?

Już mniej, ale przy każdym porodzie mocno się wzruszam. Przy pierwszym porodzie bardzo płakałam, razem z rodzicami. Chłonę te ich emocje, ale staram się też zatrzymywać kadry, fotografować, jak rodzice płaczą. Jakbym sama się rozkleiła, to w ogóle żadnych zdjęć bym nie zrobiła (śmiech).

Ostatnio jedna z twoich porodowych fotografii - „Released” - zdobyła Silver Award oraz Members’ Choice Award w prestiżowym konkursie IAPBP.

Pierwszy raz wysłałam zdjęcia na taki stricte porodowy konkurs. Moja nagroda to dyplom International Association of Professional Birth Photographers. To największe międzynarodowe stowarzyszenie fotografów porodowych z siedzibą w Australii. Moje zdjęcie nagrodzono srebrnym laurem w kategorii Delivery oraz

Members’ Choice Award, które są przyznawane w głosowaniu przez profesjonalne fotografki porodowe z całego świata! Te zdjęcia pochodzą z przepięknego porodu, który miałam okazję fotografować w listopadzie 2025 roku. Mama zgodziła się na publikację tych zdjęć. To był już jej czwarty poród i był wspaniały.

Spotkałaś się wcześniej z tą rodziną, aby omówić zdjęcia?

No właśnie nie. Zazwyczaj umawiam się z rodzicami dużo wcześniej i czekam na telefon z informacją, że poród się rozpoczął, ale na ten poród nie miałam fotograficznego zlecenia. To był trochę inny przypadek. Moja znajoma miała kręcić film na zaliczenie do szkoły o tym, jak się pracuje przy porodach. Byłam tym podekscytowana, tylko musiałam znaleźć rodzącą mamę. Wiedziałam, że do szpitala czy też kliniki nie wpuszczają kolejnej osoby, więc taki poród od razu odpadał. Jednak dzięki zaprzyjaźnionej położnej, która przyjmuje porody domowe, udało mi się znaleźć mamę, której zbliżał się termin porodu. Powiedziałam, że zrobię zdjęcia bez wynagrodzenia, a rodząca mama będzie miała na pamiętkę i zdjęcia, i film. Tylko warunek jest taki, że zgodzi się na publikację. Zgodziła się. Przed porodem rozmawiałymy przez telefon, wszystko ustaliśmy i kiedy już dostałam sygnał, że poród się zaczął, zadzwoniłam od razu do tej dziewczyny od filmu. Okazało się jednak, że ją to przerosło i nie zdecydowała się jechać na poród. Byłam na nią zła, ale sama pojechałam. Było już ciemno. Usłyszałam, że w jednym z domów płacze dziecko. Pomyślałam, że się spóźniłam.

Na szczęście okazało się, że to płakało starsze dziecko. Weszłam tam zestresowana, patrzę - a mama stoi uśmiechnięta i rozmawiają z położną. To był długi, ale i piękny poród. Było dużo śmiechu, a to nagrodzone potem zdjęcie powstało już pod koniec. Asia rodziła bardzo długo, bo skurcze zaczęły się dużo wcześniej. Ja byłam tam koło godziny 20, a ona urodziła po 6 rano i była wykończona. Była tak zmęczona, że nie dała rady stać na nogach - mąż ją trzymał. To nagrodzone zdjęcie wykonałam w momencie, kiedy Asia poczuła już ulgę i mogła odpocząć z tym małym dzieckiem na piersi.

Co jest najpiękniejsze w fotografii porodowej?

Wszystko. To oczekiwanie, te emocje. Nawet nie sam moment porodu, chociaż on jest kulminacyjny. Piękne jest to, jak się to wszystko rozwija. Piękna jest mama, która - mimo że jest jej bardzo trudno - to ma ogromną siłę i robi wszystko, by jej dziecko przyszło na świat. Piękny jest tata, który ją wspiera, a gdy widzi swoje dziecko po raz pierwszy, to płacze. Piękne jest to, że kobiety później mogą zobaczyć na zdjęciach, jak bliscy je wspierali. Nie umiem tego słowami opisywać. Mogę to pokazać na zdjęciach.

Zdarzają się też pewnie trudne chwile?

To te, kiedy nie możesz pomóc... Kiedy widać, że rodzącą mamę bardzo boli, a ja nie mogę nic zrobić. Mogę jedynie trzymać ją za rękę. Co też robię. Czasem więc odkładam aparat i po prostu jestem obok. Trzymam za rękę lub masuję plecy.



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW

GEN. KRASZEWSKI: DRONY NIE ZASTĄPIĄ HAUBIC I WYRZUTNI. MUSIMY BUDOWAĆ CAŁY SYSTEM WALKI

– Drony są uzupełnieniem środków walki. W określonych sytuacjach tworzą dogodne warunki do prowadzenia innych działań, ale na pewno nie zastępują klasycznych systemów rażenia. Nie słyszałem jeszcze, żeby komuś udało się strącić pocisk artyleryjski na torze lotu, a drona jednak można strącić. Wiem, że haubice, wyrzutnie i tego typu systemy są droższe, ale przez wiele lat pozostaną niezbędnym elementem współczesnego pola walki – mówi gen. Jarosław Kraszewski

Anita Czapryn

Premier ogłosił w Rzeszowie projekt polskiej armady dronowej, budowanej z wykorzystaniem ukraińskich doświadczeń. Co powinno być w takim projekcie najważniejsze? Liczba dronów, czy to, że to będzie krajowa produkcja, czy coś innego?

Chodzi o to, żeby ta armada była rozwiązaniem systemowym i wieloaspektowym. To nie mogą być wyłącznie drony powietrzne. Musimy myśleć także o dronach lądowych i morskich, o systemach antydronowych, ale również o systemach zarządzania przestrzenią powietrzną. Bo jeżeli taka armada ruszy bez właściwego systemu koordynacji, to przeciwnik nie będzie nam już potrzebny.

Polska powinna kupować gotowe systemy czy budować własny ekosystem?

Mamy naprawdę bardzo dobre rozwiązania. W dużej części są one dziś w rękach prywatnych firm. Dlatego trzeba jak najszybciej doprowadzić do ich konsolidacji z Polską Grupą Zbrojeniową. Te rozwiązania były testowane w ubiegłym roku podczas ćwiczenia „Żelazny Wojownik”, a teraz są w kolejnej fazie, związanej z programem Tarcza Wschód. Naprawdę nie mamy się czego wstydzić. Nie możemy jednak patrzeć z huraoptymizmem wyłącznie na rozwiązania ukraińskie. Część z nich to rozwiązania wojenne, czasem wręcz garażowe. Na Ukrainie sprzęt, który jest potrzebny na froncie, trafia do walki bardzo szybko, często już na niższym poziomie gotowości technologicznej. W Polsce sprzęt, który ma być używany przez wojsko, musi spełniać znacznie bardziej rygorystyczne wymagania, często oczekuje się po-

ziomu TRL 9, czyli technologii gotowej do wdrożenia. Na Ukrainie w warunkach wojny dopuszcza się rozwiązania na wcześniejszym etapie, bo są potrzebne natychmiast. Kluczem do sukcesu jest to, żebyśmy nie patrzyli na prywatne firmy jak na zbędny dodatek. Tam naprawdę są bardzo dobre rozwiązania. Od Ukraińców natomiast musimy, podkreślam to z całą stanowczością, czerpać przede wszystkim doświadczenie dotyczące tego, jak te systemy wykorzystuje się w walce. Dziś wszyscy koncentrujemy się na małych dronach, zwłaszcza typu FPV. One są oczywiście potrzebne, ale są też większe bezzałogowce i od nich również trzeba zaczynać budowanie całego systemu. Nie wolno nam skupić się tylko na jednym typie sprzętu. Powtarzając: to musi być ekosystem wielowarstwowy i wielokonstrukcyjny. Jeżeli skoncentrujemy się wyłącznie na jednym rozwiązaniu, popełnimy poważny, kardynalny błąd.

No właśnie, w Ukrainie wojskowe innowacje często rodzą się na styku żołnierz - inżynier - mała firma. Ukraińcy potrafili sprzęt dronowy zmieniać co kilka tygodni. Polski system zakupów wojskowych potrafi działać w takim tempie?

Pani redaktor, absolutnie tak – ten sprzęt zmienia się bardzo szybko. Technika dronowa może nie rozwija się jeszcze w takim tempie jak technika komputerowa, ale proszę mi wierzyć: zmiany następują błyskawicznie. Współpracuję z Ukraińcami, bo kieruję firmą dronową i tworzymy własne systemy. W rozmowach Ukraińcy sami podkreślają, że ciągle pojawia się coś nowego.

Rosjanie przecież nie śpią. Oni też bardzo szybko się uczą, przechwytyują ukraiński sprzęt, rozbierają go i na zasadzie inżynierii odwrotnej sprawdzają, jak działa dany system. Dobrym przykładem są rosyjskie drony typu Shahed, zwłaszcza te lecące na przedzie ugrupowania. Według informacji z pola walki część z nich jest wyposażona w miniaturowe systemy zakłócające oraz urządzenia detekcyjne. Jeżeli taki system wykryje obiekt w bezpośredniej bliskości, może na kilka sekund aktywować zakłócanie, żeby nie doszło do kolizji, zniszczenia albo uszkodzenia drona. To pokazuje, że wojna wymusza stały postęp technologiczny. Nie możemy czekać, aż ten postęp zwolni, bo nie wiemy, kiedy i czy w ogóle zwolni. Zrobiliśmy już pewne kroki. Powstał Inspektorat Wojsk Bezzałogowych Systemów Uzbrojenia, ale to za mało. Potrzebna jest rada albo komisja, która stale łączyłaby świat nauki, wojsko i przemysł. Nie może spotykać się od czasu do czasu, tylko regularnie. Wtedy unikniemy sytuacji, w której coś przeoczymy albo coś nas ominie. Rekomendacje powinny być przygotowywane szybko, a na ich podstawie wojsko powinno szybko kupować. Tym bardziej że w przypadku prostszych dronów nie mówimy o wydatkach porównywalnych z zakupem HIMARS-ów, armatohaubic Krab, czołgów K2, K9, Leopardów czy Abramsów. To są rozwiązania zdecydowanie tańsze. Pytanie, kto miałby je kupować: Agencja Uzbrojenia czy inny podmiot wskazany przez ministra obrony narodowej. Można też rozważyć model, w którym dowódcy kupowaliby część systemów samo-

dzielnie. To nie jest głupi pomysł, pod warunkiem że odbywałoby się to na podstawie jasnych rekomendacji. Bo jeżeli każdy kupi coś innego, to później nawet wewnątrz jednej jednostki bardzo trudno będzie to zintegrować.

Czy nie grozi nam to, że armada dronowa bardziej będzie się budować na konferencjach niż w jednostkach wojskowych? Po czym poznamy, że ten projekt naprawdę działa?

Po czym poznamy? Na poligonach. Konferencje konferencjami. Mam do nich ambiwalentne podejście z prostego powodu: decydenci, jeżeli już pojawiają się na takich wydarzeniach, to najczęściej na początku. Są witani, proszeni o wygłoszenie przemówienia, a potem znikają. Konferencja toczy się dalej, ale często bez sensu z punktu widzenia decyzji, bo oni nie słyszą tego, co później zostaje tam powiedziane. Dlatego potrzebne jest ciało, rada albo komisja, która analizowałaby pojawiające się rozwiązania i składała rekomendacje. Bo nie wszystko, co nowe, czy na Ukrainie, czy gdziekolwiek indziej, jest od razu rozwiązaniem, które musimy natychmiast mieć. W Polsce jest dziś bardzo dużo ciekawych projektów. Problem polega na tym, że sektor prywatny nie ma właściwego umocowania. Od pewnego czasu powtarzam, że mamy Ministerstwo Aktywów Państwowych, czyli w praktyce ministerstwo spółek Skarbu Państwa, a powinniśmy mieć Ministerstwo Aktywów Państwa. Bo aktywności państwa są także prywatne firmy, ich technologie, kompetencje i ludzie. Dziś sektor prywatny jest w dużej mierze pozostawiony sam sobie. Nie ma nad nim

żadnej realnej kurateli państwa, żadnego sensownego systemu wsparcia. Więc do kogo taka firma ma pójść po finansowanie? A jeśli już człowiek gdzieś się doczłoga, zapuka do właściwych drzwi, to procedura walidacji trwa miesiącami. Żaden startup tego nie wytrzyma.

Unia Europejska uruchamia SAFE, czyli preferencyjne finansowanie inwestycji obronnych. Polska ma dostać duże środki na obronność, ale co powinno być priorytetem: obrona powietrzna, amunicja, drony, cyberbezpieczeństwo?

Cyberbezpieczeństwo na pewno tak. Amunicja, zwłaszcza ta dużego kalibru, również. Od artylerii, haubic i wyrzutni rakietowych jeszcze długo nie odejdziemy, bo one są potrzebne. Nie wyobrażamy sobie, że drony zastąpią armaty, haubice i wyrzutnie rakietowe. One są uzupełnieniem środków walki. W określonych sytuacjach tworzą dogodne warunki do prowadzenia innych działań, ale na pewno nie zastępują klasycznych systemów rażenia. Nie słyszałem jeszcze, żeby komuś udało się strącić pocisk artyleryjski na torze lotu, a drona jednak można strącić. Wiem, że haubice, wyrzutnie i tego typu systemy są droższe, ale przez wiele lat pozostaną niezbędnym elementem współczesnego pola walki. Wracając do meritum: musimy zachować równowagę. Potrzebne jest ciało, które będzie rekomendowało Ministerstwu Obrony Narodowej konkretne kierunki działania. Nie wiem, czy powinna to być istniejąca Rada Modernizacji Technicznej, czy nowe ciało powołane przy ministerstwie. Ważne, żeby było to

ciało eksperckie, złożone z przedstawicieli nauki, wojska i przemysłu. SAFE ma swoje priorytety, ale problem polega na tym, że firmy często nie wiedzą, jakie one są i kto ma szansę z nich skorzystać. Być może wie to wąska grupa ludzi, ale z perspektywy wielu przedsiębiorców ta wiedza nie jest dostępna. Firma nie wie, czy się kwalifikuje, czy nie. Ja takiej wiedzy nie mam.

Jaki rodzaj myślenia dominiuje dziś w polskich zakupach obronnych? Kupujemy najnowocześniejsze platformy, czy budujemy system, który ma przetrwać pierwszy miesiąc wojny?

Sprzęt wojskowy kupuje się na lata. Zwłaszcza ten drogi sprzęt nie jest kupowany tak jak samochód. Kiedyś samochód też kupowało się na lata, ale dziś uwarunkowania są inne. Użytkownik często wymienia auto po trzech, pięciu latach. W przypadku sił zbrojnych mówimy o perspektywie około trzydziestu lat. Na tyle kupuje się sprzęt wojskowy. Dlatego musimy bardzo dobrze analizować rynek. Biura konstrukcyjne w polskich zakładach przemysłu obronnego powinny tak ukierunkowywać prace badawczo-rozwojowe, żeby powstawał sprzęt odpowiadający konkretnym potrzebom wojska. Ale trzeba też mieć świadomość, że takiego sprzętu nie buduje się w ciągu roku. To się po prostu nie da. Są testy zakładowe, są testy kwalifikacyjne, a potem sprzęt musi trafić do użytkownika. Żołnierz musi go dostać do ręki, sprawdzić, przeciw- czyć, w cudzysłowie – musi się nim pobawić. Dopiero wtedy może powiedzieć producentowi: to trzeba poprawić, to zmienić, to usunąć, a to zaprojektować inaczej. Nawet naj-

bardziej zdolny konstruktor czy inżynier nie stworzy od razu sprzętu idealnego dla żołnierza. Nie będzie tak, że do pojazdu czy systemu wsia- dzie doświadczony, dobrze wyszkolony żołnierz i natych- miast powie: „Tak, to jest do- kładnie to, na co czekałem”. Może słowo „nigdy” byłoby przesadą, ale żeby to było możliwe, zakłady musiałyby mieć specjalne komórki zło- żone z byłych żołnierzy, z lu- dzi, którzy odeszli już ze służby na emeryturę, ale mają ogromne doświadczenie prak- tyczne. Kilku, może kilkun- stu takich specjalistów po- winno stale współpracować z konstruktorami, testować rozwiązania, sprawdzać je w praktyce i wskazywać, co trzeba natychmiast zmienić. Niestety w naszym państwo- wym przemyśle zbrojenio- wym takiego modelu wciąż brakuje.

Jak uniknąć sytuacji, w której kupujemy drogi, efektowny sprzęt, ale potem brakuje amu- nicji, części zamiennych, ope- ratorów albo osłony przed dro- nami? Da się to zrobić?

Da się. Trzeba tylko myśleć o całym systemie, a nie wy- łącznie o zakupie platformy. Jeżeli kupujemy czołg, hau- bicę czy wyrzutnię rakietową, to jeszcze przed podpisaniem kontraktu powinniśmy bar- dzo dokładnie oszacować, ile czasu potrzebujemy w Polsce, żeby dostosować produkcję amunicji do nowych wyma- gań. Bo samo kupienie sprzętu nie rozwiązuje pro- blemu. Przykład? Wprowa- dzając Kraba, przeszliśmy na NATO-wski kaliber 155 mm. Bardzo dobrze, że to zro- biliśmy. Tyle że przemysł za tym nie nadążył. I teraz można oczywiście pytać, czy to była wina przemysłu. Ja ro- zumiem, że przemysł nie na- dążył, bo nie dostał odpo- wiednio wcześniej jasnych wy- tycznych i decyzji. To po- winno iść równolegle. Ktoś powinien o to zadbać, ktoś po- winien za to zapłacić. Nie cza- rujemy się: nikt nie odda nam technologii za darmo. Za tech- nologię płaci się ciężkie pie- niądze. Licencje kosztują bar- dzo dużo, czasem jedną trze- cią, a czasem nawet połowę wartości kontraktu. Jeżeli chcemy mieć własne zdolno- ści, musimy się z tym liczyć. Polskie ośrodki badawczo-na- ukowe, także wojskowe, po- winny natychmiast przystę- pować do opracowywania no- wych typów amunicji. Rów- nolegle powinna być zama- wiana albo tworzona linia pro- dukcyjna. Jeżeli tak się nie dzieje, mamy potem sytuację, że trwa piąty rok wojny w Ukrainie, a my nadal nie mamy w pełni rozwiniętej fa- bryki nowoczesnej amunicji artyleryjskiej. Na szczęście MESKO robi wszystko, żeby



FOT. PAP/ALBERT ZAWADA

Gen. Kraszewski: Nie wszystko, co nowe, czy na Ukrainie, czy gdziekolwiek indziej, jest od razu rozwiązaniem, które musimy natychmiast mieć

jak najszybciej uruchomić taką narodową produkcję. Po- winna ona być zdecentralizo- wana, rozłożona w kilku mie- scach. Nie ma znaczenia, gdzie dokładnie i takich infor- macji nie powinno się poda- wać do wiadomości publicz- nej. Jeżeli osiągniemy duże zdolności produkcji nowocze- snej amunicji artyleryjskiej, trzeba będzie zrobić to samo dla systemów HIMARS oraz Homar-K, czyli polskiej wersji koreańskiego K239 Chunmoo. Tu coś się już dzieje. Grupa WB razem z Hanwha Aero- space podpisała stosowne umowy i ten proces zaczyna się materializować, ale to jest perspektywa najbliższych lat. Moim zdaniem minimum dwa lata, zanim cokolwiek z tego wyjdzie. Nie wiem na- tomiaś, co dzieje się z pro- dukcją rakiet do HIMARS-ów, na przykład ATACMS albo nowszych pocisków, których Amerykanie nam dotąd nie przekazali. A to są rzeczy klu- czowe. Musimy je mieć.

Co będzie prawdziwym te- stem dla pieniędzy z SAFE? Czy to, ile z nich zostanie w polskim przemyśle?
To, ile zostanie w polskim przemyśle, zależy od wydol- ności polskiego przemysłu zbrojeniowego. Jeżeli ktoś jest niewydolny, nie powinien podpisywać umów wykonaw- czych, bo później zapłaci po- tężne kary i postawi całe pań- stwo w kłopotliwej sytuacji. Ci, którzy o tym decydują, po- winni bardzo skrupulatnie analizować realne możliwości wykonawców. Mam nadzieję, że to już zostało sprawdzone. Nie można zakładać, że firma zatrudniająca trzy osoby bę- dzie produkowała 15 tysięcy dronów miesięcznie. To jest po prostu niemożliwe.

Czyli dziś od pytania, co ku- pić, ważniejsze jest pytanie, czy będziemy umieli to pro- ducować, naprawiać i zastę- pować straty?

Tak, bo nie będziemy w stanie wszystkiego wyprodukować od razu w takiej ilości, jakiej potrzebujemy. SAFE jest skon- struowany w określony spo- sób, a my straciliśmy dużo czasu. Z tego, co rozumiem, kluczowe będą podpisane umowy wykonawcze. Na tyle, ile Ministerstwo Obrony Naro- dowej zakontraktuje, tyle środków będziemy mogli real- nie wykorzystać. To absolut- nie nie oznacza, że cała kwota prawie 44 miliardów euro au- tomatycznie popłynie do Pol- ski. Im mniej zamówień pod- piszemy z polskim przemy- słem, tym więcej będziemy musieli kupować na zewnątrz. Uważam, że byłby to, delikat- nie mówiąc, błąd. Bo idea SAFE polega nie tylko na przy- spieszeniu uzupełniania uzbrojenia w państwach członkowskich, ale także na zdynamizowaniu, a właści- wie reaktywacji europejskiego przemysłu obronnego. Jeżeli nie zreaktywujemy polskiego przemysłu zbrojeniowego, bę- dzimy musieli kupować za granicą. Wtedy proporcja, o której dziś się mówi, że mniej więcej 70-80 procent w kraju i 20-30 procent na ze- wnątrz - może się zmienić. Nie wiem, czy Unia Europej- ska na to pozwoli. Jeżeli nie, pieniądze mogą wrócić do wspólnej puli i skorzysta z nich ktoś inny. Tak mi się wydaje. Nie powinniśmy też podpisywać umów, które już w momencie podpisania wy- glądają na nierealne. Bo wyko- nawca, który dostanie takie fi- nansowanie, może później wydać te pieniądze nie na pro- dukcję, ale na kary umowne.

Będzie musiał się dodatkowo zadłużyć albo po prostu zban- krutuje. To byłoby bez sensu. Do tego nie możemy dopro- wadzić. Straciliśmy za dużo czasu, zupełnie niepotrzeb- nie. A dziś czas jest naszym największym przeciwnikiem, większym nawet niż Rosja. Kiedy czasu jest coraz mniej, rośnie ryzyko błędów. Wia- domo: jak się człowiek spie- szy, to się diabeł cieszy.

Ukraińskie drony uderzają dziś w cele oddalone nawet o 1700 kilometrów. Jak pan na to patrzy?

Sprecyzowałbym: drony bę- dące w posiadaniu Ukrainy uderzają w takie cele. Bo nikt nie wie dokładnie, czy dany dron został wyprodukowany przez Ukrainę, czy tylko znaj- duje się w jej arsenale. Oczy- wiście Ukraińcy byli i nadal są bardzo dobrzy w technolo- giach rakietowych. Mają ogromną wiedzę na temat sil- ników rakietowych i syste- mów dalekiego zasięgu. Nie twierdzę, że nie mogli tego zrobić sami. Przeciwnie, mają do tego kompetencje. Ale wra- cam do tematu, o którym już mówiłem: w prywatnym sek- torze polskiego przemysłu obronnego również istnieją ta- kie rozwiązania. Sam deklaro- wałem, że mamy system prze- testowany na dystansie 1260 kilometrów. Tylko ktoś musi się tym zainteresować. Teraz opracowaliśmy i kończymy testy kolejnego rozwiązania. Nazywamy je Hedy. To dron przechwytyjący, który lata z prędkością około 800 kilo- metrów na godzinę. Za chwilę będziemy próbowali pobić re- kord Guinnessa; chcemy prze- kroczyć barierę 840 kilome- trów na godzinę. To są małe drony, ale 150 gramów hekso- genu w głowicy w zupełności

wystarczy. Zresztą z naszych testów wynika, że przy takich prędkościach nawet samo uderzenie kinetyczne w Sha- heda może wyrządzić mu ta- kie uszkodzenia, że Shahed nie wykona misji. Te drony naprowadzają się autono- micznie. Mają bibliotekę ce- lów i urządzenia optoelektro- niczne, które w milisekun- dach porównują obraz z wgra- nym modelem 3D Shaheda albo innego bezzałogowca. Potem lecą na cel samodziel- nie. Ich czas lotu, wynikający ze stanu baterii, to około sie- dem-dziewięć minut. I to w zupełności wystarczy. Sys- tem jest spięty z radarem, także naszej produkcji, który pokazuje, skąd nadlatują Sha- hedy, w jakim kierunku lecą, na jakim pułapie i z jaką prę- dkością. Całość jest bardzo pro- sta w obsłudze i nie wymaga długiego, specjalistycznego szkolenia. Zakończymy testy i zaraz zaproponujemy ten system wojsku.

Rosja ogranicza paradę 9 maja i rezygnuje z pokazu cięż- kiego sprzętu. To dowód na to, że Putin boi się ukraiń- skich dronów? Gdyby Ukraina chciała zakłócić paradę w Mo- skwie, miałaby dziś takie zdolności?

Tak, Ukraina ma dziś zdolno- ści do prowadzenia uderzeń dalekiego zasięgu. Ale ja uwa- żam, że Rosja ogranicza pa- radę także z innego powodu: nie ma czego pokazać. To jest klęska wizerunkowa armii, która przez lata uchodziła za potężną. To, co najnowsze, w dużej części zostało już zniszczone albo jest po- trzebne na froncie. Przypo- mnijmy choćby słynny czołg T-14 Armata, który swego czasu nie był w stanie o wła- snych siłach zjechać z Placu

Czerwonego podczas próby defilady. Pokazywanie prze- starzałego sprzętu mogłoby doprowadzić do kompromita- cji wizerunkowej i administra- cji prezydenta Putina, i rosyj- skich sił zbrojnych.

Ale trochę jednak wygląda to tak, jakby Putin musiał cho- wać czołgi przed ukraińskimi dronami. Nie myśli pan?

Nie wiem, czy to jest główny powód. Spójrzmy na dotych- czasowe próby ukraińskich ataków na Moskwę. Nie wszystkie były skuteczne, a je- śli już przynosiły efekt, to ra- czej na obrzeżach. Nie przypo- minam sobie, żeby dron zbli- żył się na bardzo małą odle- głość do Placu Czerwonego czy do miejsc, w których za- siada większość rosyjskich de- cydentów. Rosjanie dobrze za- bezpiecają stolicę. Są też do- brzy w walce elektronicznej. Oczywiście nie da się zabez- pieczyć wszystkiego, bo, jak już mówiłem, postęp techno- logiczny stale wymusza nowe sposoby naprowadzania, nowe metody i nowe urządze- nia. Dlatego drony potrafią dziś dolecieć do celu oddalo- nego o 1200 czy 1700 kilome- trów. To ogromna odległość. Ale trzeba też pamiętać, że taki dystans oznacza długi czas lotu. A to daje stronie atakowa- nej czas na reakcję i próbę nie- dopuszczenia do uderzenia. Dlatego bardziej skłaniam się ku tezie, że Rosjanie naprawdę nie mają dziś czego pokazać. Parada wojskowa jest przeciw- po to, żeby zaprezentować no- woczesność armii. U nas rów- nież służy temu, żeby społe- czeństwo zobaczyło, na co idą pieniądze, że to nie jest roz- dawnictwo, ale inwestycja w określony cel. Rosjanie także doskonale to rozumieli. Byli- śmy w szoku, bo mówiono o kwotach dziesięć razy więk- szych niż nasze. Tyle że w ich przypadku ogromne środki deklarowane przez Putina na modernizację armii w dużej mierze rozeszły się po oligar- chach.

CV



FOT. MAT. PRAS

Jarosław Kraszewski
Generał brygady Wojska Polskiego, doktor nauk wojskowych, były dyrek- tor Departamentu Zwierzchnictwa nad Siła- mi Zbrojnymi w Biurze Bezpieczeństwa Narodo- wego.

Znamy go przede wszystkim jako ojca chrzestnego polskiego bluesa. Popularność zdobył, wykonując dziarskiego rock and rolla jako Shakin' Dudi. Teraz do księgarń trafia wywiad rzeka o jego twórczości – „No. 1”. Nam Irek Dudek opowiada, jak zakochał się od pierwszego wejrzenia w swej obecnej żonie

Patryk Gzyl

IREK DUDEK: NIE ZAŁAMUJCIE SIĘ, TYLKO POKONUJCIE TRUDNOŚCI



FOT. LUKASZ RAK

Irek Dudek: nie wtrącam się do tych, którzy o mnie piszą. Jakbym chciał, to bym sam napisał autobiografię

Wczoraj były pana 75. urodziny. Wszystkiego najlepszego!
Bardzo dziękuję za życzenia.

Trudno uwierzyć w to, że ma pan 75 lat. Energii, optymizmu i kondycji mógłby panu pozazdrościć nie jeden młodzienszek.
To miłe, iż pan uważa, że nie wyglądam na swoje lata. To prawda: mam jeszcze dużo siły do grania i organizowania festiwalu Rawa Blues. Może to zasługa tego, że mieszkam w górach i oddycham świeżym powietrzem.

Ma pan za sobą kilka trudnych przeżyć: poważne operacje i wypadek samochodowy. Te doświadczenia nie odebrały panu energii?
Zawsze miałem w życiu pod górkę, musiałem więc ciągle się mobilizować. Kiedy miałem ten wspomniany wypadek, w którym pogruchotało mi obie nogi, leżałem na wyciągu w szpitalu, poprosiłem więc żonę, by przyniosła gitarę i wykorzystałem ten czas, by lepiej nauczyć się grać na tym instrumencie. Teraz mam problemy z sercem, wszczepiono mi trzy bypasy,

gorzej mi się więc oddycha. Na przekór temu wziąłem harmonijkę ustną i ćwiczę na niej codziennie. Tego rodzaju wyzwania i noszenie swego krzyża z pogodą ducha, jest najlepszym panaceum na te ciężkie doświadczenia. Dlatego wszystkim radzę nie załamywać się, tylko pokonywać trudności.

Takie okragłe urodziny to okazja do podsumowań. To stąd pomysł na wywiad rzekę „No. 1”?
Tak. Tytuł książki to nawiązanie do płyty, którą nagrałem

jeszcze za czasów komuny z własnym big-bandem. Jeśli ktoś przeczyta tę książkę, to zrozumie dlaczego „No. 1”.

Zadowolony jest pan z tej książki?
Tak. Miałem tylko kilka uwag. Generalnie nie wtrącam się do tych, którzy o mnie piszą. Jakbym chciał, to bym sam napisał autobiografię. Każdy ma inną wrażliwość i inaczej postrzega różne wydarzenia. Czasami jest to dyskusyjne, ale poddaję się temu. Jacek Kurek jest rzetelnym dziennikarzem i widziałem, że mu za-

leżało. Przyjeżdżał do mnie i wszystko nagrywał. Myślę więc, że dobrze wyszło. To fajny prezent na urodziny.

Dużo miejsca poświęca pan w tej rozmowie pana korzeniom. Na ile Śląsk ukształtował pana osobowość?

To właśnie na Śląsku zakochałem się w bluesie. W połowie lat 60. w Katowicach był klub Ciapek, gdzie moi starsi koledzy grali do tańca utwory The Animals, The Pretty Things czy The Rolling Stones. Ponieważ byłem za młody na wejście, stałem tam pod oknem z kumplem i słuchałem przez kilka godzin. Pewnego razu wyszedł do nas basista Wojtek Toboń i pyta: „Co wy tu robicie?”. „Chcielibyśmy grać tak jak wy” – odparłem. „To masz harmonijkę, naucz się, to może zagrasz z nami” – powiedział. I faktycznie: pół roku później już z nimi występowałem.

Co pana zafascynowało w bluesie, że jest pan mu wierny do dzisiaj?

Wychowałem się na rock and rollu. A on przecież wziął się z bluesa. Znalazłem więc najpierw Johna Mayalla. Nauczyłem się nawet grać jego utwory jeden do jednego. To był biały blues. Potem wiedziony ciekawością, dotarłem do nagrań tych, którzy go inspirowali. To byli już czarni bluesmani z Ameryki – Muddy Waters czy Johnny Lee Hooker. W ich muzyce była prawda i szczerość – i to mnie przede wszystkim ujęło.

W latach 60. władza lansowała hasło „polska młodzież śpiewa polskie piosenki”. A pan wykonywał bluesa po angielsku. Miał pan przez to pod górkę?

Tak. Na siłę lansowano wtedy big-bitowe zespoły, które śpiewały tylko po polsku. Dlatego trafiłem na ścianę – nie mogłem nic nagrać ani dla radia, ani na płytę. Raz tylko udało mi się w Poznaniu zarejestrować cztery utwory, ale gdzieś przepadły i nie było szans, żeby je wylansować.

Duża część pana kariery to czas komuny. Jakie sobie pan radził z ówczesnymi władzami?

Występowałem przede wszystkim w klubach studenckich, a one były otwarte na taką muzykę. Nie było wtedy jeszcze dyskotek, więc po prostu graliśmy do tańca. Nie miałem żadnych oficjalnych przeszkód. Brakowało mi tylko nagrań, przez co długi czas byłem mało znany.

Co sprawiło, że się pan nie poddał?

Z perspektywy czasu te dziesięć lat tułania się po studenckich klubach wyszło mi na dobre. Wykonując standardy

rhythm and bluesowe i bluesowe nauczyłem się dobrze grać na harmonijce ustnej, poznałem arkana improwizacji, dowiedziałem się, jak aranżuje się piosenki i jak się prowadzi zespół. To wszystko zaowocowało, kiedy objawiłem się jako Shakin' Dudi. Ten czas grania i śpiewania w klubach sprawiły, że wokół do pierwszego utworu tej grupy nagrałem w cztery i pół godziny. Byłem bowiem przygotowany do wejścia do studia. A wtedy nie było żadnych komputerów, które czyściły fałszy. Dlatego uważam, że czasami dobrze jest długo ćwiczyć, zanim dokona się pierwszych nagrań.

Pod koniec lat 70. wyjechał pan do Ameryki, a dekadę później do Holandii. Nie chciał pan nigdy zostać na Zachodzie i tam próbować zaistnieć?

Kiedy byłem w Amsterdamie, poszedłem z moją płytą „No. 1” do jednego z klubów. Kiedy puściłem im, jak śpiewam bluesa po angielsku, powiedzieli mi: „Wszystko dobrze, ale my możemy mieć prawdziwych bluesmanów z Ameryki. Po co więc mamy ciebie angażować? Śpiewaj po polsku, to zobaczymy”. Uznałem więc, że mają rację. Ponieważ miałem już za sobą nagrania Shakin' Dudi, opanowałem technikę śpiewania po polsku, musiałem ją tylko przenieść na bluesa. To było trudne – ale uznałem, że skoro jestem Polakiem, to powinienem śpiewać po polsku. Tak narodził się pomysł na projekt Symphonic Blues, z którym udało mi się pogrążyć na Zachodzie. Mój menedżer Thomas Ruf wydał płytę z naszym koncertem w słynnym klubie jazzowym Subway w Kolonii. Była więc szansa na dużą karierę. Mnie się marzyło jednak nagranie albumu w Polsce z NOSPR-em. Wróciłem więc do ojczyzny, ale wycofał się sponsor i pomysł spalił na panewce. Ruf się na mnie obraził i zostałem z niczym.

W czasie PRL-u polski showbiznes był przesiąknięty alkoholem. Pan też nie wylewał za kółkiem. Nie dało się wtedy być muzykiem i nie pić wódki?

Z moich obserwacji raczej nie. Była to trochę rozpusta: alkohol, dziewczyny. Po latach dopiero udało mi się nad tym zapanować dzięki mojej mamie, która wymodliła, żebym przestał tak żyć i dzięki mojej żonie, która powiedziała, że wyjdzie za mnie, jeśli przestanę pić. Najgorzej było w tym pierwszym okresie mojej działalności, kiedy występowałem w klubach. Gdzie się bowiem nie wjeżdżało, tam od razu wyciągano alkohol. Nie byłem wówczas jakąś gwiazdą, ale dużo koncertowałem, więc znano mnie

w tym środowisku. Dlatego każdy chciał się ze mną napić. A że grałem prawie za darmo, ten alkohol był wtedy prawie jedyną gratyfikacją za występ. Dlatego nie odmawiałem.

Wzorem gwiazd rocka z Zachodu demolowaliście pokoje hotelowe i wyrzucaliście krzesła przez okna. To wódka dawała taką fantazję?

Ja akurat tego nie robiłem, ale moi koledzy z zespołu trochę szaleli. Zabawa była na całego i czasem musiałem na drugi dzień na recepcji płacić za wyrządzone szkody.

Alkohol sprawił, że wysiadła panu trzustka i omal nie przepłacił pan tego życiem. To wtedy przyszło otrzeźwienie? Tak. Zło przyniosło dobro. Kiedy po raz trzeci wylądowałem w szpitalu i lekarze dawali mi nikłe szanse na przeżycie, powiedziałem, że muszę wszystko robić na trzeźwo. Nagrałem potem cztery najważniejsze w moim życiu płyty bez jakichkolwiek wspomagaczy. Sam byłem trzeźwy i tego samego wymagałem od moich kolegów-muzyków. Tak jest zresztą do dzisiaj. Nawet na kacu nikt nie wychodzi ze mną na scenę.

Nigdy nie sięgnął pan po narkotyki?

Nigdy. Coś mnie powstrzymało. Może boża opatrność? A byłem świadkiem, jak dwaj moi koledzy produkowali na własny użytek polską czarną heroinę. Mnie jakoś to nie brało. Wiedziałem, że narkotyki są wielką krzywdą dla organizmu. Koledzy się dziwili, ale tutaj się nie ugiąłem. I całe szczęście.

Wielki sukces osiągnął pan w latach 80. jako Shakin' Dudi. Jak to się stało, że coś, co miało być wygłupem, okazało się strzałem w dziesiątkę?

Byłem wtedy zafascynowany punkiem. Kupiłem sobie nawet płytę Sex Pistols. Miałem już wtedy trzydzieści lat, nie mogłem więc sam być punkowcem. Pomyślałem zatem, że poszukam tych rytmów, które kręciły wtedy młodzież, w przeszłości. I znalazłem je w garażowym rock and rollu z lat 50. W radiu leciał wtedy na okrągło angielski piosenkarz Shakin' Stevens, który wykonywał taką muzykę na dyskotekową modłę. Denerwowało mnie to i pomyślałem: „Ja będę śpiewał prawdziwego rock and rolla”. Namówiłem więc dwóch punkowców, dwóch jazzmanów i jednego bluesmana – i założyliśmy grupę Shakin' Dudi. „Robimy happening muzyczny: rozwalamy, co się da!” – powiedziałem. Poprosiłem Darka Duszę ze Śmierci Klinicznej, żeby napisał proste i dosadne teksty, opisujące

ówczesną rzeczywistość. Barwa mojego głosu i sposób śpiewania były bardzo charakterystyczne. „Gramy źle, tak jakbyśmy nie umieli grać” – zakomenderowałem. Ale jak tu powiedzieć muzykom, którzy grają dobrze, że mają grać źle? Jakoś się jednak udało – i to chwyciło. Ludzie nie wiedzieli, jak się naprawdę nazywam i kiedy pojawiłem się gdzieś publicznie, to wołali za mną: „Hej, Shakin' Dudi!”. (śmiech)

Dawaliście wtedy wręcz szalone koncerty. Naprawdę rozwalal pan fortepiany na scenie?

Tak. Pierwszy raz wydarzyło się to na festiwalu Rock Arena. Ale tylko dlatego, że był to zły instrument. Potem dyrektor się miotał, a ja mu na to: „Mogę odkupić to pianino po cenie detalicznej”. „A to pan sprytny” – nagle zmienił front, bo wtedy nie było instrumentów w sklepach. (śmiech) Z kolei na festiwalu w Jarocinie poprosiłem o wąż strażacki i lałem wodą ludzi pod sceną. Nie bardzo umiałem sobie z nim poradzić i woda tryskała nawet na głośniki i wzmacniacze. Dlatego ich właściciel bardzo się znerwował i wpadł przerażony na scenę. Wtedy całe 25 tysięcy widzów zaczęło wrzeszczeć: „Zabij go!”, żeby nie przeszkadzał mi w tym laniu wodą. (śmiech) Wrzasnąłem więc do Darka „Graj dalej” i polewałem tłum. Na koniec skoczyłem z blisko trzymetrowej sceny w ludzi. Ale stało tam sześciu wcześniej umówionych punkowców i mnie złapali. Czasem był to więc żywioł, a czasem coś było aranżowane.

Złota płyta” Shakin' Dudi pokryła się potrójną platyną, a pan rozwiązał zespół. Dlaczego zdecydował się pan zarządnąć kurę znoszącą złote jaja?

Bo to miał być tylko happening. Kiedy „Złota Płyta” odniosła wielki sukces, mogłem pójść dalej tym tropem i kosić niezły szmal. Nie po to jednak wymyśliłem ten zespół. Dlatego, aby być wiernym swoim słowom, musiałem go rozwiązać. Postanowiłem jednak przenieść doświadczenia z Shakin' Dudi na moją własną twórczość. I tak jako Irek Dudek nagrałem autorską płytę „No. 1”. Wtedy okazało się, że mam równie co w rock and rollu dużo do powiedzenia w bluesie. Szef festiwalu w Jarocinie Walter Chelstowski namówił mnie, żebym połączył te dwa projekty w jednym programie „Stereo i w kolorze”. Tak też się stało i graliśmy koncerty w wielkich salach, które ludzie wypełniali do ostatniego miejsca. To były czasy komunii, a my mieliśmy swoją aparaturę i jeździliśmy kilkoma

TIR-ami oraz autobusem, jak jakieś gwiazdy rocka z Zachodu. To było wielkie przedsięwzięcie.

Wykonywał pan potem bluesa na różne sposoby: z big-bandem, symfonicznie, jazzowo, swingowo. Który z tych projektów jest panu najbliższy?

Symphonic Blues. Zjechałem z nim nie tylko bluesowe, ale i rockowe festiwale na Zachodzie. Chyba ten pomysł był najbardziej mój i inny od wszystkich pozostałych. Dużo walorów muzycznych ma jednak też płyta „No. 1”, nagrana z moim własnym big-bandem – choćby klasyczny już dziś utwór „Something Must Have Change”. W tym roku zagram go w katowickim NOSPR-ze podczas Rawy Blues. Ważna jest dla mnie też płyta „Dudek Bluesy”, ponieważ dostałem za nią Fryderyka. To miało początkowo być demo, ale realizator powiedział, że nagra to w pełni profesjonalnie. Posłuchałem potem tego materiału i pomyślałem, że dołożę sekcję rytmiczną. Zaangażowałem uznanych jazzmanów i dałem im wolną rękę. Tak fajnie to wyszło, że zadzwoniłem jeszcze po pianistę. I wtedy stwierdziłem: „To jest bardzo dobre!”. Fryderyk to potwierdził, ale koncertów zagraliśmy bardzo mało. Sam nie wiem dlaczego.

Kiedyś pan powiedział: „Koncertuję rzadko, żeby być świeżym”. To dobra zasada?

Bardzo dobra. Nie lubię chałtur. Do każdego koncertu przygotowuję się bardzo długo. Jesienią zagram na Rawie Blues – i będę się do niego przygotowywał pięć miesięcy. Ktoś by powiedział: „Czyś ty zwariował?”. Ale ja chcę wyjść na scenę i być zaważonym znowu w inny sposób.

Mówi się, że bluesman jest jak wino: im starszy, tym lepszy. To prawda?

Tak mi się wydaje. Trzeba się jednak dobrze starzeć. Bo jeśli wino się rozpuści, to zwie trzeje i zepsuje się. Dlatego bluesman musi opierać swą działalność nie tylko na wieku, ale przede wszystkim na ciężkiej pracy.

Pana dzieckiem jest też festiwal Rawa Blues, który odbywa się w Katowicach

od 1981 roku i ciągle gromadzi kilka tysięcy widzów. Na czym polega jego sukces?

Przygotowując jego program, patrzę na bluesa szeroko. To nie tylko czarni muzycy z Chicago, ale też biali wykonawcy z pogranicza jazzu i rocka. To daje dużą świeżość. Dlatego te zespoły, które grają podczas finału Rawy, brzmią zupełnie inaczej. To przyciąga ludzi, którzy nie są koneserami bluesa, ale po prostu lubią posłuchać granej na żywo dobrej muzyki. I kiedy raz przyjdą na Rawę, to potem chodzą już co roku. A nawet z czasem zabierają swoje dzieci i wnuki. W tym roku festiwal odbędzie się w dwóch salach NOSPR-u, bo uznaliśmy, że czas pokazać wirtuozów bluesa w sali, mającej najlepszą akustykę w Polsce. Wszystko będzie więc na najwyższym poziomie.

Kiedyś muzyk amerykańskiego zespołu Canned Heat powiedział: „Na Rawie rządzi muzyka, nie biznesman”. Może i w tym tkwi sukces tego festiwalu?

To powiedział perkusista, jedyny członek oryginalnego składu tej grupy z lat 60., który zjeździł cały świat. Jego zdaniem biznes tak przewala niektóre festiwale, że po prostu je topi. Ja staram się tego uniknąć. Dla mnie liczy się przede wszystkim muzyka.

Kiedyś wyznał pan: „Nie przywiązywałem wielkiej wagi do pieniędzy, ale jakoś się mnie trzymają”. Jak to możliwe?

Kiedy nie gonisz za pieniędzem, to on sam do ciebie przyjdzie. Jeśli robisz coś, co jest twoją pasją, to będzie to coś dobrego i ludzie się tym zainteresują. Wtedy ten pieniądź się znajdzie. Gdyby zależało mi na pieniądzach, to za czasów PRL-u nie tułałbym się po klubach, tylko pojechałbym do Zielonej Góry czy Kołobrzegu. (śmiech) Tymczasem ja grałem za pół darmo, wystarczało mi na wino i kolację. Trzeba więc umieć zaryzykować w życiu i postawić na swoją pasję. Wtedy gdzieś się te pieniądze znajdą. U mnie znalazły się dopiero przy Shakin' Dudi. Dziś też nie narzekam. Wybudowałem dom, posadziłem drzewa, mieszkam praktycznie w lesie. Czasem wychodzę sobie na przyzbę i gram na harmonijce. Bardzo dużo

ćwiczę, bo chcę pokazać na Rawie, że właśnie zacząłem od tego instrumentu.

W 1986 roku na festiwalu w Opolu poznał pan przyszłą żonę Iwonę. To była miłość od pierwszego wejrzenia?

Tak. Podeszła do mnie z prośbą o autograf dla swego brata. Siedziałem wtedy z muzykami z Shakin' Dudi przy jednym ze stolików na uboczu. Pogadaliśmy chwilę i zaproponowałem, żebyśmy się gdzieś przeszli. Spacerowaliśmy w sumie cztery godziny i w końcu mówię: „Ty będziesz moją żoną”. (śmiech) Zorientowaliśmy się wtedy, że poznaliśmy się już wcześniej.

Czyli?

Iwona występowała w tanecznym zespole Arabeski. I w latach 70. spotkaliśmy się w Łodzi podczas programu „Lato, lato”. Spałem w tym samym hotelu co ona i zalecałem się do niej, ale dostałem kosza. Iwona zadzwoniła więc do koleżanki w Paryżu z Arabesek i pyta się jej, czy zna Irka Dudka. A ona: „Pewnie, to taki fajny chłopak z długimi włosami”. A ja już wtedy miałem krótką fryzurę. (śmiech) Te dziewczyny pamiętały mnie więc, a Iwona nie. Powiedziałem jednak, że zostanie moją żoną. A ona myślała, że ja żartuję. Zaprosiłem ją potem do Warszawy do hotelu Europejskiego. Z czasem zrozumiała, że ja tak na poważnie.

I jesteście do dziś razem.

Kiedy zakochałem się w Iwonie, ona pracowała jako modelka w Amsterdamie. Chodziła w poważnych pokazach, jej zdjęcie było na wielkich plakatach. Zarabiała dziesięciokrotnie więcej niż ja w Polsce. Postanowiłem więc pojechać do niej, obejrzeć trochę koncertów i spróbować samemu gdzieś pograć. Posiedziałem kilka lat w Amsterdamie, bo nie chciałem jej ograniczać. Kiedy urodziły się jednak nasze córki, powiedziałem: „Wychowajmy dzieci po polsku. Wracajmy do kraju”.

Zawsze prezentuje się pan na scenie w stylowych garniturach. To żona, jako była modelka, odpowiada za pana garderobę?

Do pewnego stopnia. Często są to moje pomysły. Kiedy mieszkaliśmy w Amsterdamie, miałem ulubiony butik Paula Smitha, angielskiego projektanta, który szył ubrania w stylu lat 60. Pasowało mi to, więc co roku przed Rawą Blues chodziłem tam i kupowałem sobie cały zestaw, żeby być inaczej ubranym. Mam więc trochę tych garniturów w szafie, ale ostatnio przytyłem trochę i muszę

popracować nad sobą, żeby się w któryś z nich wbić.

Pana córka Agata została klasyczną pianistką. To pana zasługa?

Chyba tak. Kiedy moja pierwsza córka Dorotka umarła w wieku ośmiu lat, nie chciałem, żeby Agatka poszła do tej samej podstawówki. Znalazłem dla niej szkołę muzyczną w Bielsku-Białej. Zaczęła więc grać na fortepianie. Kiedy miała iść do liceum, spytałem czy chce dalej się kształcić na tym instrumentcie. Powiedziała, że tak, więc kupiłem jej poważny fortepian – Yamahę. Skończyła potem liceum i dostała się na Akademię Muzyczną w Katowicach. Miała bardzo dobrych profesorów i teraz przygotowuje się do nagrania płyty z muzyką Liszta. To trudne kompozycje, ale wymyśliła sobie, że to był rock and rollowiec swych czasów i chce zinterpretować je w taki właśnie sposób. Być może dzięki temu po ten album sięgną ci, którzy na co dzień nie są słuchaczami klasyki. Myślę, że to niezły pomysł i uda się jej.

Nie ukrywa pan, że bardzo ważną rolę odgrywa w pana życiu wiara. Trudno przyznać się do Jezusa w polskim show-biznesie?

Ja tego nie odczuwam i nie zastanawiam się nad tym. Zostałem wychowany po katolicku, moja mama bardzo dbała o wiarę w rodzinie. Dlatego przestrzegaliśmy wszystkich tradycji. Dzięki temu zauważyłem, że jakoś inaczej przeżywa się rok ze względu na kolejne święta. Nawet ten zwykły tydzień pracy z niedzielą, poświęconą Bogu i na odpoczynek, też ma głębszy sens. Od kilku lat chodzę codziennie do kościoła na mszę o siódmej rano i przyjmuję sakrament. To pomaga mi unieść te wszystkie choroby, które mnie nie omijają. Jestem inwalidą, choruję na serce i na cukrzycę, ale mam wrażenie, że niosę ten krzyż z uśmiechem. Kiedy leżałem na trzustkę lub ostatnio na te bypassy w szpitalu, to zawsze szukałem szpitalnej kaplicy. Modlitwa była dla mnie podpora, aby tę chorobę zwyciężyć. I zawsze się udawało.

O pana życiu powinien powstać film fabularny. Jakiego aktora widziałby pan w roli Irka Dudka?

Kiedyś miałem propozycję zrealizowania filmu o sobie, ale odmówiłem, bo napisali mi głupawe dialogi. „Nie będę z siebie robił wariata” – powiedziałem. (śmiech) A dziś kto mógłby mnie zagrać? Nie mam pojęcia. Na pewno musiałby być to ktoś młodszy ode mnie, żeby mógł zagrać mnie w moich najlepszych latach.

Ospa, wywoływana przez wirusa ospy prawdziwej (Orthopoxvirus) nękała ludzkość przez co najmniej 3 tys. lat, zabijając 300 mln ludzi w samym tylko XX w. Ostatni odnotowany przypadek ospy miał miejsce w 1978 r., ale w laboratoriach powstają wciąż nowe mutacje wirusa.

Paniczny strach

W deklaracji „Wykorzenienia ospy w świecie” uchwalonej przez Światową Organizację Zdrowia w Genewie 8 maja 1980 r., czytamy: „Trzydzieste trzecie Światowe Zgromadzenie Zdrowia uroczystie oświadcza, że cały świat i wszyscy ludzie zostali uwolnieni od ospy, która była najstraszniejszą chorobą szalejącą w formie epidemii w wielu krajach od najdawniejszych czasów, pozostawiając po sobie śmierć, ślepotę i oszpecenie... Wyraża głęboką wdzięczność wszystkim narodom i jednostkom, które przyczyniły się do sukcesu w tym szlachetnym historycznym przedsięwzięciu”.

Ospa budziła strach od zawsze. Ślady wysypki spowodowanej ospą znaleziono nawet na twarzy mumii Ramzesa V (1160 r. p.n.e.). Pierwsze jej objawy - wysoka gorączka i zmęczenie przez wieki powodowały panikę, kolejne - charakterystyczna wysypka, która pojawia się w szczególności na twarzy, rękach i nogach - zamieszki i rozruchy. Potem było jeszcze gorzej - wykwyty wypełniały się płynem, później ropą, a z czasem przekształcały się w strupy, które odpadały budząc przerażenie.

Śmiertelność 30 proc.

„W nieustającym pochodzie śmierci ospa niszczyła całe narody, zabijając zarówno ubogich, jak możnych i monarchów, dziesiątkowała armie, zmieniała losy krajów, kształtowała wierzenia; w Afryce, w Chinach i w Indii ospa miała swe bóstwa i swoje świątynie. Praktyki religijne przyczyniały się między innymi do utrzymania endemii i szerzenia się epidemii tej choroby” - pisał Jan Kostrzewski w rozprawie „Świat wolny od ospy” („Przegląd epidemiologiczny” nr 4, 1980 r.).

Dziś wiemy, że wirus wywołujący chorobę, czyli należąco do herpesvirusów Orthopoxvirus, przenosił się głównie przez bezpośredni kontakt z osobami chorymi oraz drogą kropelkową. Istniało też ryzyko zakażenia przez kontakt z ubraniami, pościelą i przedmiotami, z którymi miał styczność chory.

Śmiertelność ospy prawdziwej wynosiła średnio do 30 proc., ale zależała też od postaci choroby i mogła być wyższa. Najbardziej agresywne od-

DŁUGIE POŻEGNANIE Z CZARNĄ OSPĄ. W TLE WĄTEK POLSKI

8 maja 1980 r., Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) oficjalnie ogłosiła, że ludzkość na całym świecie jest wolna od czarnej ospy

Mariusz Grabowski



We Wrocławiu w maju 1963 r. wybuchła jedna z ostatnich w Europie epidemii ospy prawdziwej. Stan epidemii ogłoszono 17 lipca, odwołano go po kilku tygodniach, 19 września

miany ospy prawdziwej zabijały nawet ponad 80 proc. osób zarażonych. Najwyższą umieralność obserwowano u osób nieszczepionych.

Jest nadzieja

Krokiem milowym w zrozumieniu, na czym polega nabieranie odporności na ospę, były próby opanowania jej za pomocą immunizacji, czyli uodpornienie organizmu na działanie czynników chorobotwórczych. Historia ta sięga XI-wiecznych Chin, z których pochodzą pierwsze wzmianki o stosowaniu strupów pobranych od osób przechodzących łagodną formę ospy i aplikowaniu ich zdrowym obywatelom w celu uodpornienia.

Zabieg ten, zwany w epidemiologii wariolizacją, zyskał jednak na popularności dopiero pięć wieków później, wtedy pojawiły się również pierwsze instrukcje, jak przeprowadzić go prawidłowo. Do najbardziej rozpowszechnionych metod należało wdmuchiwanie do nozdrzy wysuszonych i zmielonych strupów oraz umieszczanie w nosie waty nasączonej płynem pochodzącym z krost.

Momentem przełomowym w historii pokonania ospy były obserwacje poczynione przez Benjamina Jesty'ego, który po-

wianki, występującego głównie u bydła, ale niestanowiącego zagrożenia dla ludzi, z odpornością na zarażenie się chorobą. Postanowił podawać więc zarażonym wirus krowianki. 14 maja 1796 r. przeprowadził szczepienie na 8-letnim chłopcu, uznawane za pierwszy tego rodzaju zabieg w historii. Pacjent nie zachorował i dożył starości.

Czy to już koniec?

Już w 1881 r. na cześć odkrycia Jennera Ludwik Pasteur zaproponował nazwanie go terminem „vaccination” (z łac. vacca - krowa), czyli „wakcy-nacja” (szczepienie). Wiadomość o sukcesie zabiegu obiegła cały świat, jednak aż do lat 60. XX w. szczepienia nie były popularne, a liczba zakażeń utrzymywała się na poziomie 10-15 mln rocznie. Zaczęła spadać dopiero po wprowadzeniu w 1967 r. Światowego Programu Eradykacji Osyp Prawdziwej. Rozpoczęcie procesu powszechnych i obowiązkowych szczepień doprowadziło do całkowitego wykorzenienia tej choroby.

Co ciekawe, pojawiają się głosy, że wyeliminowanie ospy odrąbiono nieco na wyrost. Jest bowiem wiele prawdopodobne, że nie wszystkie kraje zastosowały się do Konwencji o zakazie prowadzenia badań,



Ubiór ochronny służby zdrowia w okresie epidemii we Wrocławiu. Zachorowało 99 osób (najwięcej było pracowników służby zdrowia), z których siedem zmarło, w tym cztery to lekarze i pielęgniarki

produkcji i gromadzenia zapasów broni bakteriologicznej i toksycznej oraz o ich zniszczeniu z 1972 r. Wciąż zatem istnieje zagrożenie użycia wirusa ospy jako broni biologicznej. Jest to prawdopodobne z uwagi na jego wysoką zakaźność, łatwość szerzenia się zachorowań, wysoką śmiertelność oraz niewielkie koszty produkcji.

Czający się wirus

Dowody są na wyciągnięcie ręki: W lipcu 2014 r. przez amerykańskie media przemknęła wiadomość, że w pomieszczeniach gospodarczych laboratorium Narodowych Instytutów Zdrowia w Bethesda w stanie Maryland (w 1972 r. je przejął Agencja Żywności i Leków), odkryto próbki wirusa ospy prawdziwej pochodzące z lat 50. XX w.

Z kolei w 2017 r. zespół kanadyjskich naukowców pod kierownictwem wirusologa Davida Evansa z Uniwersytetu Alberta w Edmonton syntezował bliskiego krewnego ospy prawdziwej. Dokonali tego dzięki materiałowi DNA „dostarczonego pocztą z publicznie dostępnych źródeł” przez niemiecką firmę Geneart, która specjalizuje się w syntezach DNA na zamówienie. To dowód, że podobna możliwa dla każdego, kto dys-

ponuje odpowiednimi umiejętnościami i zasobami.

Epidemia z 1972 r.

Odnajdujemy dla porządku, że ostatnim dużym zarzewiem ospy w Europie była epidemia w Jugosławii w 1972 r. Ogni-skim zakażenia okazał się pielgrzym, który powrócił z Bliskiego Wschodu, gdzie zakaził się wirusem. Epidemia objęła 175 osób, z których 35 zmarło (śmiertelność wyniosła więc 20 proc.). Władze ogłosiły stan wyjątkowy, wprowadziły kwarantannę oraz masowe ponowne szczepienia obywateli, korzystając z pomocy WHO i Donalda Hendersona. W ciągu 2 miesięcy epidemia została jednak powstrzymana.

Ostatni naturalny przypadek variola minor został zdiagnozowany 26 października 1977 r., a ostatni przypadek groźniejszej variola major dwa lata wcześniej, w listopadzie 1975 r. Oblicza się, że kompletne wyeliminowanie ospy kosztowało 300 mln dolarów.

Nieco sensacyjne zakończenie historii ospy opisali Ken Alibek Stephen Hadelman w „Biohazardzie” - w 1978 r. wirus wy-dostał się z laboratorium naukowego w Birmingham. Bezpośrednio w wyniku choroby zmarła Janet Parker, pełniąca funkcję fotografa medycznego, natomiast prof. Henry Bedson,

naukowiec odpowiedzialny za badania ospy na uniwersytecie, popełnił samobójstwo.

Ospa na Dolnym Śląsku

W Polsce powszechny obowiązek szczepień przeciwko ospie czarnej wprowadzono już w 1951 r. (zniesiono go w 1980 r., po deklaracji WHO). Jednak to właśnie w Polsce, we Wrocławiu, wybuchła w maju 1963 r. jedna z ostatnich w Europie epidemii ospy prawdziwej. Pierwszą jej śmiertelną ofiarą była pielęgniarka Lonia Kowalczyk, która miała styczność z zakażonym Bonifacym Jedynakiem, który akurat wrócił z Birmy i Wietnamu.

Stan epidemii ogłoszono 17 lipca, odwołano go 19 września. W czasie trzech miesięcy zachorowało 99 osób, z których siedem zmarło. Miasto zostało na kilka tygodni sparaliżowane i odcięte od reszty kraju kordonem sanitarnym. Wprowadzono zakrojony na szeroką skalę program profilaktyczny, umieszczając osoby podejrzane o kontakt z chorymi w izolatoriach. Zaszczepiono wówczas 98 proc. mieszkańców Wrocławia. Tym, którzy nie chcieli podporządkować się wprowadzonym przepisom, groziły wysokie grzywny, a nawet więzienie. Stworzono też karne izolatki dla - zawsze pojawiających się w podobnych sytuacjach - awanturników i buntowników.

Znaczenie szczepień

Jednym z najważniejszych zadań, jakie władze postawiły sobie w walce z ospą prawdziwą, było rozpoczęcie wspomnianych masowych szczepień. We Wrocławiu wprowadzono je 17 lipca i początkowo były dobrowolne.

Tylko w trzech pierwszych dniach akcji zaszczepiło się 124 tys. osób, a do 22 lipca - 180 tys. Dla porównania w 1962 r. w Polsce przeciwko ospie prawdziwej ogółem zaszczepiono ok. 200 tys. osób. Z dniem 1 sierpnia 1963 r. wprowadzono szczepienia przymusowe i obowiązek ten objął wszystkich mieszkańców miasta, bez wyjątku, również tych, którzy wcześniej zostali z niego zwolnieni. Osoby poddane szczepieniu (skaryfikacji) otrzymywały zaświadczenie o wykonaniu zabiegu, które od tej chwili należało, podobnie jak dowód osobisty, nosić przy sobie i okazywać na wezwanie. Ale pomimo powagi sytuacji, nie zdecydowano się całkowicie zamknąć miasta. Kina, teatry, sklepy i kluby działały jak przed pojawieniem się choroby. Na kilka dni zamknięto jedynie miejskie kąpieliska.

Jak widać, polskie władze sanitarne poradziły sobie z ospą dość sprawnie. Światowa Organizacja Zdrowia przewidywała bowiem, że epidemia potrwa dwa lata i w jej wyniku zachoruje do 2 tys. osób, a umrze 200.

pod PARAGRAFEM

KRÓTKO

W KSIĘGARNIACH

Walka o lewicowy etos trwa!

W sprzedaży jest już „W” Igora Stiksa (Oficyna Literacka Noir sur Blanc), „W” to thriller polityczny, w którym nic nie jest tym, czym się wydaje. Oto młody pisarz i działacz lewicowy, uchodząca z Sarajewa mieszkający w Paryżu, zostaje wezwany na dalmatyńską wyspę, by poznać ostatnią wolę Waltera Stiklera. Ten słynny krytyk ideologii komunistycznej pozostawił dlań tajemniczy testament.

Is

W KINACH

Miłość i jej konsekwencje

W kinach grają już „Obsesję” (reż. Curry Barker), amerykański horror opowiadający o desperacko zakochanym mężczyźnie, który po wykorzystaniu magicznego artefaktu („One Wish Willow”) zyskuje miłość swojej ukochanej. A to prowadzi do mrocznych, a konkretniej - krwawych konsekwencji. Grają: Inde Navarette, Michael Johnston, Megan Lawless, Cooper Tomlinson, Chloe Breen.

bb

ROCZNICA

Pamiętajcie o Robercie Ludlumie

Zbliża się 25 maja - 99 rocznica urodzin Roberta Ludluma (zmarł 12 marca 2001 r.), amerykańskiego aktora oraz producenta; ale przede wszystkim autora 27 powieści sensacyjnych. Według różnych źródeł, jego powieści zostały opublikowane w 290-500 mln egzemplarzy w 32 językach na terenie 40-50 krajów. Globalną sławę przyniosła mu zwłaszcza „Tożsamość Bourne’a” („The Bourne Identity”), opublikowana po raz pierwszy w 1980 r. (polskie tłumaczenie - 1990 r.)

mg

„Pod Paragrafem”, magazyn kryminalno-histeryczny, nr 206. Przygotowuje zespół: Bożenna Piskala, Lucjan Strzyga, Stanisław Majerowski, Bożydar Brakoniecki, Tadeusz Żarek, Mariusz Grabowski. Kontakt: redakcja@polskatimes.pl

W ŚRODKU

Na amerykańskich komiksach swoje piętno odcisnął wprowadzony w 1954 r. tzw. Komiskowy Kodeks Haysa - str. 24

Kim był Alceo Dossena? Geniuszem, który potrafił skopować każdą rzeźbę. Dlaczego zmarł w przytułku? - str. 25

WKRÓTCE NAPISZEMY

Kryminal tango, czyli tzw. picie po warszawsku W XIX i XX w. pito w Warszawie tak samo ochoczo jak dziś. Zmieniły się okoliczności konsumpcji, ale trunkowe zwyczaje pozostały.



8 maja 1953 r: polscy biskupi mówią komunistom „Non possumus”

erze pełny tekst
:zenia Episkopatu

RONISŁAW PRZYŁUSKI
FY O MALARSTWIE

Oficyna St. Gilwy
Wydanie bibliofilskie
Cena z przesyłką 10 6
abycia w Veritas F. P. Centre
Praed Mews, London, W. 2.

ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 zł

NA MIESIĄC PAŹDZIERNIK:
ŚWIĘTY ROZANIEC modlitewnik-podręcznik do żywego zrozumienia i odmiany różańca. — Opracował: Tworkowski. — Str. 164. z przesyłką 6/6.
MODLITWA O. R. Kostecki. O.P. — Stro
ROZANOWA Cena z przesyłką 4/4.
Do nabycia w Veritas F. P. Centre, 12, Praed Mews, London, W. 2.

Nr 4

LONDYN, 18 PAŹDZIERNIKA 1953 R.

„NON POSSUMUS”

OŚWIADCZENIE EPISKOPATU POLSKI Z DNIA 8 MAJA 1953

z czasu z różnych ośrodków wiadomości, że Episkopat w Krakowie w dniu 8 maja 1953 r. na okazji uroczystości, Biskupa i Męczennika, umiennie, obrazując polski katolicki w Polsce, rezygnacja z Porozumienia z roku 1950 aż po dzień dzisiejszy, że Episkopat nie mógł przejsz do nowego nad komunistyczny z 9 lutego br., w którego szawski usiłował sobie uia w dziedzinie życia, w szczególności przy stanowisk kościelnych, i dekretowi Episkopat protest, którego reżym e tylko nie przyjął do e wprost przeciwnie, wy-najda dalsze rozporządzenie wymierzone przeciw

dokumentu Episkopatu m na ręce Bieruta jako Rady Ministrów, poprzez kilku tygodniami owej, między innymi w ańskiej z „New York e oraz w prasie europejskich emigracyjnych, umiennie była znana po-otwierdzali ją uchodzący

I to są rzeczywiście zachowane i o-chronione dobra oraz wygrane już szanse, jakie w swych przewidywaniach przed trzema laty klasa musiała Episkopat na szalach wagi, obok nieumiejętności szkół i groźących niebezpieczeństw, aby ocenić trzeźwo i z całą rozwagą, która z otwierających się wówczas przed nami drog kryła dla Kościoła mniej niespodzianek, klęsk i ryzyka, a zostawiała mu więcej wewnętrznej swobody i możliwości religijnego działania.

Wymienione fakty posiadają doniosłość, których ani nie zauważyć ani nie ocenić niepodobna. Znaczenie ich jednakowoż zamyka się ściśle w określonych granicach, poza którymi kryje się rzeczywistość inna i bardzo dla katolicyzmu w Polsce tragiczna. Zgodnie z prawdą Episkopat Polski poczuwa się do obowiązku oświadczyć, że położenie Kościoła w Polsce nie tylko się w sposób trwały nie poprawia, lecz przeciwnie, stale się pogarsza. W bilansie ocenianego trzeciecia przeważa się niezaprzeczalnie groźne negatywy. Odpowiedzialność wobec Boga, społeczeństwa i historii wymaga, aby przynajmniej głowniejsze z nich wymienić bez obson i określić dokładniej.

1. USUWANIE RELIGII ZE SZKOŁY
A BOGA Z SERC MŁODZIEŻY

charakter wyraźnej walki politycznej, walki, która w środkach nie przebiega. Zmusza się duchowieństwo do polityki, zamiast pozostawić mu pełną swobodę szerzenia prawd ewangelicznych, zwłaszcza prawa miłości oraz szczepienia chrześcijańskich zasad moralno-religijnych, bez uwzględnienia których nie podobna przecież myśleć poważnie o rzetelnym świecie pokoju, ani o szczerym zbrataniu się narodów, rozdartych nienawiścią.

Grupa „Dzis i Jutro”, aczkolwiek występuje zawsze i manifestacyjnie pod znakami katolicyzmu, w sporach jednak i dyskusjach, jakie powstają między Rządem Polski Ludowej i Kościołem katolickim, nieodmiennie zajmuje stanowisko zawsze po stronie Rządu, pochwalając głośno i popierając wszystkie jego w stosunku do Kościoła postępowania. Ostatnim i jaskrawym dowodem tego były znamienne wypowiedzi w sprawie państwowego dekretu o ob-

Ocenie chcielibyśmy jeszcze poruszyć sprawę cenzury.

CENZURA PISM. W stosunku do pism katolickich zawsze ostra, po zawarciu Porozumienia cenzura bezustannie się zaostrza. Wymaganie urzędu kontroli prasy stają się coraz bardziej surowe i niezrozumiałe. Poprzednio można było dość swobodnie porozumiewać się z cenzorem i jego zastrzeżenia dyskutować. Ostatnio rozmowa stała się wprost niemożliwa. Okresy przetrzymywania pism oddanych do uprzedniej cenzury stale się przedłużają. Urząd Kontroli Prasy zwraca je, kiedy zechce. Tak zwane ingerencje cenzorskie stają się coraz dotkliwsze i z reguły bywają już niedoświadczalne. Urząd często odrzuca całe artykuły lub każe je tak dalece, że niejednokrotnie tracą właściwy sobie sens i całą swoją wartość. Bywa, że konfiskacie ulegają zeszyty czasopism. Z surowością szczególnie bezwzględna poczyną się traktować artykuły właśnie najsłabszej religijnej. Chirurgia czasopism jest bardzo swoista i znamienita. Wycina się w piśmie lub przylumina się to przede wszystkim, co jest najbardziej po katolicku zdrowe, mocne i przekonujące. Piszący na tematy społeczne nie może wypowiadać się swobodnie. Daje mu się natomiast do zrozumienia, że ma się stać raczej echem tylko prasy marksistowskiej i

Polskę ostatniego środka pogody wiary oraz publicznego w dzenia tego, co się czuje i myśli Chrystusa i o katolickim Kościele zność bowiem zabrania głosu głośni radiowej, w teatrze czy odebrano jej już dawno.

Powtarza się nam dziś częst Polscy wszyscy obywatele mają prawa, a zarzuca się nam ka ze to my czynimy sztucznie i ludzi na wierzących i niewierzących, w jaki wym instytucje traktują katolickie rza, redaktora czy wydawcę, jatkowe prawa, jakim poddaje łącznie katolicką księgarnię i k czasopismo; na nieliczenie s wami i potrzebami nie tylko milionowych mas katolickich; wyjątkowe zgoda uposledzenie aby sobie bez trudu dać odpow pytanie, czy w praktyce obecni cywiztości polskiej istnieją równa, które przecież gwarantuje i Konstytucja. Jak i dekret o i sumienia; i kto właśnie dzieł czeństwu na wierzących i niewierzących.

Rzecz znamienita, że podczas ka prasa katolicka, rozwija się ga prasa sekciarska, jak np. „nietwor”, wydawane przez roz

Memoriał zawierał listę skarg Kościoła polskiego na nadużycia administracyjne władz. Prymas Wyszyński zwracał uwagę na niedotrzymywanie postanowień z 1950 r. przez państwo pomimo dotrzymywania ich przez Kościół

L. Strzyga, M. Grabowski
redakcja@polskatimes.pl

W memoriale skierowanym do władz komunistycznych biskupi sprzeciwiali się zakusom podporządkowania Kościoła władzom świeckim. „Non possumus” znaczy dokładnie „Nie możemy”.

Dokument był odpowiedzią na dekret Rady Państwa z 9 lutego 1953 r. o „tworzeniu, obsadzaniu i znoszeniu duchownych stanowisk kościelnych”. Dawał on przedstawicielom władzy komunistycznej w Polsce prawo kontrolowania oraz

unieważnienia każdej nominacji i każdego aktu jurysdykcyjnego Kościoła. Powód był prosty: Kościół bbył w owym czasie w Polsce jedyną zorganizowaną siłą, która mogła powiedzieć komunistom „Nie!”.

Idealy i zasady

Zajrzmy do dokumentu: „Zgodnie z prawdą Episkopat Polski poczuwa się do obowiązku oświadczyć, że położenie Kościoła w Polsce nie tylko się w sposób trwały nie poprawia, lecz przeciwnie, stale się pogarsza. (...) 1. Usuwanie religii ze szkoły, a Boga z serc młodzieży. (...)

w sposób wieloraki gwałci dzisiejsza szkoła sumienia młodego pokolenia, niszczy w nim wartości zaszczerpione przez wychowanie domowe i kościelne, uczy kłamać i sprzeniewierzać się najsłabszemu jego ideałom i zasadom. (...) 2. Polityczna presja, próby i środki dywersji wśród duchowieństwa. (...) Zmusza się duchowieństwo do polityki, zamiast pozostawić mu pełną swobodę szerzenia prawd ewangelicznych, zwłaszcza prawa miłości, oraz szczepienia chrześcijańskich zasad moralnych, (...) 3. Bezwzględne niszczenie prasy oraz wydawnictw katolic-

kich. (...) W niszczycielskiej tej akcji działały harmonijnie, pod przewodnictwem Urzędu do Spraw Wyznań, trzy instytucje państwowe: kolportażowa „Ruch”, przydziału papieru i kontroli prasy. (...) 4. Ingerencja w sprawy Kościoła i próba jego krępowania. (...) Nieoczekiwanym, ale tym razem już formalnym niejako zmachem na organizacyjną wolność Kościoła, stał się dopiero dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych z dnia 9 lutego 1953 roku. (...) Tego rodzaju prób ujarzmiania Kościoła przez państwo Polska niepodległa nie zna na przestrzeni całej swej historii.

Stosował ją tylko po rozbiorach rząd carski jako środek do walki z polskością i katolicyzmem narzec Rosji i prawosławia. (...) 7. Oświadczenie Episkopatu. (...) Podobnie, gdyby postawiono nas wobec alternatywy: albo poddanie się jurysdykcji kościelnej jako narzędzia władzy świeckiej, albo osobista ofiara, wahać się nie będziemy. Pójdziemy za głosem apostołskiego naszego powołania i kopańskiego sumienia, idąc z wewnętrznym pokojem i świadomością, że do prześladowania nie daliśmy powodu, że cierpienie staje się naszym

ciąg dalszy na str. 24

Mariusz
Grabowski

KOMIKSOWY KOMIKS HAYSA

Owprowadzonym w 1934 r. Kodeksie Williama Harrisona Haysa, który na kilkadziesiąt narzucił produkcjom Hollywoodu swoistą obyczajową cenzurę, wie każdy miłośnik historii kina. Ale ów kodeks kinowy miał kuzyna - tzw. Komiksowy Kodeks Haysa, znany częściej jako Comics Code Authority (CCA). Ów rygorystyczny system samocenzury wprowadzono w USA w 1954 r. I tu sprawa zaczyna się nieco komplikować.

Erotyce mówimy nie!

Znawca tematu - Jerzy Szyłak, filmoznawca, scenarzysta komiksowy a także autor komiksów - pisze: „Komiksy były pełne przemocy, brutalności, okrucieństwa, moralnej dwuznaczności i jednoznacznego erotyzmu. (...) podważania - przez parodię - wartości uznanych dzieł kultury (...)”.

Szyłak dodaje: „Amerykańskie komiksy sprzed 1955 roku, zwłaszcza te z lat 1947-1954, można uznać za »niepokorne« na podstawie dwóch kryteriów: ich faktycznej zawartości i reakcji społecznej. W tym pierwszym przypadku chodzi o obecność w komiksach - w ich warstwie fabularnej, tekstowej i ilustracyjnej - treści stojących w opozycji do ówczesnej kultury głównego nurtu”.

Groza & makabra

Do tego momentu wszystko wydaje się klarowne. Ale oto Szyłak dokonuje zastanawiającej wolty: „Niezależnie od tego, jak krytycznie nie oceniać zapisów Kodeksu Komiksowego i działań jego administracji, nie sposób zaprzeczyć, że przed jego wprowadzeniem wydawcy komiksów nie podlegali żadnej zewnętrznej kontroli, a znaczna część ich oferty zawierała treści, które nie mogłyby pojawić się w kinie, telewizji czy radiu (brutalna przemoc, groza, makabra, erotyka, sprzeczne z pruderijną moralnością lat 50.)”.

Jak to możliwe?

Co nam chce powiedzieć Jerzy Szyłak? Że Kodeks Komiksowy, który został ustanowiony do życia wskutek „antykomiksowej krucjaty” z lat 1948-1954, można uznać za zjawisko pozytywne?

To przecież pójdzie we wspólnym froncie z tymi, którzy komiksy oskarżali m.in. o oglupianie dzieci i młodzieży, obniżanie standardów moralnych, rozbudzanie fascynacji przemocą i makabrą, dostarczanie informacji o metodach przestępczych, skłanianie do popełniania przestępstw naśladowczych, podważanie autorytetu instytucji porządku publicznego, propagowanie dewiacyjnych zachowań seksualnych, a nawet promowanie komunizmu”.
Panie Jerzy, co Pan narobił?



W 1954 r. za komiksy, które mają największy negatywny wpływ, uznano te o tematyce kryminalnej



DO 1956 R. KOŚCIÓŁ W POLSCE TRWAŁ NA POZYCJACH DEFENSYWNYCH

8 maja 1953 r: polscy biskupi powiedzieli „Non possumus”

Ciąg dalszy ze str. 23

udziałem nie za co innego, lecz tylko za sprawę Chrystusa i Chrystusowego Kościoła. Rzeczy Bożych na ołtarzach Cezara składać nam nie wolno. Non possumus! [nie możemy] (...)”.

Głos sprzeciwu

Zacznijmy od tego, że formuła „Non possumus”, choć stosowana dość rzadko, ma w Kościele katolickim długą tradycję. Odnosi się do fragmentu „Dziejów Apostolskich”, w którym apostołowie Piotr i Jan mieli odpowiedzieć na zarzuty Sanhedrynu zabraniającego im działalności w imię Chrystusa. W Wulgacie stoi: „non enim possumus quae vidimus et audivimus non loqui” („albowiem nie możemy tego cośmy widzieli i słyszeli nie mówić”).

Słowa „Non possumus” przywoływane są zwykle w kontekście deklaracji wiary chrześcijańskiej.

Jak przypominał Benedykt XVI w wykładzie w Wiedniu w 2017 r. takiej formuły użyła w 304 r., za czasów Dioklecjana, 49-osobowa grupa męczenników chrześcijańskich z Abiteny w Numidii, schwytana na niedzielnej celebrze liturgicznej, która była zabroniona i kara śmiercią. W takim kontekście słów tych miał użyć także papież Klemens VII w odpowiedzi na prośbę o rozwód króla angielskiego Henryka VIII. Było to w konsekwencji przyczyną powstania Kościoła anglikańskiego.

Chwilowy spokój

Dekret Rady Państwa krył w sobie jeszcze jedni niebezpieczeństwo: stwarzał również

możliwość rozsądzania Kościoła od wewnątrz i zastępowania wiernych hierarchii duchownych posłusznymi reżimowi tzw. „księżmi patriotami”. Określano tak duchownych popierających władzę ludową i zmiany zachodzące w PRL po 1944 r. Nazwa „księża patrioci” wywodzi się od oficjalnej dewizy ruchu, która brzmiała: „niezłomna wierność Polsce Ludowej”.

Można zatem powiedzieć, że był przełomowym punktem ofensywy przeciwko Kościołowi i doprowadzić do jego podporządkowania władzom komunistycznym, podobnie jak powołanie w styczniu 1953 r. osobnego - XI Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego zajmującego się Kościołem.

Tym samym władze łamały wcześniejszą ugodę. 14 kwietnia 1950 r. zostało bowiem podpi-

sane porozumienie, które normalizowało stosunki pomiędzy państwem a Kościołem. Rząd gwarantował wtedy m.in. nauczanie religii w szkołach oraz istnienie KUL-u i wydziałów teologicznych w Krakowie i Warszawie. Kościół z kolei zobowiązał się wezwania duchowieństwo do poszanowania władzy, współpracy nad odbudową kraju i popierać wszelkie wysiłki zmierzające do utrwalenia pokoju.

Wybieg taktyczny

Porozumienie z komunistami zostało przyjęte w łonie Kościoła z mieszanymi uczuciami. Zaniepokojenie wyrażali urzędnicy kurii rzymskiej, a także wpływowy metropolita Krakowa, kard. Adam Sapieha. Przeważało jednak, po raz kolejny, zdanie Wyszyńskiego. Nie miał on jednak złudzeń co do in-



Prymas Stefan kard. Wyszyński podczas obchodów święta Bożego Ciała, 1957 r. (Archiwum NAC)

tencji komunistów, uznając porozumienie za „wybieg taktyczny”. Jak zanotował w swoich zapiskach: „trzeba zyskać czas, by wzmocnić siły do obrony Bożych pozycji”.

Okazało się, że miał rację. Krótko po zawarciu porozumienia z 1950 r., utworzona została zupełnie nowa instytucja: Urząd ds. Wyznań. Swoimi kompetencjami objął on „całokształt stosunków pomiędzy istniejącymi w Polsce kościołami a państwem”. Ale to właśnie Urząd stał się głównym narzędziem antykościelnej polityki władz, a jego naczelnym zadaniem stało się ostateczne podporządkowanie Kościoła władzom.

Np. już latem 1950 r. wezwano księży do podpisywania się pod proradzieckim i antyamerykańskim tzw. „apelem sztokholmskim”, odmowy interpretowano jako podstawę do szykan antykościelnych. W konsekwencji doszło do usunięcia kilkuset księży z funkcji katechetów, zamknięto również szereg domów zakonnych.

Władza usuwa

Zatrzymajmy się na chwilę przy porozumieniu z 1950 r. Rada Państwa wprowadziła wtedy nowy stan prawny już po narzuceniu niektórym diecezjom wikariuszy kapitulnych i wypędzeniu rządców tamtejszych jednostek administracyjnych Kościoła. 26 stycznia 1951 r. usunięto administratorów apostołskich: ks. Edmunda No-

wickiego z Gorzowa, ks. Bolesława Kominka z Opoli, ks. Teodora Benscha z Olsztyna, ks. Andrzeja Wronkę z Gdańska i ks. Karola Milika z Wrocławia. Jak widać wszystkie zmiany dotyczyły administratur apostołskich na Zachodzie nie zadowalała władz w zakresie kontroli nad Kościołem rzymskokatolickim. Postępująca laicyzacja szkolnictwa trafiła na opór części duchowieństwa. Szczególny charakter przybrał on w diecezji katowickiej, gdzie tamtejszy ordynariusz bp Stanisław Adamski zainicjował tzw. akcję petycyjną, w której rodzice dzieci posyłanych do państwowych szkół sprzeciwili się usuwaniu z nich nauczania religii i symboli chrześcijańskich. Petycję podpisało blisko 72 tys. ludzi. Władze zareagowały interwencją bp. Stanisława Adamskiego, bp. Juliusza Bienka i bp. Herberta Bednorza” - czytamy w tekście „Non Possumus. Konferencja Episkopatu Polski i jej stosunki z władzami w latach 1951-1956” na portalu Historykon.pl.

Kara klątwy

Wiosną 1953 r. biskupi postanowili skończyć z polityką ustępstw. Memoriał przyjęty został na konferencji w Krakowie 8 maja 1953 r. Odrzucił on możliwość stosowania się do dekretu z 9 lutego i przedstawiał opisy prześladowań i szikan stosowanych wobec Kościoła. „Pójdzie-

my za głosem apostołskiego naszego powołania i kapłańskiego sumienia, idąc z wewnętrznym spokojem i świadomością, że do prześladowania nie daliśmy najmniejszego powodu, że cierpienie staje się naszym udziałem, nie za co innego, tylko za sprawę Chrystusa i Chrystusowego Kościoła. Rzeczy Bożych na ołtarzu cesarza składać nam nie wolno. Non possumus! (Nie możemy)” - pisali biskupi.

Wspominali także o usuwaniu religii ze szkół, o politycznej presji na wiernych, ograniczaniu wydawnictw katolickich i wymuszaniu na duchownych ślubowań wierności państwu.

W innym fragmencie czytamy: „A gdyby zdarzyć się miało, że czynniki zewnętrzne będą nam uniemożliwiały powoływanie na stanowiska duchowne ludzi właściwych i kompetentnych, jesteśmy zdecydowani nie obsadzać ich raczej wcale niż oddawać religijne rządy dusz w ręce niegodne. Kto by odważył się przyjąć jakiegokolwiek stanowisko kościelne skądinąd, wiedzieć

Co na to Watykan?

Stolica Apostolska nie miała żadnego bezpośredniego wpływu na sytuację Kościoła w Polsce, ponieważ konkordat nie obowiązywał. To prymas Wyszyński był oficjalnym przedstawicielem Stolicy Apostolskiej, ale został aresztowany.

Jednak Stolica Apostolska o sytuacji Kościoła w Polsce wiedziała sporo. Co prawda z kilkudniowym opóźnieniem zareagowała na aresztowanie prymasa Polski, nakładając ekskomunikę na wszystkie osoby w nie zaangażowane. Uwieszenie Wyszyńskiego wywołało protesty katolików i hierarchów Wspólnoty na całym świecie. Uważano go za męczennika sprawy wolności Kościoła. Jego autorytet urosł zatem do rangi globalnej. To spowodowało, że był później najbardziej wpływowym biskupem z bloku wschodniego do czasu wyboru na papieża Karola Wojtyły.

Kościół w defensywie

„Krytyczny moment nad-

*SŁÓW „NON POSSUMUS” MIAŁ
UŻYĆ M.IN. PAPIEŻ KLEMENS VII
W 1533 R., W ODPOWIEDZI NA
PROŚBĘ KRÓLA ANGIELSKIEGO,
HENRYKA VIII O ROZWÓD*

powinien, że popada tym samym w ciężką karę kościelnej klątwy”.

Dramatyczne chwile

Memoriał przekazany został Bolesławowi Bierutowi 21 maja 1953 r. osobiście przez prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego. Wierni zapoznali się z jego treścią 4 czerwca 1953 r. w trakcie procesji Bożego Ciała w Warszawie, w której uczestniczyło ok. 200 tys. osób.

Na odpowiedź władz nie trzeba było długo czekać. We wrześniu 1953 r. rozpoczął proces kieleckiego biskupa Czesława Kaczmarska (trafił do więzienia w 1951 r., oskarżony o szpiegostwo na rzecz USA i Watykanu) i nastąpiło aresztowanie prymasa Stefana Wyszyńskiego. Był to dowód, że komunistyczny reżim w Polsce nie zamierza tolerować niezależności Kościoła i stosując terror dąży do jego „upaństwowienia”.

To były najdramatyczniejsze dni dla powojennego Kościoła w Polsce. 25 września do rezydencji Prymasa wtargnęli przedstawiciele rządu, którzy przedstawili kardynałowi Wyszyńskiemu decyzję o jego internowaniu.

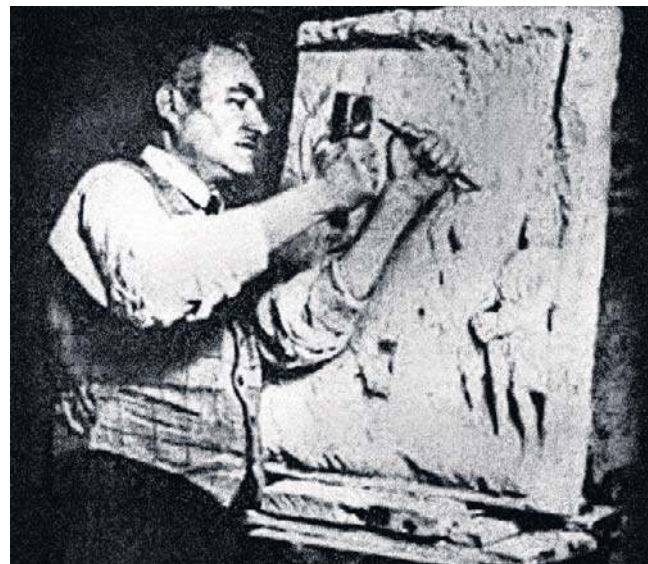
Po północy 26 września został on wywieziony ze swojego domu przy ul. Miodowej w Warszawie oraz najpierw przewieziony do Miedzeszyna, a następnie do Rywałdu, Stoczka Warmińskiego, Prudnika Śląskiego i jesienią 1955 r. do Komańczy.

szedł we wrześniu 1953 r. kiedy Wyszyńskiego internowano. Biskupi dostali ofertę: albo złożą przysięgę na wierność Polsce Ludowej albo podzielicie los Wyszyńskiego. Trzeba powiedzieć jasno, że ta część biskupów, która pozostała na wolności się zламala i złożyła przysięgę na wierność konstytucji PRL - mówił prof. Antoni Dudek w Polskim Radiu z 2019 r.

17 grudnia 1953 r. w budynku Urzędu Rady Ministrów ślubowanie na ręce władz złożyli biskupi diecezjalni, wikariusze kapitulni, sufragani w obecności wikariuszy generalnych. Część hierarchów nie złożyła ślubowania osobiście, jednak upoważniła do niego osoby występujące w ich imieniu. Podczas uroczystości bp Michał Klepacz, nowy przewodniczący episkopatu stwierdził, że ceremonia jest „wyrazem doktryny chrześcijańskiej o powinnościach wiernego wobec państwa”.

Decyzja o ślubowaniu była jednak sprzeczna z memoriałem z maja 1953 r., w którym biskupi odrzucili jakąkolwiek formę współpracy z rządem. Sytuacja ta dobitnie obnażyła słabość Episkopatu oraz jego ówczesną zależność od komunistów. Nawet papież Pius XII krytycznie odniósł się do układu biskupów z władzami, na który poszedł Episkopat bez jakichkolwiek zastrzeżeń w związku z aresztowaniem prymasa. Taki stan trwał do 1956 r., aż do tzw. „październikowej odwilży”.

KARTKA Z KALENDARZA/ PITAWAL PRASOWY II RP



Wedle legendy wykorzystany i pozbawiony dochodów Dossena zmarł w rzymskim przytułku dla ubogich

O takim, co nie potrafił połączyć zmysłu kupieckiego z talentem

W antysanacyjnym „Merkuryuszu Polskim Ordynaryniem” nr 42 z 1937 r. w dziale „Obiady czwartkowe” panowie redaktorzy zamieścili lekko pokpiwający tekst „Najgenialniejszy z fałszerzy sztuki Alceo Dossena”. Ów włoski fałszerz (1878-1937) istniał naprawdę i zasłynął swego czasu genialnymi podróbkami rzeźb.

„Trzynastego października zmarł w Rzymie, po raz drugi i ostateczny; rzeźbiarz Alceo Dossena. Ostateczny, bo już przed rokiem rozeszły się pogłoski o jego śmierci, oczywiście fałszywe i zdementowane przez samego Dossenę. Tak to fałsz, jak cięń, włókł się za wszelkimi poczynaniami rzeźbiarza...”

Tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy rok był niezwykle pomyslny dla europejskich i zamorskich muzeów i zbieraczy sztuki. U włoskich antykwaryjuszów odszukano i zakupiono cały szereg rzeźb antycznych i mistrzów Odrodzenia, dotychczas nieznanych, a rzucających zgoła nowe światło na rozwój sztuki rzeźbiarskiej. Po roku studjów nad nowymi odkryciami wybuchła bomba. Przypadek naprowadził na trop najgenialniejszego w dziejach fałszerza sztuki. Okazało się bowiem, że wszystkie, po bajorzyskich cenach nabyte w 1928 r. dzieła antyczne i mistrzów Odrodzenia (jak Madonny: Donatella i Quattrocento), wyszły z maleńkiej pracowni Kremańczyka, Alceo Dosseny.

Rzeźbiarz - plagiator nie był artystą, lecz rzemieślnikiem - samoukiem o niesłychanej zręczności i doskonałym obeznaniu z surowcem rzeźbiarskim: drzewem i marmurem. Co wzbudza jednak największy podziw, to fenomenalne zdolności przystosowania się do stylów epok. Rzeźby Dosseny trudno nazwać kopiami, tak wcuwał się on w ducha twórców oryginałów i z taką wprawą pokrywał je starożytną patyną. Najwięksi znawcy sztuki głowią się po dziś dzień „nad przedziwnym kunsztem mistrza Dosseny, gdyż nie ma wprost sposobu odróżnić jego rzeźby od oryginału.

Jak okazało się z wytoczonego mu procesu, mistrz - plagiator, działał w najlepszej wierze, nie mając absolutnie pojęcia, co z jego pracami robią sprzedawcy antyków. Sam otrzymywał od nich nędzne wynagrodzenie z biedą wystarczające na porcję makaronu i lampkę ciekusza w małych knajpkach rzymskich. Z zarzutu fałszerstwa uniewinniono go. Nakręcono nawet film, obrazujący powstanie w ciągu kilku godzin z bezkształtnej bryły prześlicznej Madonny w stylu pełnego Quattrocento.

Jednakże proces i zarzuty z jakimi się spotkał przynębiły Dossenę. Rozpacz swą próbował uśmierzyć winem i bywalcy starych winiarenek rzymskich mogli spotkać rzeźbiarza z głową opartą na rękach, pogrążonego w ponurych myślach. W »Grappolo d'Oro« w śródmieściu Rzymu znajduje się dziś szereg obrazów Dosseny na temat »Kobieta i wino«. Jednakże malowane są miernie; genjusz Dosseny wyraził się tylko w rzeźbie. Nie potrafił rzeźbiarz połączyć z talentem zmysłu kupieckiego. Mimo rozgłosu, jaki zyskał dzięki procesowi, umarł w biedzie. I. S.”.

opr. żar



FOT. MARIUSZ GADOMSKI

Firma, w której pracował Przemysław T., splajtowała pod koniec 1999 r. Nowej pracy nie mógł znaleźć, zaczęło brakować pieniędzy na utrzymanie licznej rodziny

ŻĄDZA PIENIĄDZA

Wystarczyła chwila, by człowiek z natury dobrotliwy przemienił się w mordercę

Mariusz Gadomski

Potem żałował swego czynu, powtarzał, że zrobiłby wszystko by cofnąć czas. Ale oczywiście było to niemożliwe. Musiał odpowiedzieć za zło, które wyrządził. Które być może było szaleństwem chwili. Czy ta pokuta mu pomogła - tego nie wiadomo.

Luz w portfelu

Zamieszkały z liczną rodziną w Międzyrzeczu Podlaskim 32-letni Przemysław T. uchodził za takiego co muchy by nie skrzywdził. Był łagodny i spokojny, brzydził się przemocą we wszelkich formach. Chociaż siły mu nie brakowało, mierzył blisko 190 cm wzrostu, a muskulaturę miał jak zawodowy kulturysta, w sytuacjach krytycznych wołał ustąpić niż wdać się w bójkę i mieć później kłopoty. Nie obchodziło go, że niektórzy uważali go za tchórzka.

Miły i uczynny dla sąsiadów; kochający męża i ojciec siedmiorga dzieci. Honorowy krwiodawca. Taką wspaniałą opinią się cieszył. Niestety, szacunek u ludzi nie szedł w parze z sytuacją materialną Przemysława T. i jego rodziny. Z zawodu był murarzem, jest to popłatny fach, jednak duża firma, w której pracował, splajtowała pod koniec 1999 roku. Nowej pracy nie mógł znaleźć. W portfelu był coraz większy luz. Od czasu do czasu trafiały mu się fuchy. Ale niezbyt często, trudno było z tego utrzymać rodzinę. W Międzyrzeczu Podlaskim aż tak dużo wtedy nie budowano.

Żona także nigdzie nie pracowała. Oszczędności topniały z każdym dniem. A wydatki rosły. Smutne mieli Boże Narodzenie. Gdyby nie pomoc rodziców, nie byłoby ich stać na urządzenie Wigilii, nie mówiąc już o prezentach pod choinkę dla dzieci.

Na frasunek dobry trunek

W Sylwestra Przemysław T. w minorowym nastroju wyszedł z domu, bo serce mu się krajało, gdy patrzył na smutek najbliższych. Na ulicy spotkał kolegę. Zbigniew S. szedł wężym. W rękę dźwigał wypchaną reklamówkę, w której dzwoniły butelki. Zaprosił Przemysława, by - jak się wyraził - godnie pożegnać stary rok i przywitać nowy.

Murarz miał ochotę się napić, wiadomo, na frasunek dobry trunek. Zastrzegł jednak, że jest bez kasy. Zbigniew S. odparł, żeby się tym nie martwić. On dziś stawia. Aby go ostatecznie przekonać, powiedział, że być może będzie u niego facet, który szuka chętnych budowlanców do pracy za granicą.

Wiem, jak ci zależy na robocie, więc wdepnij, pogadasz sobie z tym gościem - dodał.

W tej sytuacji Przemysław T. skorzystał z zaproszenia. Ze

Zbigniewem S. znał się od lat, mieszkali w tej samej kamienicy. Mógł mu zaufać. Zbyszek, chociaż stary kawaler i trochę dziwak, był równym facetem. Miał ostatnio szczęście: udało mu się znaleźć robotę w międzyrzeckiej ciepłowni. Co prawda, za marne grosze, ale staż się liczył, pracodawca odprowadzał składkę emerytalną i zapewniał ubezpieczenie zdrowotne.

Zbigniew akurat wziął wypłatę. A do tego jeszcze tak zwaną świąteczną rybkę w postaci niewielkiej premii pieniężnej. Przemysław T. zastał u niego innego znajomego, Sławomira F., który mieszkał na parterze w tej samej kamienicy. Nie było natomiast faceta szukającego ludzi do pracy za granicą. Zbigniew S. pocieszył go, że może jeszcze przyjdzie. Ale nie przyszedł.

Pożycz pięć dyszek

Po kilku kolejkach Przemysław T. miał mocno w czubie. Był zawiedziony, liczył, że uda mu się zaczepić do pracy, a tu znowu figa z makiem. Czuł złość do Zbigniewa S., który narobił mu nadziei. Gdy osuszył kolejną flaszkę, Sławomir F. pożegnał kolegów, bo był umówiony z dziewczyną na sylwestrową prywatkę i wołał się nie spóźnić, bo jego sympatia tego nie tolerowała. Był już przy drzwiach, kiedy o czymś sobie przypomniał.

- Wiesz co, Zbysiu - zwrócił się do gospodarza, widząc, że tamten zaraz zaśnie. - Mam do ciebie małą prośbę. Możesz mi pożyczyć pięć dyszek? Oddam w przyszłym tygodniu.

- Pewnie, że pożyczę, dlaczego mam nie pożyczyć. Dla moich przyjaciół wszystko - wymamrotał Zbigniew S. - Podaj mi z łaski swojej skafander.

Z niemałym wysiłkiem wygrzebał z kieszeni portfel. Wyjął z przegródki plik banknotów. Dwie dwudziestki i jedną dziesiątkę złożył na pół i dał koledze. Schował portfel do kurtki. Sławomir F. odłożył ją na fotel. Spędził z sympatią całą noc na imprezie, widziało go mnóstwo osób. Dzięki temu występował w tej ponurej sprawie jedynie jako świadek.

Nie mógł się oprzeć pokusie

Przemysław wrócił do domu. Jego żona wyczuła, że pił, lecz nie powiedziała słowa. Spojrzała na męża pustym wzrokiem i wróciła do karmienia piersią niespełna rocznej Amelki. Nie mógł sobie

znaleźć miejsca. Podchodził do okna, za którym prószył śnieg, parzył w telewizor. Ale na ekranie same uśmiechnięte twarze, wszyscy szykują się do zabawy. Atmosfera wszechobecnej radości dodatkowo go przygnębiała. Dlaczego jest im tak źle? Ktoś się na nich wziął czy co? Jak dalej tak pójdzie, co ich czeka? Trzeba jeść, płacić za mieszkanie, od czasu do czasu kupić coś dzieciom. Skąd na to wszystko brać pieniądze?

Naraz drgnął. Przed oczami stanęła mu kurtka Zbigniewa S. Sławomir F. odłożył ją na oparcie fotela. W kurtce był portfel, a portfelu... Sporo tego było. A jakby tak zejść do Zbycha i wziąć bodaj trochę. Pewnie by się nie zorientował. Sporo dziś wypił. Po dużej dawce alkoholu człowiek niewiele pamięta...

Nie mógł oprzeć się pokusie. Mruknął do żony, że musi jeszcze na krótko wyjść. Pamiętał, że gdy opuszczali mieszkanie Zbyszka, Sławek zastanawiał się, czy go nie obudzić, żeby zamknął za nimi drzwi na klucz. Jednak nie zrobili tego. Zatem drzwi były otwarte.

Ostrożnie nacisnął klamkę. Drzwi się rozwarły. Gospodarz leżał w pokoju na tapczanie przykryty kocem. Głośno chrapał. Przemysław T. podszedł na palcach do fotela, sięgnął po kurtkę. Nagle z bocznej kieszeni wyleciała latarka i upadła z łoskotem na podłogę. Odgłos ten zbudził Zbigniewa S.

- Co jest? - niezupełnie jeszcze przytomny zamrugł oczami. Zobaczył Przemysława - Co ty tu robisz, jak wszedłeś?

Widząc, że tamten trzyma w ręku jego kurtkę, zerwał się na równe nogi i wyszarpnął mu ją z rąk.

- Ty złodzieju, chciałeś mnie okraść! - krzyknął.

Przemysław T. wpadł w popłoch. Gwałtownie cofnął się i uderzył plecami w stół, który stał pośrodku pokoju. Stały na nim puste butelki, kieliszki, talerze i sztuce. Między innymi noż. Taki duży, kuchenny. Dwie godziny temu kroili nim chleb i konserwę mięsna. Wciąż ogarnięty paniką, chwycił rekojęść, przyskoczył do coraz głośniejszego zachowującego się Zbigniewa S. i zadał mu pchnięcie. Pierwszym ciosem tylko go drasnął w ramię. Dwa kolejne trafiły w klatkę piersiową.

Ranny rzeził, dusił się krwią. Bełkotliwie wzywał pomocy, lecz Przemysław T. nie interesował się nim. Wyjął z jego kurtki portfel, zabrał zwitek banknotów (okazało się póź-

niej, że było tam ok. 160 zł) po czym przez nikogo niezauważony opuścił mieszkanie sąsiada. Narzędzie zbrodni wrzucił do studni na podwórzu.

Za skradzione pieniądze kupił na melinie pół litra rozrabianego spirytusu. Alkohol wypił sam, w kuchni. Resztę pieniędzy schował. Któregoś następnego dnia wybrał się z żoną na bazar. Kupili trochę jedzenia i rzeczy do mieszkania.

Zwłoki Zbigniewa S. znaleźli krewni, którzy kilka dni później przyszli do niego w odwiedziny. Lekarz pogotowia ratunkowego stwierdził zgon mężczyzny. Ciosy zadane ostrym nożem uszkodziły lewe płuco. Nastąpił silny krwotok wewnętrzny, który stał się bezpośrednią przyczyną śmierci.

Policja ustaliła, że mordercą jest jeden z dwóch mężczyzn, którzy odwiedzili sąsiada w Sylwestra. Sławomir F. miał niepodważalne alibi. Pozostawał Przemysław T.

Kto idzie spać z nożem?

Prokuratura w Radzynie Podlaskim przedstawiła mu zarzut umyślnego zabójstwa. Mężczyzna wyjaśniał w śledztwie, że przyszedł do kolegi, żeby pożyczyć pieniądze, jednakże pijany sąsiad źle zrozumiał jego intencje.

- Zbudził się i posadził mnie o próbę kradzieży. Zaczęliśmy się szarpać, w pewnym momencie Zbigniew S. nadział się na nóż, który trzymał w ręku, gdy spał.

Przedstawioną przez podejrzanego linię obrony prokurator włożył między bajki. Kto kładzie się spać z nożem? Nie trzymało się również kupu twierdzenie Przemysława T., iż przyszedł do kolegi pożyczyć pieniądze. Czemu nie pożyczył, gdy był u niego wcześniej, a gospodarz jeszcze nie spał? Skoro nie robił problemów, pożyczając 50 zł Sławomirowi F., to zapewne nie odmówiłby także drugiemu koledze.

Na rozprawie w Sądzie Okręgowym w Lublinie Przemysław T. już nie zapierał się winy. Pojął, że wykrętnymi wyjaśnieniami tylko pogarsza swoją sytuację.

- Całe życie starałem się być uczciwy, schodziłem innym z drogi. Ale wtedy coś się we mnie zbuntowało. Moja rodzina znajdowała się w trudnej sytuacji materialnej. Po utracie pracy nie mogłem znaleźć nowej. Widok tych pieniędzy zaćmił mój rozum, sumienie. Bardzo tego żałuję, zabiłem człowieka. Gdybym mógł cofnąć czas... - mówił ze łzami w oczach.

Wyrażona przez oskarżonego skrucha sprawiła, że nie został skazany na dożywocie, lecz na 25 lat pozbawienia wolności. Łagodniej nie można było. Przemysław T. zadał Zbigniewowi S. ciosy nożem. Nie udzielił mu pomocy. Okradł go, a tamten w tym czasie wykrwili się.

Zmieniono personalia.

MOJA RODZINA ZNAJDOWAŁA SIĘ
W TRUDNEJ SYTUACJI. PO UTRACIE
PRACY NIE MOGŁEM ZNALEŹĆ
NOWEJ. WIDOK TYCH PIENIĘDZY
ZACMIŁ M ROZUM I SUMIENIE

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

AGNIESZKA KACZOROWSKA

Ma różne emocje

Tancerka podróżuje teraz po Polsce ze spektaklem „Siedem”, w którym partneruje jej obecny ukochany - Marcin Rogacewicz. W efekcie jej Instagram pęka w szwach od idyllicznych obrazków zza kulis. Ostatnio Kaczorowska postanowiła pokazać, że czasem nie jest tak różowo. Wrzuciła kilka czarno-białych kadrów i napisała: „Są różne emocje. Od stresu, po ekscytację. Czasem jest siła i energia, a czasem lekkie zmęczenie. Czasem to, z czym w danym dniu, tygodniu, mierzymy się w innych sferach życia, wpływa na stan ducha w dniu grania” - wyznała. Dodała jednak: „Taki jest nasz zawód. Zmienny. Nieprzewidywalny. Zaskakujący. I polega na zrozumieniu przepływu, tego między nami a wami i tego między sobą. Dlatego jest taki ciekawy”.

MARIA PRAŻUCH-PROKOP

Wzięła jogowy rozwód

Po ogłoszeniu rozstania z popularnym prezenterem jego żona z miejsca stała się celebrytką. Ale to tylko ją cieszy - bo może w swych social mediach promować treści związane z jogą, którą się profesjonalnie zajmuje. Kilka dni temu była gościem podcastu „Super Mamy”, w którym oczywiście opowiedziała o rozstaniu. - To po prostu naturalnie wypłynęło z tego, jacy my jesteśmy ze sobą. I wypłynęło to też z jogi, uważam. Bo było bardzo dużo jogi w tym. To było bardzo dużo spokoju, obserwacji, niereagowania, dawania czasu, żeby rzeczy się ułożyły, żeby każdy był w tym samym miejscu. Żeby to wszystko było w takim dobrym zespoleńiu jogowym. Rozwód jogowy. Po jogowemu - podsumowała.

MAŁGORZATA ROZENEK-MAJDAN

I nieudany naleśnik

Wszyscy wiemy, że celebrytka jest obecnie żoną Radosława Majdana, a wcześniej była związana z Jackiem Rozenkiem. Mało się mówi o jej pierwszym mężu - Łukaszku Bukaczkowskim.



FOT. ADAM JANKOWSKI

Monika Richardson nie epatuje swoim życiem prywatnym, ale jest bardzo dumna ze swojej córki

Teraz prezenterka opowiedziała o tym związku w podcaście Bratnie Dusze. - Ja pierwszy ślub wzięłam na studiach z moim takim przyjacielem studenckim. To małżeństwo trwało kilka miesięcy. Trochę to było tak, że wszyscy wokół mówili, kiedy ślub, kiedy ślub, bo my byliśmy taką parą, która razem chodziła. No, ja sobie pomyślałam, że fajnie by było przeżyć ślub. Impreza była, wszyscy się fajnie bawili. Ale to było po prostu tak, jak pierwszy naleśnik, no trochę go robisz i on nie wychodzi - stwierdziła.

MAJA RUTKOWSKI

Ma złoto z rubinami na zębach

Żona słynnego detektywa robi wszystko, aby nie pozostać w jego cieniu. Ostatnio pochwaliła się na Instagramie... biżuterią nązębną. Rutkowska wrzuciła filmik, na którym uśmiecha się szeroko. Na śnieżnobiałych zębach widać ozdoby w postaci złota i rubinów. „Poszłam do dentysty i wyszłam z upgradem. Złoto + rubiny na zębach. I teraz pytanie do was, czy to już level „Wow, jaki vibe”, czy raczej „Mmm... odważnie, ale czy nie za bardzo?” Bo wiecie diamenciki na zębach już trochę się oswoiły, ale złoto? Z rubinami? To już inna liga” - podpiisała nagranie. Część obserwatorów była zachwycona ozdobami, a część uznała to za idiotyczny pomysł. Najbardziej celny okazał się jeden komentarz: „Wygładasz, jakbyś miała jedzenie na zębach”.

PIOTR GĄSOWSKI

Wjechał do rowu

Zarówno Piotr Gąsowski, jak i Maciej Dowbor i Joanna Koroniewska mają domy w Hiszpanii, które znajdują się w tej samej miejscowości. Kilka dni temu aktor opisał na Instagramie przygodę, jaka przytrafiła mu się po drodze do swych przyjaciół. „Biorę skuter, zamiast wziąć samochód i decyduję się jechać na skróty. Skuter podjeżdża pod górę, nagle staje i robi „puf”. Właśnie tak to wygląda. Wleciałem w rów, urwałem sobie lusterko, szyba stłuczona, nie mogę go wydostać. Maciek i Tomek pomogli mi wyciągnąć mojego rumaka z rowu i pojechalismy już razem do Dowborów. To był uroczy wieczór, pełen wspomnień!” - podsumował.

MONIKA RICHARDSON

Jest pełna wdzięczności

Prezenterka nie epatuje swoim życiem prywatnym, ale wiadomo, że ma dwójkę dzieci z byłym mężem Jamieem Malcolmem - syna Tomasza i córkę Zofię. Kilka dni temu Zofia obchodziła 21. urodziny. Z tej okazji Richardson wrzuciła na Instagram zdjęcia dziewczyny. „Córka Zofia. Osoba empatyczna i sympatyczna. Mądra i pełna wdzięku. Artystycznie utalentowana i z wielkim poczuciem humoru. No i piękna też. Serce przepełnia mi miłość i wdzięczność za nią” - napisała.

AUTOREKLAMA

TELEMAGAZYN

Twój wybór programów
telemagazyn.pl

REKLAMA

0011520349

Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa „MOTOR”
ogłasza

PRZETARG OFERTOWY NA NAJEM LOKALI UŻYTKOWYCH:

Osiedle Przyjaźni nr tel. 81 746 27 64

- ul. Przyjaźni 36 - o pow. 70,80 m² wadium: 1400,00 zł

Osiedle Niepodległości nr tel. 81 747 45 57

- ul. Tumidajskiego 2A - o pow. 86,40 m² wadium: 1800,00 zł

Osiedle im. gen. F. Kleeberga nr tel. 81 747 49 60

- ul. Kleeberga 12A - o pow. 20,70 m² wadium: 400,00 zł

- ul. Kleeberga 12A - o pow. 44,00 m² wadium: 900,00 zł

- ul. Kleeberga 12A - o pow. 189,10 m² wadium: 3 800,00 zł

Udokumentowane oferty w zaklejonej i podpisanej kopercie (nr telefonu), z podaniem rodzaju działalności i proponowanej zryczałtowanej stawki wynajmu za m² netto należy składać do dnia 22.05.2026 r. w biurze Spółdzielni przy ul. Daszyńskiego 4. Szczegółowe informacje w pok. 4, telefon: 81 749 72 31 lub w Administracjach Osiedli. Regulamin przetargu na naszej stronie internetowej www.rsmmotor.lublin.pl. Wadium należy wpłacić na konto BH S.A. nr: 19 1030 1999 0000 0000 0516 6201. Wpłacone wadium przepada na rzecz Spółdzielni, jeśli wybrany oferent uchylił się od zawarcia umowy najmu. Spółdzielnia zastrzega sobie prawo odwołania lub unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 800 472 852

Przez internet: www.kurierlubelski.pl

e-mail: reklama@kurierlubelski.pl

W Biurze Reklamy:

LUBLIN, Biuro Ogłoszeń, Krakowskie Przedmieście 10

tel. 503 138 578, 81 446 28 02, fax 81 446 28 14

LUBLIN, Biuro Reklamy, Krakowskie Przedmieście 10 lok. 3

tel. 81 446 28 49 do 858, fax 81 446 28 19

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

MIESZKANIE własnościowe 94 m², 4 pokoje z kuchnią i balkonem, jeden lokator, 2 piętro, stych, przy deptaku, sprzedam lub zamienię na 2 mieszkania 2 pok.; do uzgodnienia t. 691-636-371

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

Auta każde, uszkodzone i całe, motocykle, ciągniki rolnicze, poleasingowe. Najkorzystniej, gotówka, 798-566-274

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

BIAŁY montaż hydrauliczny, malowanie, gładź, glazura, panele, zabudowa k-g, elektryka, remonty kuchni i łazienek nietypowe zlecenia, 883-211-674

MONTAŻ karniszy, suszarek, żyrandoli, szafek, mebli, zamków, ścianki działowe, sufity podwieszane, malowanie, hydraulika, elektryka, nietypowe zlecenia, 601-351-338

MYCIE, malowanie dachów, elewacji, szkła, kostki brukowej itp., 514-299-106

OKNA, konserwacja, regulacja, uszczelnianie. Balkony, tarasy - sufity, ściany, balustrada, terakota, 601-351-338

Remonty, wykończenia mieszkań i lokali - kompleksowo, naprawy hydrauliczne, elektryczne drobne naprawy 508-56-56-52, 81 740-03-99

ZŁOTA rączka - awarie, naprawy, remonty A-Z, hydraulika, udrażnianie kanalizacji, elektryka, nietypowe zlecenia, 601-351-338

OGRODNICZE

WYCINKA drzew, podcinanie, porządkowanie działek, koszenie, usuwanie karp, wywóz gałęzi, zakładanie trawników, ogrodenia z siatki, 514-299-106

PORZĄDKOWE

SPRZĄTANIE piwnic, strychów, garaży, działek, domów po lokatorach i zmarłych, wywóz rzeczy, ubrań, gruzu, kucie, prace rozbiórkowe,, 887-069-855

WYWÓZ złomu, sprzętu agd, rtv, gruzu, sprzątanie działek, piwnic, inne, rozbiórki domów, szklarni itp., 514-299-106

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy z wyżywieniem dla Seniorów. 601-585-510 www.danaustronie.pl

Karwia, - wczasy i pokoje nad morzem, 602-474-929

USTRONIE MORSKIE - pokoje z łazienkami, V-VI. PROMOCJA. Blisko morza - 7 min. Tel.: 503-936-581.

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

Towarzyskie

SANDRA, 885-213-554

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

Krzyżówka panoramiczna

ptak z rodziny sikor

odmiana gruszy

plan miasta

garaż dla samolotu

biała w kuflu

zawór

barwny ptak rudzik

dawny uczony lub student

rodzaj mierzei

ryba morska, płaszczka

Nobla lub Pulit-zera

dziewo-pisarka

poemat epicki

akwen z karpiami

nie po-słuchał Dedala

Bratny lub Po-lański

rodzaj gimna-tyki

rodzaj zrzęda

ptak grze-biący

zwody na ringu

dokument kontroli tech-nicznej

sol na pięcio-linii

partyni przy-wódca

na głowie moto-cyklisty

obra-biarka do drewna

proso afrykańskie, dagussa

kłamca

przy-budówka

przy-brzeżna pły-cizna

ziołowy lek z reklamy

model Fiata

buduje kopce na działce

książę z Kuwejtu

Jennifer, aktorka i piosen-karka

wojenna lub han-dlowa

sala wykładowa na uniwersytecie

rasa kró-lików

szeł klasz-toru

czło-wieczny los

zasób, rezerwa

brat Wyrwi-dęba

4

8

3

16

14

7

9

11

10

12

15

13

2

6

1

5

11

9

10

13

15

16

14

12

11

10

9

8

7

6

5

4

3

2

1

Uśmiechnij się!

W gabinecie lekarskim:
– Jak pan zasypia?
– Bez problemu –
liczę owce przed snem ...
– Do której zdąży pan
doliczyć, zanim pan
zaśnie?
– Do trzeciej ...
– Tak szybko?
– No, czasami ...

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 16 utworzą rozwiązanie – dokończenie dowcipu z okienka.

Krzyżówka A-Ż

Każdy odgadywany wyraz (w nawiasie liczba liter) zaczyna się literą poprzedzającą określenie. Miejsce wpisywania – do odgadnięcia. Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

- A) Indianie z Dzikiego Zachodu (6).
B) aktor z filmu „Titanic” (5,4).
C) naczynie do picia wina (6).
D) ssak morski z podrzędu waleni (8).
E) rdzenny mieszkaniec Grenlandii (7).
F) wystawne przyjęcie na czyjaś cześć (4).
G) słaby i nudny utwór literacki, film (5).
H) „... traw”, sfilmowana powieść Trumana Capote (5).
I) najważniejszy bóg w hinduizmie (5).
J) odmiana fasoli o dużym, białym ziarnie (6).
K) coś, co istnieje realnie lub jest wyraźnie określone (7).
L) pylasta skała osadowa (4).

Ż

A

Ł

M

N

O

P

R

Ś

T

U

W

Z

Ż

głośny odgłos, stukot (5).

osoba udzielająca pełnomocnictwa (9).

niewielki gryzoń polny (6).

oszkłona rama stanowiąca górną część inspektu (4).

drobne, żółto-brunatne plamki na skórze (5).

łagodzący wstrząsy samochodu (5).

nieuchoma część silnika, stator (6).

trudne lub niemiłe sytuacje, kłopoty (8).

mięśny pierożek w barszczu (5).

firma produkująca kultowe „Ptasie mleczko” (5).

chorobliwy majak (4).

ruchoma część szczęki (6).

Krzyżówka z hasłem

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 16 utworzą rozwiązanie: przysłowie.

Poziomo:

3) zakrywa czoło,
7) pieniądz metalowy,
8) olbrzym ulepiony z gliny,
9) drobniak, błahostka,
10) tandem lub damka,
12) tatrzański harnaś,
14) zbrojownia, cekhaus,
16) ... Orlich Gniazd,
19) dokument księgowy,
20) polski taniec ludowy,
21) książka z paragrafami,
22) dawny pojazd konny.

Pionowo:

1) wskazówka od lekarza,
2) poetycka przenośnia,
3) duży obiekt handlowy,
4) odmierza czas,
5) grozi wezbranej rzece,
6) generał w marynarce,
11) greckie nimfy morskie,
12) zasłona twarzy Arabki,
13) przybór kreślarski,
15) wiekowe ludwiki,
17) środek odkażający,
18) dawna pieszczoła.

gaz palny

okładka książki

roślina doniczkowa, fuksja

film Wajdy

gród Przemysław

WIRÓWKA PANORAMICZNA

odgałęzienie rzeki

miejsce bitwy w 1831 roku

Katarzyna, aktorka („Killer”)

ptak podobny do alki

źródłowa rzeka dla Nilu

Początek wpisywania odgadniętych wyrazów w polach z kreską, kierunek zegarowy. Litery w oznaczonych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: tytuł baletu.

Duet jolek

11

13

4

9

12

5

10

14

6

7

8

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 14 utworzą rozwiązanie. W przypadkowej kolejności:

– surowa recenzja
– wyspa ze stolicą w Kingston
– bajkowy skrzat
– przegrana na boisku
– żartobliwie o Francuzie
– np. Henryk Kwinto

– chudeusz, chuchro
– robocza część koparki
– manele, kłopoty
– powłoka na koldrę
– chroniony ssak górski
– tkanina z wełny owiec

Logogryf

1

2

3

4

5

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: tytuł filmu.

1) z gondolą w powietrzu,
2) deser na mleku,
3) potocznie o nartach,
4) stolica Afganistanu,
5) podnośnik samochodowy.

Szyfr

13

14

15

12

1

16

11

5

6

2

8

3

9

7

10

Litery z pól od 1 do 16 utworzą rozwiązanie: przysłowie.

Poziomo:

13) stworzeń, trzpień,
6) w boksie trwa 2 lub 3 minuty.

Pionowo:

4) zbój, łotr,
15) cuma lub hol,
1) James, aktor z filmu „Ojciec chrzestny”.

Krzyżówka

1

2

3

4

5

6

Litery z pól od 1 do 5 utworzą rozwiązanie: nazwę miasta.

Poziomo:

1) kurtka dżokeja,
4) potrawa meksykańska,
5) rosyjskie imię kobiece,
6) ostra przyprawa kuchenna.

Pionowo:

1, 2, 3) miasta w Polsce.

Rozwiązania

antresola.
rana nie boli; krzyżówka A-Ż:
Tristan i Izolda; szyfr: Cudza
krzyżówka: Tęzew; duet jolek:
miczna: „Popołudnie Fauna”;
buiwa”; wirówka panora-
gorzka; logogryf: „Londyński
żółka z hasłem: Prawda jest
do wpół do czwartej; krzy-
krzyżówka panoramiczna: ...

SŁOWNIK: ATANOR, CEKROPKA, KURNIAWA, NARD, ORK, TIMOR.

ROZWIĄZANIE: POETKI TEZ UŻYWAJĄ MĘSKICH RYMOW.

CHCESZ OTRZYMAĆ KSIĄŻKĘ? WSKAŻ JĄ, WYCINAJĄC JEDNĄ Z ILUSTRACJI ZAMIESZCZONYCH PONIŻEJ, NAKLEJ NA KARTKĘ POCZTOWĄ I WYŚLIJ DO KURIERA. CZEKAMY TYDZIEŃ. LISTĘ SZCZĘŚLIWCÓW PUBLIKUJEMY PONIŻEJ.



Soraya Lane „Córka z Norwegii”

W kancelarii prawnej spotyka się kilka osób. Nie łączy ich nic poza tym, że każda otrzymuje pudełko z pamiątkami znalezione w domu zmarłej kobiety, która przed laty prowadziła placówkę dla samotnych matek. W życiu Charlotte wkrótce wszystko się zmieni. Odkąd w jej ręce trafiło małe pudełko, zawierające pierścionek z diamentem i norweski herb, czuje, że musi wrócić do domu, aby ponownie połączyć się z ukochaną prababcią Amalie i swoją norweską rodziną. Nie wie jeszcze, że jej życie wkrótce stanie na głowie – kiedy pokaże zawartość szkatułki swojej babci. Ściskając w dłoni pierścionek, który uważała za zaginiony na zawsze. Amalie opowie wnuczce tragiczną historię miłosną i zdradzi bolesny sekret.

Albatros



Paweł Lisicki „Krew na naszych rękach?”

Przeważająca część zachodnich elit intelektualnych została zainfekowana czymś, co można by nazwać religią Holocaustu – pisze autor. Podstawą jest twierdzenie, że Holocaust był zbrodnią nieporównywalną z żadną inną w dziejach świata. Po drugie, że w tej zbrodni uczestniczyła cała ludzkość. Nawet jeśli organizatorami zabójstw byli Niemcy, to zrealizowali oni ukryte marzenie milionów zwykłych ludzi o usunięciu Żydów. Po trzecie, źródłem tego pragnienia było chrześcijaństwo, które zaraziło ludy wrogością do Żydów. A stałym motywem dialogu chrześcijańsko-żydowskiego jest postulat uderzenia się przez chrześcijan w piersi za błędy przodków popełnione wobec wspólnoty żydowskiej.

Frona



Caleb Carr „Moja ukochana bestia”

Caleb Carr, autor m.in. słynnego Alienisty, od najmłodszych lat był miłośnikiem kotów, a jego relacje z nimi zazwyczaj okazywały się trwałe od związków z ludźmi. W późniejszych latach w jego życiu pojawiła się Masza, kotka syberyjska, z którą połączyła go na siedemnaście lat naprawdę wyjątkowa zażyłość. Kiedy została poturbowana podczas jednej z walców, tylko Carr potrafił jej pomóc. Ona z kolei dobrze wiedziała, jak ulżyć jemu, gdy cierpiał z powodu choroby. Dzięki bogatej wiedzy na temat kociej behawiorystyki i własnemu doświadczeniu Carr odkrył wiele tajemnic Maszy. Historia ich uczuciowej relacji może zafascynować i poruszyć czytelników niezależnie od ich wieku, wykształcenia, profesji czy zainteresowań.

Rebis



Agnieszka Panasiuk „Anastazja”

Anastazja Cichosz po latach nauki wraca do Białej i zderza się ze smutną rzeczywistością rodzinnego domu: ojcem brutalnym, chorą matką i zaniedbanym rodzeństwem. Niesiona ideałami i pragnieniem niezależności, zatrudnia się w żeńskim progimnazjum. Tymczasem na Podlasie, gdzie codzienność wytłacza carską władzą i bieda, nadciąga rewolucyjna burza, a wraz z nią pierwsze robotnicze wystąpienia i szkolne strajki. Inżynier Krzysztof Wilczyło podstępem wprowadza Anastazję w działalność socjalistów z PPS-u. Autorka sięga do prawdziwych postaci i faktów historycznych. Tym razem przenosi czytelników do mało znanych wydarzeń rewolucji 1905 roku.

Szara Godzina



Prezentujemy listę laureatów. Oni wygrali książki w „Kurierze”:

- 3.04 - Maria Borzęcka, Lucyna Frejer, Jan Ochman, Ludwik Breć, Monika Fidej, Jannina Wiśniewska
- 10.04 - Filip Król, Maciej Milewski, Anna Derczuk, Maria Dyczewska, Grzegorz Maciak, Olga Słowik
- 14.04 - Beata Żołądek, Marek Lipiec, Marta Turczek, Jadwiga Majek, Barbara Majewska, Anna Bizek
- 24.04 - Zofia Madej, Żaneta Borkowska, Beata Żyś, Jolanta Jamrocha, Czesław Dylek
- 30.04 Jacek Kaczmarczyk, Cezary Kwik, Wojciech Grzegorzczak, Ola Milewska

Laureatom gratulujemy, nagrody książkowe wyślemy pocztą

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Dzień sprzyja działaniu, lecz uważaj na impulsy. Horoskop dzienny mówi, że spokój da przewagę i lepsze decyzje.

Ryby (19.02 - 20.03)

Skup się na relacjach z otoczeniem. Horoskop na dziś wróży, że mały gest może znaczyć więcej niż wielkie słowa.

Baran (21.03 - 19.04)

Komunikacja będzie kluczem. Horoskop dzienny na piątek radzi słuchać uważnie, bo ktoś chce przekazać ważną informację.

Byk (20.04 - 20.05)

Emocje mogą falować, ale intuicja cię poprowadzi. Horoskop dzienny radzi nie ignorować przeczuć.

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Twoja energia będzie przyciągać uwagę. Horoskop na dziś sugeruje wykorzystać ją mądrze, by osiągnąć coś naprawdę ważnego.

Rak (22.06 - 22.07)

Dzień sprzyja porządkom i planowaniu. Horoskop dzienny na piątek mówi, że małe kroki dziś stworzą solidne fundamenty jutra.

Lew (23.07 - 22.08)

Szukaj równowagi między pracą a odpoczynkiem. Horoskop dzienny zapowiada, że harmonia pozwoli uniknąć zbędnych napięć.

Panna (23.08 - 22.09)

Intensywne emocje mogą cię zaskoczyć. Horoskop na dziś podpowiada, by zachować kontrolę i działać z rozumą, a nie impulsem.

Waga (23.09 - 22.10)

Pojawi się okazja do nauki lub podróży. Horoskop dzienny na piątek radzi zachować otwartość na nowe doświadczenia i ludzi.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Skoncentruj się na celach. Horoskop na dziś zapowiada, że wytrwałość dziś przyniesie efekty, choć mogą one być subtelne...

Strzelec (22.11 - 21.12)

Twoje pomysły będą cenne. Horoskop na dziś radzi podzielić się nimi, bo ktoś może pomóc ci je zrealizować.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Dzień sprzyja refleksji i twórczości. Horoskop dzienny na piątek radzi znaleźć chwilę dla siebie i pozwolić myślowo swobodnie płynąć.

NASZE SMAKI

Czy wiecie, że powszechnie dostępna w sklepach i na straganach pieczarka to tzw. pieczarka dwuzarodnikowa? Rośnie dziko – na naturalnych siedliskach. Ale jest też powszechnie uprawiana w pieczarkarniach i sprzedawana w sklepach. Produkcja światowa pieczarek w 1950 wynosiła 53 tys. ton, w 1980 już 800 tys. ton, na początku lat 90. XX wieku – 1,5 mln ton. Polska jest największym producentem pieczarek w Europie (330 tys. ton rocznie) i największym eksporterem tych grzybów na świecie! Najchętniej kupujemy pieczarkę białą, średniej wielkości. Ale coraz częściej sięgamy też po brązowe, które

mają nieco inny smak – przypominający grzyby leśne. Jedno jest pewne – z pieczarek można wyczarować pyszne dania!

Faszerowane pieczarki z cukinią, boczkiem, kurczakiem i serem mozzarella

Składniki
10 bardzo dużych pieczarek
1 średnia cukinia
1 filet z kurczaka
1 mała papryka zielona
1 mała papryka czerwona
200 g sera żółtego mozzarella
200 g boczku wędzonego
1 pęczek natki pietruszki
sól, pieprz do smaku
kilka gałązek świeżej bazylii
Pieczarki myjemy, osuszamy. Odrzynamy



delikatnie trzonki i ścieramy je wraz z cukinią na dużych oczkach tarki. Paprykę oraz fileta kroimy w drobną kostkę. Całość mieszamy i doprawiamy solą oraz pieprzem. Główki pieczarek układamy

na ruszcie postawionym na dużej formie. Solimy je i napełniamy przygotowanym farszem. Wstawiamy do nagrzanego do 180 stopni piekarnika (góra-dół) i pieczemy około 30 minut. Po tym czasie pieczarki

wyciągamy i posypujemy startym na dużych oczkach boczkiem wymieszanym ze startym serem mozzarella oraz posiekaną pietruszką. Wstawiamy ponownie do piekarnika na około 15 minut. Jeśli mamy możliwość, możemy zmniejszyć temperaturę do 150 stopni i ustawić funkcję grilla z termoobiegiem, wówczas czas pieczenia możemy skrócić do około 12 minut. Podajemy na ciepło, posypane posiekaną bazylią.

Przepis Joanny Tokarz, autorki bloga „Kuchnia w czekoladzie” (mad)

Lubisz piec i gotować? Podziel się z nami przepisami: przepisy@gk.pl

Iga Świątek zaczyna turniej w Rzymie. Pozostali już odpadli

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

TENIS. **Iga Świątek zagra dzisiaj swój pierwszy mecz w turnieju WTA 1000 na kortach ziemnych w Rzymie. Jej rywalką będzie reprezentantka USA Caty McNally.**

Rozstawiona z numerem trzecim w turnieju Świątek w pierwszej rundzie miała wolny los. 24-letnia McNally w rankingu zajmuje 63. miejsce. To będzie ich trzecie spotkanie - Polka wygrała oba wcześniejsze, najpierw 6:4, 6:4 w ćwierćfinale Ostrava Open 2022 na kortach twardych, a potem 5:7, 6:2, 6:1 w drugiej rundzie Wimbledonu 2025 na kortach trawiastych. Tenistka z USA w swoim dorobku ma dwa wygrane turnieje WTA 125, a najwyższą w klasyfikacji zajmowała 54. pozycję.

Schody szybko się zaczyna

Jeśli Świątek pokona Amerykankę, w trzeciej rundzie na Ige czekać będzie Emma Navarro (USA, WTA 28) lub Elisabetta Cocciaretto (Włochy, WTA 41). W ewentualnym meczu 1/8 finału raszyniankę czeka prawdziwy sprawdzian. Jej rywalką może być trenowana przez byłego szkoleniowca Świątek Tomasza Wiktorowskiego Japonka Naomi Osaka, która może stanowić dla Polki nie lada wyzwanie.

O półfinał nasza reprezentantka może zagrać z rozstawioną z numerem 5 Amerykanką Jessicą Pegulą lub Czechką Karoliną Muchovą. W półfinale trzykrotnej królowej Rzymu stanąć może na drodze reprezentująca Kazachstan Rosjanka Jelena Rybakina lub zwyciężczyni nie-



FOT. JAKUB PIKULIK

Iga Świątek w tym roku nie zdołała awansować choćby do półfinału jakiegokolwiek turnieju WTA...

dawnego „tysięcznika” w Madrycie Ukrainka Marta Kostjuk. Dopiero o tytuł Świątek może zagrać z liderką rankingu Białorusinką Aryną Sabalenką. W tym roku raszynianka nie zdołała ani razu awansować chociażby do półfinału jakiegokolwiek turnieju, w którym brała udział.

Polka w stolicy Włoch pojawiła się już w poniedziałek. Razem z kanadyjskim tenisistą Felixem Auger-Aliassime wzięła udział jako tak zwana sierotka w losowaniu drabinek turnieju głównego zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet. Uroczystość odbyła się na Piazza del Popolo. Przez ostatnie dni trenowała w Rzymie, m.in.

na specjalnym pokazowym korcie.

- Atmosfera była cudowna. Jestem szczęśliwa, że miałam szansę tam zagrać, bo to było świetne doświadczenie w tak ładnym otoczeniu. Przyszło wielu Polaków i Rzymian, byli bardzo podekscytowani - powiedziała Świątek.

Świątek oceniła nowego trenera

Podczas jednej z konferencji Świątek bardzo pozytywnie oceniła też swoją współpracę z nowym trenerem Hiszpanem Francisco Roigiem. Podkreśliła, że bardzo dobrze się rozumieją. - Mam taką samą wizję tego, jak powinien grać, a on

pomaga mi to osiągnąć. Czuję, że rozumiemy się nawzajem bardzo dobrze. Mam różne opcje podczas treningów, co jest wspaniałe, bo nie byłam zadowolona z tego, jak grałam parę miesięcy temu. Czasem wracam do starych przyzwyczajeń. Będę potrzebowała trochę czasu, by robić to, czego chce Francisco, ale idzie nam bardzo dobrze. To jest proces. Podczas każdego treningu uczę się czegoś nowego - wyjaśniła Iga.

Polka wygrała turniej na Foro Italico w Wiecznym Mieście w 2021, 2022 i 2024 roku. W ubiegłorocznej edycji dotarła do trzeciej rundy, w której przegrała z Amerykanką Danielle Collins. W tym roku tytułu będzie bronić Włoszka Jasmine Paolini.

Hurkacz, Fręch i Linette już odpadli

Z turniejem w Rzymie bardzo szybko pożegnały się pozostałe reprezentantki Polski. Już w 1. rundzie „Internazionali BNL d'Italia” (pula nagród: 8 312 293 dolarów) Magdalena Fręch nie sprostała Filipince Alexandrze Eali, ulegając 0:6, 6:3, 4:6, a Magda Linette przegrała z Niemką Tatjaną Marią 0:6, 3:6.

Formy wciąż nie może odnaleźć Hubert Hurkacz. Wrocławianin w 1. rundzie turnieju mężczyzn ATP 1000 w Rzymie o puli nagród 8 312 293 dolarów został ograny przez Niemca Yannicka Hanfmana 7:6(3), 6:7(2), 2:6. Spotkanie na „Campo Centrale” na obiektach Foro Italico trwało dwie godziny i 21 minut. Od ponad dwóch tygodni trenerem Wrocławianina jest Francuz Gilles Cervary - były szkoleniowiec m.in. Rosjanina Daniila Medwediewa. ©

Nie ma żartów. Przewaga Motoru nad strefą spadkową jest niewielka

Marcin Puka
m.puka@kurierlubelski.pl

PIŁKA NOŻNA. **Przed Motorem Lublin trzy batalie decydujące o pozostaniu w PKO PB Ekstraklasie. Żółto-biało-niebiescy w niedzielę (godz. 14.45) zmierzą się na wyjeździe z Wisłą Płock.**

Motor po 31 seriach gier w krajowej lidzie w tabeli plasuje się na 14. miejscu, z bilansem 9-12-10. Jednak nad strefą spadkową Lublinianie mają tylko trzy punkty zapasu.

- Postaramy się jak najszybciej zapunktować. To jest teraz dla nas najważniejsze, żeby uspokoić nieco sytuację, która na dziś jest cały czas niepewna ze względu na taką płaską tabelę - mówi Mateusz Stolarski, trener ekipy ze stolicy Lubelszczyzny.

Żółto-biało-niebiescy w poprzedniej kolejce okazali się gorsi przed własną publicznością od lidera tabeli, Lecha Poznań (0:1). - Myślę, że mogliśmy stracić w starciu z zespołem z Wielkopolski coś więcej niż tylko trzy punkty. Bałem

się, że po takiej serii ujdzie z nas powietrze - wyjawia Stolarski, po trzeciej z rzędu przegranej. - Naprawdę robiliśmy wszystko, żeby to spotkanie wygrać, a po stracie bramki choćby zremisować - dodaje.

Płocczanie są na 7. pozycji z bilansem 12-9-10. Mają tylko oczko straty do 4. miejsca, gwarantującego grę w europejskich pucharach. Ale w 31. kolejce ulegli w Szczecinie Pogoni 0:3, a wcześniej przegrali u siebie z Radomiakiem Radom 0:1.

- Wynik spotkania w Szczecinie nie odzwierciedla tego, co się działo na boisku. Były kluczowe momenty tego spotkania. Najważniejszym była bramka do szatni ze stałego fragmentu - twierdzi Mariusz Misiura, trener Wisły. - Zostały trzy mecze i musimy w najbliższym z Motorem pokazać podobną grę z piłką i dużo lepszą postawę przy stałych fragmentach gry - dodaje.

Po meczu w Płocku, Motorowców czekają jeszcze domowe starcie z Cracovią (16 maja) i w Warszawie z Legią (23 maja). ©



FOT. WOJCIECH SZUBARTOWSKI

Piłkarze Motoru Lublin przegrali trzy ostatnie mecze, a na zwycięstwo czekają od sześciu spotkań

Poznaliśmy finalistów Ligi Mistrzów. PSG przed niepowtarzalną szansą

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **PSG awansowało do finału po wygraniu dwumeczu z Bayernem (6:5). W rewanżu padł remis 1:1, a o losach rywalizacji przesądziły gole Ousmane'a Dembele i Harry'ego Kane'a.**

Piłkarze PSG po szalonym dwumeczu z Bayernem awansowali drugi rok z rzędu do finału Ligi Mistrzów. Drużyna prowadzona przez Luisa Enrique w rewanżu błyskawicz-

nie objęła prowadzenie, już w 3. minucie spotkania Dembélé dał radość przyjezdnym. Bayern zdołał odpowiedzieć dopiero w doliczonym czasie. Do siatki trafił Kane, dla którego był to już 55. gol w sezonie.

Kontrowersje w roli głównej

Wiecej niż o samej grze, po spotkaniu mówiono się jednak o kontrowersjach, które pojawiły się w pierwszej połowie. Sędzia João Pedro Pinheiro z Portugalii nie ukarał Nuno

Mendesa za zagranie ręką, a później nie podyktował rzutu karnego dla Bayernu. Vitorino wybił bowiem piłkę ze swojego pola karnego, ale przypadkowo trafił nią w rękę swojego kolegi João Nevesa. Decyzja? Brak jedenastki dla gospodarzy, którzy momentalnie ruszyli do niego z pretensjami.

Jak się okazało, arbiter podjął słuszną decyzję w myśl obowiązujących interpretacji.

- Bardzo często o tym mówiłem. To jest taki przepis, który powinienem szczerze, nie podoba mi się, ale pragnę podkre-

ślić - bo widzę, że piłkarze Bayernu na czele z trenerem tego nie znali - że nastrzelenie partnera z drużyny w rękę, kiedy ten nie miał czasu na reakcję, nie jest przewinieniem - tłumaczył na antenie Canal+ Sport ekspert sędziowski Adam Lyczmański.

Paryżanie jak... Real Madryt?

W finale w Budapeszcie PSG będzie broniło tytułu wywalczonego przed rokiem po efektownym zwycięstwie 5:0 nad Interem Mediolan. Paryżan-

nie staną przed szansą zapisania się w historii - jako druga drużyna po Realu Madryt, która wygra rok po roku elitarnie rozgrywki spod szyldu UEFA.

Tym razem rywalem będzie Arsenal, który osiągnął drugi finał Champions League w historii. Poprzednio Kanonierzy walczyli o to trofeum dokładnie 20 lat temu, przegrywając z FC Barceloną.

Zdecydowany faworyt

Podopieczni Mikela Artety w półfinale wygrali rewanż

z Atletico Madryt 1:0 (a cały dwumecz 2:1). Nie jest tajemnicą, że przed decydującym starciem w Budapeszcie faworytem bukmacherów będzie PSG. Francuski zespół miał znacznie trudniejszą drogę do finału - po drodze eliminował nie tylko Bayern, ale również Liverpool i Chelsea FC. Arsenal przed półfinałem mierzył się natomiast ze Sportingiem Lizbona oraz Bayerem Leverkusen.

Finał odbędzie się w sobotę, 30 maja, o godzinie 18:00. ©

SPORT

www.sportowy24.pl

Kolejny medalista
z poprzedniego sezonu
przyjedzie do LublinaKrzysztof Nowacki
k.nowacki@kurierlubelski.pl

ŻUZEL. Orlen Oil Motor w tym sezonie pokonał już ubiegłorocznego mistrza z Torunia, a w niedzielę (godz. 19.30) zmierzy się z brązowym medalistą z Wrocławia.

W przedsezonowych prognozach zespół Sparty Wrocław uchodził za głównego kandydata do mistrzostwa Polski w 2026 roku. Drużynę, którą prowadzi teraz Piotr Protasiewicz (zastąpił Dariusza Śledzia) przytrafiła się już pierwsza porażka. Wrocławianie niespodziewanie przegrali przed niespełna dwoma tygodniami na torze w Grudziądzu 42:48.

Wcześniej musieli namęczyć się, żeby wygrać w Gorzowie (46:44), a w ostatniej kolejce pokonali u siebie Unię Leszno (50:40). - Za dużo punktów pogubiliśmy na pierwszym łuku czy pierwszym okrążeniu. Były też błędy, wykluczenia i kilka punktów uciekło - ocenia Protasiewicz. - Pamiętajmy jednak, że to PGE Ekstraliga i łatwych meczów nie będzie. Mam wrażenie, że wszystko zależy od dyspozycji dnia i szybkiego znalezienia ustawień. Sprzęt jest tak wyrównany, że minimalne „przestrzelenie” powoduje, że jedzie się z tyłu - dodaje szkoleniowiec.

Liderem Wrocławian jest Artem Łaguta, który w czterech meczach zanotował średnią



FOT. MG

2,500 pkt/bieg. W lidze lepszy jest tylko lider Motoru, Bartosz Zmarzlik - 2,714 pkt/bieg.

Przed rokiem Motor pokonał Spartę przy Al. Zygmuntowskich 55:35. Czy podobną przewagę „Koziołki” będą miały także w niedzielę? - Mówiłem niedawno, że potrzebujemy jeszcze trochę, żeby na swoim torze być bardzo mocnym. Uważam już, że będzie to szybciej niż później - ocenia Martin Vaculik, który na starcie rozgrywek legitymuje się średnią 2,071 pkt/bieg.

- Życzylbym sobie, żeby było to wyrównane spotkanie - mówi Protasiewicz. - Że będzie trudne, to oczywiste. To trudny tor, który potrafi płatać figla. Ruszają rozgrywki U24, DMPJ, ligi zagraniczne, więc pojedziemy z marszu i wierzę, że nasi zawodnicy trafią szybko z ustawieniami. Bo jeździć potrafią - dodaje. ©

PIŁKA NOŻNA

Rozgrywki Pucharu Polski w okręgu lubelskim wygrali piłkarze Avii Świdnik. W finałowym meczu lider 3. ligi pokonał w Lubartowie Lewart 2:0. W finale okręgu chełmskiego triumfowała drużyna Startu Krasnystaw po wygranej z Bug Hanną 4:0. Wcześniej w okręgu zamojskim Hetman Zamość pokonał Tomasovię Tomaszów Lub. 1:0. Natomiast okręg bialski zwycięzcę wyłoni 20 maja (Orleń Radzyń Podl. - Podlasie Biała Podlaska).



FOT. AVIA ŚWIDNIK

PIŁKA RĘCZNA

Mecz o baraże

KS LOTTO Puławy wygrał z Zagłębiem Lubin 33:29 i wciąż mają szansę uniknąć bezpośredniego spadku z Orlen Superligi. Decydujący będzie mecz w Piotrkowie Trybunalskim (11 maja).

Kto mistrzem? „Do sportu
trzeba podchodzić z pokorą”Miłosz Iwaniec
redakcja@kurierlubelski.pl

SIATKÓWKA. Bogdanka LUK Lublin była o krok od zakończenia finałowej rywalizacji z Aluronem CMC Warta Zawiercie. Goście wygrali jednak w hali Globus 3:1 i o tym, kto sięgnie po złoto mistrzostw Polski zadecyduje niedzielny mecz w Sosnowcu.

Atmosfera w lubelskiej hali od początku spotkania była gorąca. Ale to podopieczni Michała Winiarskiego lepiej wytrzymali próbę nerwów w kluczowych momentach. Warta Zawiercie doprowadziła w serii finałowej do stanu 2-2. Kapitan Lublinian, Marcin Komenda, nie kryje, że rywal zawiesił poprzeczkę bardzo wysoko.

- Jak to w siatkówce bywa, nie zawsze wszystko się układa i trzeba sobie radzić z przeciwnościami. Myślę, że Zawiercie musiało na nas błędy i wywarło na nas presję. Zawsze gra się tak, jak przeciwnik pozwala. Mieliśmy naprawdę dobre momenty gry, szkoda straconej przewagi w trzecim secie. Musimy zaakceptować to, że przeciwnik zagrał na świetnym poziomie i za bardzo się nie smucić. Liczymy, że będziemy cieszyć się w niedzielę w Sosnowcu - ocenia.

Po meczu oczy kibiców skierowane były na środek boiska, gdzie zespół z Lublina przez dłuższą chwilę rozmawiał ze swoim szkoleniowcem.



FOT. WOJCIECH SZUBARTOWSKI

W finałowej rywalizacji pomiędzy Bogdanką LUK i Wartą Zawiercie jest remis 2-2

- Usłyszeliśmy, że mamy drugą szansę w niedzielę. Mieliśmy pierwszą, ale nie wykorzystaliśmy jej. W kolejnym meczu wyjdziemy na boisko od stanu 0:0 i kto będzie lepszy, ten wygra. Tutaj zadecyduje dyspozycja dnia, ponieważ oba zespoły prezentują podobną jakość. Wierzę w nasze zwycięstwo, ale do sportu zawsze trzeba podchodzić z pokorą - mówi Marcin Komenda.

Czy przed niedzielnym finałem sztaby szkoleniowe przygotowują jeszcze jakieś taktyczne niespodzianki? Według Komendy, na tym etapie sezonu karty są już

rozdane, a o tytule nie zdecydują nowe schematy, lecz przygotowanie fizyczne i mentalne.

- Bardzo dobrze znamy ten zespół, podobnie jak oni znają nas. Myślę, że tutaj się już nie przechytymy i w dużej mierze to właśnie dyspozycja dnia będzie kluczowa - kto się lepiej zregeneruje do meczu - uważa zawodnik.

Choć w Lublinie po meczu panował niedosyt, zespół jest świadomy swojej wartości. - Z pewnością jest lekkie rozczarowanie. Ten, kto spodziewał się łatwego meczu, był w głębokim błędzie. Ja się spodziewałem

trudnej rywalizacji, mieliśmy swoje szanse, zostawiliśmy serce, ale wygrał po prostu zespół lepszy - kończył ze spokojem Komenda.

Decydujący, piąty mecz o mistrzostwo Polski odbędzie się w niedzielę w Sosnowcu (godzina 14:45).

Bogdanka LUK Lublin - Aluron CMC Warta Zawiercie 1:3 (26:24, 20:25, 23:25, 20:25)

LUK: Komenda 1, Malinowski 12, Leon 25, Grodzanov 6, Young 9, McCarthy 7, Hoss (libero) oraz Sawicki 4, Sasak. Trener: Stephane Antiga

Warta: Kwolok 6, Russell 16, Boładz 22, Gladyr 11, Tavares 3, Bieniek 10, Popiwczyk (libero) oraz Nowosielski, Ensing. Trener: Michał Winiarski



FOT. WOJCIECH SZUBARTOWSKI

Rywalizacja pomiędzy MKS Lublin i Zagłębiem Lubin od lat elektryzuje kibiców żeńskiego szczyptorniaka w Polsce

Hitowe starcie w półfinale Pucharu Polski

Krzysztof Szuptarski
k.szuptarski@kurierlubelski.pl

PIŁKA RĘCZNA. Przed szczyptornistkami PGE MKS El-Volt Lublin półfinał Pucharu Polski, a w nim siódma już w tym sezonie potyczka z Zagłębiem Lubin.

Starcie odwiecznych rywali otworzy rywalizację w tegorocznym turnieju Final Four, który w dniach 9-10 maja odbędzie się w Elblągu. Sobotni pojedynek MKS i Zagłębia rozpocznie się o godz. 15.30.

To rywalizacja dwóch najlepszych zespołów obecnego sezonu ORLEN Superligi Kobiet. Choć ekipa trenerki Bożeny Karłut przewodzi aktualnie ligowej tabeli, to Lublinianki depczą „Miedziowym” po piętach i wszystko wskazuje na to, że walka o mistrzostwo rozstrzygnie się dopiero w ostatnim meczu sezonu.

- Zawsze chcemy wygrywać, choć doskonale zdajemy sobie sprawę, że półfinałowa batalia w Elblągu nie będzie łatwa - mówi Adrianna Górna, skrzydłowa PGE MKS El-Volt. - Do tej

pory zostawialiśmy serce na boisku i tak samo będzie w sobotnim spotkaniu z Zagłębiem. To dla mnie ciekawe doświadczenie, bo uważam, że tylko najlepszy mierzą się z presją. Cieszę się, że wciąż ją mamy i nadal walczyliśmy o najwyższe cele - dodaje.

MKS i Zagłębie tegoroczne zmagania o Puchar Polski rozpoczęły od ćwierćfinału. Team znad Bystrzycy bez większych problemów odprawił z kwitkiem na własnym parkiecie drużynę Enei MKS Gniezno, wygrywając 31:25. Z kolei Lublinianki po zaciętym meczu pokonały

u siebie KPR Gminy Kobierzycze 34:31.

W marcu w Lublinie lepsze było Zagłębie, zwyciężając 28:25. W styczniu jednak, MKS triumfował w hali Globus 34:28.

- Dla zespołu z Lublina każdy mecz ma ogromne znaczenie, a Puchar Polski to kolejne wyzwanie dla nas - podkreśla Paweł Tetelewski, szkoleniowiec białozielonych.

W drugiej parze półfinałowej zagrają Start Elbląg i Piotrcovia Piotrków Trybunalski. Rywalizacja w niedzielny finał rozpocznie się o godz. 15. ©